



TOMASZ RACJAN

COŚ ZJADA BEZDOMNYCH

BEZDOMNI ZAWSZE SĄ NIEWIDZIALNI
I ZAWSZE ZNIKAJĄ PO CICHU.
SZCZEGÓLNI WTEDY, GDY... COŚ ICH ZJADA.

NOVAE RES

TOMASZ RACJAN

COŚ ŻIADA
BEZDOMNYCH



NOVAE RES

PROLOG

Coś zjada bezdomnych.

Totalnie bawiło ją to zdanie. Podczas wielu rozmów z mniej wtajemniczonymi mieszkańcami tego tęczowego miasta przekonała się, że ci zwyczajnie nie wierzą w bezdomność.

Bezdomni? Ale w Reykjavíku? Przecież to jest Raj!

Raj. *Paradís* po islandzku. Zresztą jak ona – *Paradís Friðriksdóttir*. Starzy ją tak nazwali, bo naprawdę wierzyli, że ta wyspa to wszystko, czego im trzeba, podobnie jak ona – ich jedyna córka.

I rzeczywiście, można tu było znaleźć wszystko, co potrzebne. Nawet będąc bezdomnym. I tak, tacy na Islandii istnieją, egzystują, cokolwiek.

THE EXISTENCE OF HELL

Coś zjada bezdomnych.

Od tego należałoby zacząć.

Obecność postaci zawartych w relacji może nawiązywać do osób fizycznych.

Niektórych w życiu poznajemy przelotnie, innych widzimy tylko raz i czasem to wystarczy.

Na przykład we śnie może prześladować cię widmo człowieka, którego jeden jedyny raz spotkałeś gdzieś na ścieżce swojego losu – w setkach koszmarów, bo tak zapisał się w Twoim mózgu.

Niech to posłuży za wstęp do historii, w której Coś Zjada Bezdomnych.

Na skraju rozpaczy nie ma się już nawet siły umierać.

Nieraz myślą o śmierci ci, którzy łapią życie w wychudzone, żylaste garści. I o życiu, kiedy ich brudne, szorstkie dłonie przed tą śmiercią się opędzają. Chcą umierać tyle, co inni; czasem tylko trochę może mocniej, trochę częściej. Tak jak inni chcą żyć; bez zazdrości – biednych na nią nie stać. Z niestrudzoną werwą, jaka charakteryzuje wszystkich jako tako żywych, pędzą przeze dni i lata jak każdy wokół, wtopieni w zachlapaną błotem szarość ulic wielkich miast.

Pod presją potężnych, rzucających mroczne cienie gmachów, gubią się i odnajdują... albo i nie. Którzy odeszli na zawsze, nigdy nie będą poszukiwani, nie ma komu sięgać ich zatechłej przeszłości; lepiej wetknąć nos głębiej za kołnierz i razem z innymi nie pamiętać, że tacy w ogóle kiedyś istnieli. Którzy ich znali, i tak mają już na co narzekać i czym się martwić, tyrania dnia powszedniego odbija się na ich swędzących egzema zmarszczkach. Powyginane biedą i nałogami cielska ich wloką się niesprawnie i kulawo, zamiatając nocne chodniki z cuchnących ludzkimi smrodami odpadów. Królowie między tymi żebrakami to ci, którym starcza jeszcze zębów, coby jeść twarde; ci, którym starcza sił, coby się o swoje prawie nic jeszcze bić, nim wyrwie to kto spod piersi, spod niezdrowo podrygującego serca. A dzieje się tak między nimi, żebrakami, dzieje wszędzie, czy to w porcie, czy to pod samym parlamentem. Nikt nie powstrzymuje deprawacji, nikt nie patrzy, a jeśli – to tylko z boku, z pogardą we wcale nie lepszym duchu. Mija się takich szybko, omija wężowatym łukiem pamięci, nim jadowity, fałszywy uśmiech spełźnie z posklejanego rutyną oblicza. Oni na to nie narzekają, już przecież mają na co. Rzadko wysłuchiwni, kiedy milkną, to nie zostaje po nich nawet echo w szumach miasta. Cicho znikają biedni, nieważne, jak głośno żyli.

Świadkowie tych historii, którzy niosą je kiedykolwiek dalej, wyjaśniają niewiele i niejasno; takich się ich poznaje, tacy pozostają gdzieś już zawsze. Przytłoczeni własną historią, inne przelękają z szeroko otwartymi oczami i zasznurowanymi na supeł ustami, wolą milczeć, bo woleliby, żeby i o nich pewne kwestie przemilczano. Zapytani, czemu nie reagowali, uśmiechają się pusto i smutno, ich oczy świecą się wtedy złowrogim blaskiem, a ciężkie od doświadczeń łby obracają się powoli z krzywym grymasem politowania. Czasem niewiele da się zrobić, czasem lepiej nie robić nic. Oni by to zrozumieli, oni, którzy odeszli.

Tak tłumaczył się ten staruszek, dziadek zaginionej dziewczynki, ten, z którym widziano ją po raz ostatni. Im więcej pytań mu zadawano, tym bardziej wszystko zdawało się zagmatwane, poszarpane i skołtunione jak jego stara, tłusta, lepiała się do brudnej szyi i śmierdzących łachów broda. Brudas zarzekał się, że chce pomóc, ale to, co wypluwała jego jadaczka pomiędzy chrząknięciami i pobekiwaniem, sprawiało nieraz, że chciało się pomyśleć, że ten celowo zwodzi, prowadzi gębą na manowce, jakby coś ukrywał, taił w głębi rozbieganych szaleńczo ślepiów, w ślepo rzucanych kęsach odpowiedzi. Trudno było wyłapać, co z tego było prawdą, czy cokolwiek było, do tego stopnia, że i samo zaginięcie poddano w wątplenie i aż ktoś sprawdził: rzeczywiście taka istniała. I tyle w temacie zrobiły władze – zarzygani stekiem nieposkładanych, nielepiających się ze sobą zeznań, funkcjonariusze odwiedzili jeszcze parę miejsc, wylizali je służbowym sprzętem z odcisków wszelkich wydzielin przeszłości i rozplynęli się we mgle kolejnych, coraz już krótszych i chłodniejszych dni. Ale ktoś jeszcze wypytywał staruszka; gdzieś tam – pomiędzy istotami, które darły życie swoje i innych w nieustannej rozpaczce kolejnych ciągów nędzy – znalazł się ktoś, kto wydawał się wyraźnie zainteresowany losami dziada i zaginionej panny. Już to wydawało się

niecodzienne, tajemnicze, nawet gdzieś tam – w mętym dniu bujnej, miejskiej kałuży ludzkich wraków...

Pierwszy raz trafili na nich jakichś parę dni temu, może siedem; naćpani, na rauszu. Zauważyli ich w ostatniej chwili, również naćpanych. Dziad zerwał się ze schodów, spodnie miał zsunięte do kostek. Żyłaste, z lekka obwisłe, porośnięte rzadką szczecina łydki trzęsły się nerwowo, zresztą jak on cały, gotowy chyba rzucić się do ucieczki, chyba prosto na nich – przyszli przecież jedyną drogą. Wszystko działo się szybko, nieproszeni goście przeprosili za zamieszanie i zaczęli się wycofywać, kiedy stary jąkał się bez ładu i składu, trzymając się za pasek od spodni, chyba im się tłumaczył. Wszyscy chcieli trochę prywatności, wszyscy w tym miejscu, w którym każdy z nich był trochę intruzem. Dwójka świeżo przybyłych Niepozornych Narkomanów i ta druga para – telepiący się chorobliwie dziadyga i dziewczyna leżąca obok, na upierdolonych schodach, nieruchoma i bezładna, bardzo jeszcze młoda. Wiele osób się tam schodziło, w takie miejsca – podziemne parkingi, zostawiali tam sporo śladów swojej bytności, w najpopularniejszych, zatęchłych zakamarkach.

To te ślady obwąchiwać będą policjanci, psy na służbie rzekomej sprawiedliwości, jak zwykle ślepe w swych akcjach, zbyt późne w reakcjach, niezdolne do odkryć, które mogłyby mieć jakikolwiek wpływ na serię wydarzeń, o których będzie tu mowa. Ci widzą tylko strzykawki, krew, gówno, papiery, jakieś ubrania i czują smród; który psiur bez półprzepuszczalnego kagańca na mordzie, ten ją rękawem zasłania, jakby się bał, że zabójcze były same te zapachy, jakby widok mógł już takiego otruć. Pospisują przypadkowe przybłądy, odegrają tajemniczych i po wyjściu na świeże powietrze prędko zapomną o smrodzie, a ich zmysły rozplyną się w kawie, słodyczach, niezdrowej kolacji przed niezdrowym

snem, w ich własnych koszmarach codziennej rzeczywistości dwudziestego pierwszego wieku.

Inni widzą tam co innego zgoła, choć niewielu tych innych, a i ich ścieżki nie zawsze się przecinają, tak różnie urywane, nigdy sprawiedliwie. Oni byli tymi innymi, zachowując się zupełnie inaczej w tamtej sytuacji. Chyba inaczej, bo kto wie, jak postąpiliby inni? Wycofali się z pełną kulturą, dwaj Niepozorni Narkomani, jakby nie wypadało przerywać, przecież może ktoś tam ćpał i było zajęte. Tylko czy oni tam ćpali? Czy tylko ćpali? Oni po wyjściu na świeże powietrze nie wsiedli do nagrzanego fura, sami nagrzani i nafurani – oprzytomnieli, przynajmniej w swoim mniemaniu, przy nieswoim raczej papierosie, swojsko palonym, jakby właśnie nie byli świadkami... no właśnie, czego?

Zaczęli o tym dyskutować na tyle żywo, na ile dyskutują ze sobą dryfujące, ludzkie wraki, które zapomniały o śmierci. Pamiętali jednak o zajściu sprzed paru chwil i czuli się z tym źle – coraz gorzej... Niedowierzanie mieszało się w ich bełkotliwych głosach ze snutymi nerwowo domysłami na temat dziada, dziewczyny i takich miejsc. Nie trzeba było oglądać setek horrorów i dreszczowców ani zagłębiać się w stosy kryminałów czy krwawych reportaży, żeby nasuwało się do głowy jedno proste, ale jakże obrzydliwe, trudne do wyplucia słowo – gwałt. I niby było to oczywiste, ale w skopconych łbach mężczyzn rodziły się z kolei wątpliwości – bo jakże tak – w biały dzień, byle gdzie? Tak to właśnie wygląda? Uznali, że tak, kiedy już przystanęli, tak to właśnie wygląda: nie trzeba specjalnych okoliczności, wystarczy parę strzykawek na zaszczanym parkingu, zimne, lepkie od brudu schody, brudne, lepkie ciała starego menela i nieletniej ćpunka.

Nie zaszli daleko, ale wahali się – było do czego wracać? Dzwonić nie chcieli – byli naćpani, zresztą, kto dzwoni. Zresztą nie mieli pewności, co

zaszło, zawsze mogli wrócić, cokolwiek miałoby ich tam teraz czekać... Różne lęki jawiły im się w głowie, kiedy zawracali, najgorsze były te przed sobą: swoimi słabościami, głupotą i porywcznością. Świat wokół raził zmysły podłą obojętnością, pogoda względnie dopisywała, chociaż było szaro, ludzie wokół parkingu rozmawiali jak zawsze, nawet ich dwójka szła jakby zupełnie rutynowo – taka jest codzienność wielkich miast – luźne rozmowy przechodniów na ulicy, nudne popołudnia z serialami w zaciszach nieciekawych pokoi, strzykawki na parkingach i depczące je dziwadła wrażliwe na światło, a ślepe na krzywdy, które wyrządzają sobie i innym...

Kiedy byli z powrotem, żadna krzywda już się nie działa. Spóźnili się, chyba... na swój sposób. Dziwny był teraz ten sam widok: wszystko tak samo brudne, zatęchłe i obłeśne, ale inaczej rażące zmysły – nieprzyjemnie, nie chcieli już tam być, może kiedyś, jak naprawdę nie będzie gdzie pójść, gdzie położyć styraną włóczęgą i trującą chemią kości. Teraz nic tu po nich – zastała ich tylko groźna pustka w miejscu, gdzie natrafili na nadzwyczajną dwójkę. Przybyło tylko tej pustce parę może nowych kropel krwi, nowych strzykawek i innych oznak... życia. Tym razem z ulgą wrócili z betonowych podziemi, problem przestał być ich, można było zignorować zajście i dalej dryfować przez pustotę wieczornych przecznic. Włócząc się z wiatrem i pod wiatr, ci dwaj rozważali jeszcze jednak o tej sprawie, raz ją bagatelizując, żeby zaraz potem z najgłębszym smutkiem i lękiem dostrzec w niej mroki, które pełzają we wszystkich ciemnych miejscach świata i w ludzkich duszach.

Nie dało się przewyciężyć tych ciemności, ale można było dopytać się tu i tam o starca i dziewczę, tyle jeszcze mogli zrobić. Niewiele to pewnie mogłoby zmienić, pewnie nic; wokół codziennie rzeczywistość dotyka w najokrutniejszy sposób. Przez to nieraz odehciewa się żyć, odehciewa się nawet umierać, w rozpaczy wszystko jest już obojętne, dusza ofiary na

zawsze pozostaje pożarta i tylko ciało błąka się po świecie, dopóki wreszcie nie spadnie z zimnych schodów życia w bezkresną ciemność śmierci.

ŚWIADECTWA WŁÓCZĘGÓW

Czasem złe wspomnienia tak karmią zmysły swoim niesmakiem, że dłonie i usta same wykręcają się jak do modlitwy w swojej bezsilności.

Każdy szanujący się włóczęga odwiedza pobożne siostry. Można się tam z nimi pomodlić, wedle uznania, i zjeść, wedle potrzeby. Większość je, modlą się głównie siostry, niektórzy się awanturują, takie współtworzą realia. Różne tam osobowości, niektórzy się kojarzą. Warto tam nieraz zajrzeć, żeby zasięgnąć informacji. Nie każdy zasłuży na szczerość ze strony tych typów albo jakąkolwiek odpowiedź, niektórzy mogą co najwyżej splunąć pod nogi natarczywym intruzom, którzy zadają za dużo pytań. Jeśli który ma gorszy dzień, to i konsekwencje wścibstwa mogą być bardziej wzniosłe i można dostać po pysku, nim wielkoduszne zakonnice niewielkiej postury zdążą interweniować. Zdarza się, że ci sami jednego dnia tłuką się na kwaśne jabłka, żeby innym razem, w innych okolicznościach, stanąć za sobą koślawym, szczerbatym, ale brawurowym murem. Niektórzy z nich trzymają się trochę razem, żyjąc jednak głównie sobie i dla siebie – tak łatwiej i bezpieczniej na ulicy. Trwają więc względnie w takich małych wspólnotach, niczym te siostry, które je dokarmiają, a wszystko dopóki nie skłócą ich różnice interesów i własne rojenia i słabości. Czasem ogniwa tego łańcucha pękają, gubiąc się gdzieś w miejskich ciemnościach na zawsze, ostatecznie.

Później chodzą szmery o zemstach, o pojedynkach w półświecie nocnych lamp, o krwawym zażegnaniu konfliktów. Wszystko to

niepotwierdzone, niejasne, prowadzące ku ślepym końcom, bez zadowalających odpowiedzi. W takim klimacie trudno uspokoić myśli, lepiej kalkulować wszystko na chłodno, na mroźnym powietrzu, ze zgrabiałymi dłońmi w głębokich kieszeniach pełnych jedynych skarbów. Lepiej tylko próbować kiwać spokojnie głową, drżącą od nieprzychylniej pogody i odstawienia, i nie dać poznać po rumieńcach i rozbieganych oczach, że sprawy, o które się pyta, rzeczywiście interesują, bo wszyscy zaraz robią się podejrzliwi, zwłaszcza ci starsi, mądrzejsi. Oni coś kojarzyli, podpytani. Ktoś widział taką dwójkę – dziadka z dziewczyną, ktoś ich skądś znał, niby widywano ich już razem.

Do uszu Niepozornych Narkomanów doszły słuchy, że widzieli na parkingu rodzinę, dziadka i wnuczkę. Ktoś rzekł im, że ćpają razem, dwójka bezdomnych spod jednego niegdyś dachu, jednego rodu. Ktoś widział ich wczoraj, razem, więc mężczyźni mogli chyba westchnąć z ulgą. Może tak byłoby rozsądnie, gdyby... pewne kwestie nie wżerały się w świadomość swoją niecodziennością. To, czego świadkami byli ci dwaj, nie wyglądało na typowe „rodzinne ćpanie”, a przywoływanie tego widoku w pamięci mroziło im krew w żyłach, trzęsło ich ciała dreszczami, nijak nie dając spokoju. Po wysłuchaniu świadectw włóczęgów nie poczuli się swobodniej, a przemierzając kolejne przecierane codzienne przez setki stóp szlaki, każdy z nich szukał w twarzach i sylwetkach przechodniów tych konkretnych, które jawiły im się w koszmarnych, paranoicznych wizjach. W stolicy, nawet tak marnej w mieszkańców i biednej w rozrywce, mija się gęby i facjaty wszystkich maści i narodowości: siostry Filipinki, tureckie kebaby, wysuszeni rybacy, którzy byli tu zawsze, oraz wierni i niewierni ze wszystkich wschodów i zachodów Europy i świata. Sporo w tym znajomych, wszyscy tak samo zadowoleni, witają się ciągle utartymi pozdrowieniami, jakby nie mogli wyczytać z twarzy tej dwójki mroku,

który osiadł na ich duszach; mroku, który czał się żywy gdzieś w ścianach głuchych piwnic i parkingów, tuż przecież obok. Tylko bezdomni, którzy usłyszeli ich historię, zaczęli inaczej na nich patrzeć – w dniu, kiedy wyszło na jaw, że dziewczyna z parkingu jednak zaginęła.

CO SŁYCHAĆ NA PARKINGU

Usta, które plwają na wiarę, pierwsze dławią się strachem, kiedy wlać w nie niepewność.

Wieści między nędznikami i ulicznikami niosą się szybko, a nie głośno. Ściszone głosy szepczą plotki chętnymi ustami, chciwe uszy chwytają to; zamyślane, tłuste łby podumają nad tym w zamyśleniu, trawiąc informacje, żeby ostatecznie osądzić, że to zwyczajne, że tak się po prostu dzieje. Nie każdemu też się wszystko powtarza, nie każdy tam z każdym trzyma, chociaż wszyscy przecież się znają, miasto nie jest takie duże. Dwójka Niepozornych Narkomanów dostała od swoich pobratymców cynk, że dziewczyna, o którą wypytywali, zaginęła. Co niektórzy z grona ich znajomych zaczęli do tego zasypywać ich pytaniami o wszystko, jakby oni mogli wiedzieć cokolwiek więcej. Nie wiedzieli, ledwo pamiętali facjatę młodej narkomanki. Jedni im wierzyli, drudzy nie, wszyscy za to zaczęli mieć się na baczności, zwłaszcza że do sprawy wmieszały się psy, policja. Wiele okupowanych dotąd miejsc nawiedzały służby porządkowe, o różnych porach; nieszczęśliwców, którzy akurat znaleźli się w złym miejscu i czasie, przeganiano, uprzednio spisując. Wszystkim było to nie w smak, każdy psioczył pod nosem, oglądając się spod byka na boki.

Najbardziej zaciekawieni węszyli, a najintensywniejszy smród podejrzeń bił od bezdomnego dziada, rzekomego dziadka zaginionej. Natrafili na niego przypadkiem, niedaleko alkoholowego, gdzie stał chwiejnie, chroniąc siwe kudły i brodę przed nieustającym deszczem

niesionym znad zimnych połączeń oceanu. Mordeę chcieli mu obiść, ale opanowali się. Zdecydowali się przesłuchać – przeliczyli się – dziad nie kontaktował, pokłute świeżo łapy i odór alkoholu tłumaczyły dlaczego. Jeszcze tego samego wieczoru ci sami ludzie postanowili odwiedzić feralny parking, na którym nakryto dziwną parę na nie wiadomo czym. Podekscytowani, podchmieleni i nafaszerowani, który czym mógł, wleźli w wilgotne podziemia głuchego parkingu. Odór, który zawsze panował w takich miejscach, wydawał się mocniejszy, echo stawianych kroków bardziej puste i przejmujące, panujące tam zimno bardziej dotkliwie... Naniesione przez lokalną młodzież malowidła nie upiększały tego miejsca, odrapane, śliskie schody nie zachęcały do pokonywania ich, zużyte igły, obsrane skrawki papieru i wszechobecne ślady krwi oraz zapach moczu kazały zmysłom zawracać, porzucić to niegościnnie miejsce. Ale im, menelom, nie było to straszne, nie aż tak, chociaż ścisnęło ich coś w niemiarkowo tętniących, sercowych pompach. Był z nimi jeden z tych dwóch Niepozornych Narkomanów, pokazywał im palcem, gdzie siedziała dwójka, a oni komentowali ściszonymi głosami. Któryś z obecnych był tam wczoraj i powiedział, że w tym samym miejscu spisywała go policja, kiedy próbował ułożyć sobie legowisko do snu. Inny zauważył cierpko, że w sumie nic tu po nich, nikt przecież nie powiedział, że to tu zaginęła ta ćpunka, zresztą widziano ją potem gdzie indziej. Ledwo pogłos jego pogardy przygasł, kiedy drzwi na drugim końcu parkingu trzasnęły z okropnym hukiem. Wszyscy obecni tam aż podskoczyli. Zaczęli też wymieniać się przejętymi spojrzeniami i pytać nawzajem, co to było. Ten sam, który dopiero co podważył sens całej tej eskapady, burknął, że to głupie żarty, na co ktoś roześmiał się histerycznym śmiechem, mrozącym krew w żyłach. Nie był to jednak żaden z włóczęgów, którzy znowu wymienili między sobą spojrzenia – tym razem zupełnie przerażone...

SPRAWY DZIWNE I MIEJSCA PRZEKŁĘTE

Którzy głodni dowodów, dostawszy je, jakby truciznę na zmysły i serce przyjęli, nie myślą już jak dotychczas, na zawsze dziwactwem dotknięci, zatruci.

W akcie paniki i desperacji popełniać można różne głupstwa, a ludzie, którzy sięgnęli dna, wiedzą to doskonale. Ci zebrani tamtego wieczoru na parkingu zachowali więc spokój, pozorny. Najmłodszy z nich chciał zaraz pobiec do przeciwległych drzwi, ale reszta powstrzymała go, każąc mu siedzieć na dupie i nigdzie się nie ruszać. I tak zamarli wszyscy, nasłuchując. Jedna z parkingowych lamp zaczęła niespokojnie brzęczeć, gdzieś w tle kapąła woda – i tyle, zupełna cisza... Można było rzec, iż wtedy także sam czas zwolnił, stanął w miejscu; bezdomni jednak czasu nie mierzyli, dopóki nie zmuszały ich do tego siły wyższe. Z jaką siłą mierzyli się teraz? Niewielka grupka skupiła się bardziej, jakby wszyscy chcieli kisić się teraz we własnym smrodzie oraz w smrodzie parkingowych schodów.

W końcu znowu ktoś rzucił pytanie, co to było. Tym razem jednak nikt nie ośmielił się odpowiedzieć, nikt zresztą nie wiedział. Kiedy pierwszy szok opadł, szum i szelest używanych ubrań, w które obleczeni byli tam obecni, stał się wyraźniejszy, a usta ich wzdychały wreszcie z ulgą, gdy powracali pijanymi zmysłami do nietrzeźwej, względnej normalności. Padła decyzja, żeby stamtąd iść, bo ktoś pewnie robił sobie jaja. Przeciwległe drzwi parkingu pozostały niezbadane – nie wiadomo, kto je zatrzasnął ani kto rżał w tym miejscu tym przejmującym, obłąkanym chichotem. Na

zewnątrz atmosfera znowu jakby się oczyściła, jakby tych kilku mężczyzn wróciło właśnie z innego świata, z małego piekła tam na dole, gdzie nieświadomi niczego mieszkańcy okolicy parkują swoje drogie i tanie fury. Chociaż padał wtedy deszcz i większość z nich będzie musiała potem kombinować, gdzie i jak wysuszyć swoje zdobyczne szmaty, wszyscy wydawali się zadowoleni ze zmiany otoczenia i żywo dyskutowali o tym, czego byli świadkami. Dziwna to jednak sprawa i dziwne miejsce, ten parking – tak jednogłośnie orzekli.

– Przekłete – podsumował jeden z nich, ten sam, który bywał tam częściej i wcześniej napotkał tam parę, z której ostał się jeno bełkotliwy dziadyga.

Najstarszy spośród nich, który siwiznę chował pod puchatą czapkę z klapkami na uszy, upomniał go i zabronił żartować z całego zajścia i sił przeklętych. Część mu przytaknęła, ale inni zwątpili, ażeby jakieś moce nieczyste w ogóle brać pod uwagę. Chociaż razem się oni wszyscy trzymali, każdy inaczej życie postrzegał i innych starał się przestrzegać zasad. Ci nawet wątpiący we wszelką wiarę i duchowość poradzili jednak mężczyźnie spasować i temat przeklętych zjawisk i spraw demonicznych porzucić, ale ten nie zgodził się, może po złości. Z uśmiechem na smagłej opalenizną gębie bluzgać zaczął na wszelkie religie świata, a ludzi wierzących i wiernych do robaków porównywać, co leżą ślepo prosto pod buty religijnych zwierzchników i mentalnych guru i przywódców. Z modlitw czczych się śmiał, z kościołów pełnych dewocji, a serc pełnych zepsucia i dewiacji. Na nic go upominali, ten nakręcił się i bluźnił dalej, rażąc uszy i uczucia swoich ziomków. Po którymś upomnieniu, kiedy ostrzegli go, żeby uważał na konsekwencje swych odważnych słów, ten prowokująco rzekł, że nic mu nie jest straszne, że w Boga ni szatana nie wierzy, że wszelkie nadprzyrodzone cuda to bujda, może tylko kosmici

gdzieś tam są i czekają na bliższe spotkanie. Na to posypały się wyznania różne dziwne i najdziwniejsze, z żyć ich wzięte, mniej lub bardziej podkoloryzowane; i doszło też do spotkań z duchami i ze zmarłymi. I wspomniał ktoś o zjawie, co po okolicy podobno straszyla, i niejednemu niedowiarkowi się ukazywała – nigdy jednak przy pierwszej próbie. Mężczyzna mówił, że miejsce to zna, że był tam i próbował, ale na próżno. I dodał, że skoro historia głosi, że trzeba kilku do mary podejść, to i on nie ma nic przeciwko, chętnie chciałby zobaczyć ducha, chętny był uwierzyć szczerze. Zarzekał się, że odwiedziłby to miejsce choćby w najmniej dogodnych okolicznościach: w środku nocy, bez światła, sam – bez problemu.

Niedaleko to było od tamtego parkingu, względnie, a i po drodze pod papierosowy, pod którym chcieli wszyscy przysiąc, wymęczeni niecodziennym zajściem. Przeszli się więc pod ten budynek, żeby mu się przyjrzeć. Wieczór był jasny, przestało już padać, tylko zimno doskwierało w przemokniętych butach i kurtkach – wszyscy pociągali nosami. Szary blok wydawał się taki jak inne – szary, stary, brudny, zwyczajny – ciągle był w użytku, nawet wyszedł z niego jakiś grubas, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi. Pobudzony wciąż mężczyzna zarzekał się, że pójdzie tam i udowodni im wszystkim, że nie ma czego udowadniać; reszta wzruszała ramionami – byle nie teraz, teraz musieli iść pod papierosowy. Ruszyli więc dalej, porzucając już wszystko, co niewyjaśnione i nienamacalne, żeby niedługo oddać się przyziemnym przyjemnościom – pijaństwu i innym nałogom. Kto mógł, zostawał jak najdłużej, reszta parła donikąd z nadzieją, że prześpi się gdzieś w ciepłym, gdzie nikt nie okradnie czy po prostu nie zabije we śnie... Niepospolite to było towarzystwo – typy bez strachu przed bójką i codziennie walczące o każdy kęs życia, ale drżące nieraz na profanację i obrazę Boga, który zdawał się dawno ich opuścić.

Niepozorny ćpun, kiedy to oni wszyscy opuścili już jego, nie spał tej nocy wcale, wiele przy tym myślał o duchu, którego pragnął ujrzeć – nie miał zamiaru odpuścić, ale odłożył ów plan na później, chciał się przygotować...

Kilka dni później dostał od kogoś tabletkę, podobno mocną, chyba na morfinie. Łyknął to i – kiedy już zaczęła działać – uznał, że to będzie ten wieczór. Noc, podczas której spróbuje zobaczyć ducha...

Poprawił sprezentowaną mu przez kumpla czapkę, następnie to samo zrobił z okularami w czarnej oprawce, a potem opuścił parking... inny parking, pod samym ratuszem. Na zewnątrz panował mrok, rozświetlany słabo palącymi się latarniami. Zerknął na zegar na ratuszu – jakieś dwadzieścia minut do północy, akurat. Jeszcze przed chwilą tam, w ścianach podziemi, kończył palić lufę, właśnie mu wchodziło, będzie się przyjemniej spacerowało. O ile zataczanie się w półświadomości można było nazwać spacerowaniem – ten wychudzony typ w przydużych ubraniach sam mógł sprawiać wrażenie jakiegoś dziwadła, mary czy ducha. Wokół jednak nikogo, kto mógłby wziąć go za zjawę, ulice wiały pustkami i oceanicznym, nieprzyjemnym chłodem. Czasem jednak zdawało mu się, że gdzieś kogoś usłyszał, że widział gdzieś czyjś przyczajony cień, czasem z kolei łapał się na tym, że to on sam ze sobą gaworzył, że jego odbicie zza szklanych gablot podążało za nim, nie spuszczać z niego oczu. Raz oblicze to śmiało się, zaraz krzychało coś wykrzywione grymasem złości, dziwne jak on sam lub bardziej, tak samo jak on zdeterminowane dotrzeć do celu, do z pozoru zwykłego, szarego budynku jak wszystkie wokół.

W drodze zmienny jak tutejsza pogoda, dotarłszy pod betonowy kłoc, uspokoił się niczym morze przed sztormem, i poczuł zimno – inne niż to nocne, szczypiące w uszy i kości palców. To zimno ostudzało cały jego dotychczasowy zapal i mroziło mu kończyny, czyniąc je ciężkimi i niechętnymi postępować dalej, do środka. Spojrzał w okna, nigdzie nie

palily się światła, wiêkszość pomieszczeñ czêściowo zasłaniały brudne firanki, żadna z szyb nie była uchylona. Nikt nie powinien tu być, wiedział o tym; stróż wychodził koło jedenastej czy nawet dziesiątej, wcześniej zbierali się tam tylko anonimowi alkoholicy – temu służyła ta betonowa, pozbawiona barwy i smaku, odrapana, kilkupiętrowa buda. Mężczyzna był tam już parokrotnie, z czystej ciekawości, nie na spotkaniach, a żeby sprawdzić pomieszczenia – wiedział, że kilka z nich zawsze pozostaje otwarte: piwnica, składziki, wszystkie korytarze, palarnia i toalety. Przed utorowaniem sobie drzwi wytrychem własnego pomysłu, uśmiechnął się blade do siebie i szepnął:

– Dasz radę! – I zaczął majstrować przy zamku. Poszło łatwo, ostatnio nabrał wprawy. Zaraz nacisnął klamkę i delikatnie pchnął drzwi, które otworzyły się gładko, cicho, bez skrzypienia. W środku panowała niemal zupełna ciemność, zionęło nią. Przeklęte miejsce – pomyślał i aż przeszły go dreszcze, kiedy dotarło do niego, że ma wejść do środka, żeby zobaczyć ducha... Ale wszedł, żałując bardzo mocno, że nie posiadał żadnego telefonu, teraz by się przydał, nie musiałby błądzić w tym mroku jak neptyk. Nie miał pojęcia, gdzie były włączniki światła na korytarzu, nie mógł ich wymacać, szepcząc przekleństwa i powoli posuwając się dalej, w głąb budynku. Chyba niezupełnie to przemyślał, ale nie chciał zawrócić i wyjść na tchórza, zapowiadało się więc na ciężką noc, a on sam tak samo bardzo pragnął teraz dowodów na istnienie duchów, jak i ich braku...

PRZEJMUJĄCE ZIMNO INNYCH OKOLICZNOŚCI

Nie każą strzec się przed sobą i pułapką pełni własnych możliwości, jakby potęga ludzkiej wyobraźni nie budziła grozy w ich przeżartych obojętnością wnętrzach.

Niby znał to miejsce, bywał tu już przecież – o różnych porach, w różnych okolicznościach, w różnych stanach – a jednak wszystko teraz inne mu się zdawało, zimna ciemność dusiła jego marną, wychudzoną sylwetkę, jakby chciała go wypchnąć z powrotem na zewnątrz... Własne kroki słyszał jako przytłumione, oddech własny chrapliwy mu się zdawał i jakby obcy, ale szedł dalej. Nie był z tych, którzy odpuszczają, nie w takich kwestiach – pokonał więc pierwszy korytarz, żeby na jego końcu wpaść z łoskotem na zakurzone schody. Zaklął głośno. Zawtórowało mu głuche echo, które zaraz wtopiło się w milczącą niegościnnie rzeczywistość wokół. Rozejrzał się, zbierając się po omacku do pionu. Myśli starał się uspokoić i powtarzał w nich w kółko jedną formułkę, jak jakąś spaczoną, diabelską mantrę:

– Wyłaź, kurwo, pokaż się!

Kilka razy wykrzyczał to na głos albo tak mu się wydawało, zaczął gubić się w tym, co działo się w nim, a co wokół niego... Na pewno czuł kołatające nerwowo serce, na pewno rozdarł sobie spodnie na schodach, dłonie chyba też – pulsowały ciepłem, były lepkie. Schody prowadziły na górę, po drodze mijał okno wyglądające na zewnątrz, na słabo oświetlony zaułek, zupełnie pusty, martwy o północy. Nie potrzebował żywej duszy,

szukał widma zza świątów – wspomnienia życia zakłętego gdzieś w murach tego miejsca, podobno. Jego marna, żółtawa latarnianym światłem twarz zniknęła więc zaraz z okna – mężczyzna wszedł na piętro. Dłużyło mu się wszystko – nie miał pojęcia, ile czasu spędził już w tym miejscu, zamknięty w obłądnie małej wieczności. Z nadzieją, która gdzieś głęboko przejmowała go strachem, zaczął sprawdzać pomieszczenia.

Prosił w myślach dalej, ciągnąc za klamki i szarpiąc za drzwi, znajdując zawalony składzik, śmierdzące tanią chemią toalety, puste sale albo takie pełne krzeseł – trochę jak w szkole. Wiele pomieszczeń było zamkniętych, a on nie miał zamiaru babrać się z każdym zamkiem. Dotarł jeszcze na palarnię, co poznał po zatechłym zapachu tytoniu. Można nią było przejść dalej, przez oszklone drzwi, ale on postanowił zrobić sobie przerwę na papierosa. Szorstkimi, brudnymi łapami próbował wymacać paczkę z gilzami i machorką. Szło mu ciężko – był przemęczony, przecpany i zły, i w tej palarni było kurewsko zimno – te brudne łapy całkiem mu zgrabiwały. Wyjąwszy w końcu tytoń z kieszeni, zaklął siarczyście i zerknął w szklany prostokąt palarnianych drzwi, żeby w moment znieruchomieć, a potem rzucić się do ucieczki...

STWÓRCY NOCNYCH MAR

Wyrzygać swoje lęki – to już nie lada odwaga.

Niektóre miasta nocą tętnią życiem, to ledwo pulsowało. W różnych miejscach włóczyli się tylko tacy jak on, pakując się w kłopoty, uciekając przed sobą nawzajem i problemami, które sami stwarzali. Ale to, co on zobaczył – sam to stworzył? Wszystko wydawało mu się za wyraźne i za prawdziwe, kiedy biegł, żeby uciec od tego jak najdalej. Jak wierzyć własnym rozchełstanym zmysłom, kogo zapytać o zdanie, skoro był sam... chyba... prawie... Ale obejrzeć się ani razu nie odważył, ani zatrzymać, pędził w podskokach przed siebie, na oślep, prawie przebijając się przez kolejne drzwi, nieomal zabijając się, zlatując ze schodów. Bał się, zwyczajnie się bał – zobaczył przecież, udało mu się, zabobonom i pogłoskom stało się zadość... Uczucia plątały mu się w głowie tak samo jak nogi ślizgające się po niewidzialnej w mroku posadzce, kiedy już wypadł na ulicę. Wpadł tym samym na kogoś, upadł, żeby teraz plątać się na środku ulicy z tym kimś, jakimś starym menelem.

Tamten wydawał jakieś nieartykułowane chrząsty, ale nic go to nie obchodziło – wydarł się z objęć nocnego wędrowca i puścił się dalej w długą, chcąc mieć to wszystko za sobą, jak najdalej. Biegł, aż opadł z sił – zatrzymał się niedaleko jeziora. Nogi mu się trzęsły, cały się trząsł, oparł się o jakieś cherlawe drzewo i zwymiotował, sam jak ono cherlawy, potargany wrażeniami tej nocy. Oddychał ciężko, bolało go w klatce piersiowej. Drżącymi dłońmi próbował otrzeć zarzygany pysk, nieobecny

wzrokiem gapił się na żółtawe, cuchnące wykrztusiny przed nim i myślał, czego dopiero co był świadkiem... Znowu jakaś chora akcja, wszystko było chore, a docierało to do niego z miażdżącą siłą – teraz, kiedy ni to trzeźwiał, ni to zaczynał czuć skutki zatrucia po odstawieniu. Myśli samowolnie wracały do obrazu, którego nie mogły pojąć – do zjawy z przeklętej palarni. Po chwili roześmiał się obłąkańczo, histerycznie – na wspomnienie własnego, infantylnego strachu. Nie mógł uwierzyć ani w to, co zobaczył, ani w to, jak na to zareagował. Nie przeczył, że mógł to być tylko narkotyczny majak, ale ona była taka wyraźna... bo to była ona, dziewczyna.

Na pewno spotkał ją już wcześniej, oczywiście w innych okolicznościach. Chciał skojarzyć ją z którąkolwiek, z byle jaką, ale umysł sam podsuwał mu tę jedną, konkretną, zaginioną – to ją tam zobaczył...

Nie śmiał się już, przeszedł go dreszcz. Zobaczył ducha zaginionej dziewczyny, tak czuł, w to wierzył. Nerwowo rozejrzał się wokół, jakby wstydził się tej swojej słabości – wiary... Nienawidził tego, jak na niego patrzyli, ale nikogo nie było – wiało tylko zimną bryzą znad jeziora, był środek względnie spokojnej nocy. Miasto już dawno spało, a i jemu przydałby się odpoczynek, był zupełnie zziębnięty. Ruszył betonowym bulwarem nad wodą. Odbijały się na niej przymrużone światła z odległych, milczących ulic, a pomiędzy tymi odblaskami, na spokojnej tafli, dryfowały sennie kaczki.

Szedł ku sobie znanemu legowisku, na jednym z parkingów. Nogi niosły go same, głową był jeszcze tam, gdzie zostawił nocną zjawę. Nie uciekł bez powodu, a teraz ten powód do niego docierał: mężczyzna nie wystraszył się, bo ją zobaczył. Przeraziło go to, że ona widziała jego. Jej zimny, tępy, przesywający wzrok, kiedy patrzyła mu prosto w oczy – bez wyrazu, ale z dziwną świadomością, jakby dobrze wiedziała, że ją ujrzał,

jakby na to czekała. Nie mógł tego znieść, nawet naćpany, nie lubił, kiedy patrzyli, a ona patrzyła tak bardzo... wprost... Nawet przez szklane drzwi mógł rozróżnić dwie czarne dziury jej oczu w uniesionej prosto, zupełnie bladej twarzy. Dzięki tej bladości i białej koszuli mógł ją wtedy w ogóle zobaczyć – straszną swoją statycznością, całkiem nieruchomą. To musiała być ta ćpunka, która zniknęła, bo kto inny?

Szyba trochę zniekształciła jej trupio blade oblicze, a i jego percepcja i zmysły nawalały; ale i tak coś trzymało jego świadomość w nieprzyjemnym ścisisku, który powtarzał: „To ona!”. Jej brudne, zatarte wspomnienie z feralnego parkingu kłóciło się z tym drugim – w bieli, w starej kamienicy, gdzie spotykali się anonimowi alkoholicy. Oba były tak samo niewyraźne, groteskowe i trochę jakby karykaturalne – dwa oblicza jednej postaci, jeden wizerunek szydzący z drugiego. Chciał komuś opowiedzieć o tych wydarzeniach, o tych wizjach, męczyło go to, potrzebował spowiednika, niekoniecznie zaraz duchownego. Ktoś się znajdzie, kto wysłucha, zapamięta albo zapomni, bez różnicy. Teraz pora była odpocząć, na jednym z parkingów – królewskim niemalże, nie żalowali tam ogrzewania, przynajmniej w jednym, upatrzonym przez niego kącie. Tuptając niemiarkowo między wygaszonymi autami, Niepozorny Narkoman nie bał się żadnych śmiechów, trzasków, żadnych zjaw; widział już swoje – ujrzał, czego tak pragnął. Kiedy więc wciskał się namiętnie w pozostawiony na niewidocznej dla postronnych półeczce śpiwór, był spokojny, jakby nic nie groziło mu w tym niegościnnym miejscu. Długo nie mógł zasnąć, ściśnięty we własnym brudzie i smrodzie, którego od dawna już nie czuł, od czasu do czasu telepało nim, a w półsennych wizjach przychodziły tajemnicze postacie, głosy, niepokój. Jakby jakieś demony nocy nawiedzały go teraz za to, że swoimi herezjami i karygodnym zachowaniem tak naubliżał wszystkiemu, co niewyjaśnione

i niewytłumaczalne. Sam czuł się w tym wszystkim zły, najgorszy, jakby jakieś mroczne echa przeszłości wyżerały go od środka, trawiły tak trzewia, jak uwiązaną do nich niewidzialnymi sznurkami, splamioną duszę. Wszyscy byli grzesznikami, nie było komu zbawić tego zapadającego się pod ciężarem własnych win świata. Dziwki nie puszczały się tylko na rogach ulic, ale spały smacznie u boków swoich mężów, mordercy i gwałciciele w większości unikali kary, sprawiedliwość nigdy nie miała miejsca w padole niesprawiedliwości. Bolało go to wszystko teraz, razem ze skórą i kośćmi. Gorzko smakowało życie na skraju nędzy, kiedy wokół śmietankę pili nie lepsi, nie więksi, ni krzty szlachetniejsi. Ta gorycz malowała się krzywo na jego wymiętej twarzy, zalepionej miejskim pyłem i przyciemnionej tutejszym słabym słońcem. I taki ból chciał wypłuć komuś w twarz, najlepiej wszystkim i wszędzie; i to chciał z siebie wydrzeć – truciznę bytu, świadomość powszechnej beznadziei egzystencji.

Dawno się w tym wszystkim pogubił, może dzięki temu mógł widzieć teraz nocne mary i słyszeć demoniczne głosy, wraz z innymi zagubionymi. Czasem czuł się między nimi mądrzejszy, ale okoliczności – inne okoliczności – często pokazywały mu, że spomiędzy tych wybranych – wygnańców, uliczników i bezdomnych – każdy posiadał jakąś wiedzę i potrafił z niej skorzystać, kiedy nie dobijały inne słabości. A tych było bez liku – codziennie „wybrańcy” borykali się z kolejnymi problemami, często sami je sobie roili, czepiając się przekreślonych faktów, plotek i pomówień, wszystko pod wpływem. Ale jakoś tak trwali, we własnych urojonych światach, bojąc się ujawnić jedni przed drugimi z największymi paranojami, które męczyły niestrawnością ich mentalne żołądki. Tyrane tym samym ciało mężczyzny w końcu poddało się, a on usnął głęboko na twardym podłożu.

PODZIAŁY PRZY DZIELENIU

Czy jest ofiarą, który bezsilny jest wobec przemocy, którą sam zadaje w amoku?

Ludzie dzielą się na różnych i różnie się dzielą. Niektórych coś łączy w całość pomimo różnic, mimo podziałów. Trochę wybrakowane bywają te całości, jak i ich składowe; i może wręcz kogo złościć, że wraz z innymi na daną całość się składa; i niejeden się złości. Nawet pobożne siostry, chociaż te pewnie rzadziej, świątobliwe i uczynne, raczej świadkami są mniejszych i większych niesnasek pomiędzy ich mniej lub bardziej ubogimi gośćmi. Ta wydarzyła się niedługo po porannej modlitwie. Przyczyny rzadko są znane, bo rzadko jasne, najbardziej zaś zainteresowani nie tłumaczą się. Chociaż zakonnice pytają, chcąc pomóc, zaradzić – krzycząc i piszcząc, i rozdzielając, kiedy wokół rzucają obelgi, przepychają się, czasem poleje się krew. Tym razem on był w centrum – ulicznik z wizjami. Gapili się teraz wszyscy na niego, wrzeszczeli, a on czuł gniew i wstyd... głównie gniew. Czuł, że uderzył tamtego słusznie, ale nie miał w zanadrzu żadnego argumentu, właściwie nie był w stanie się argumentować, zaczął się więc wycofywać, pośród ogólnego poruszenia. Bo przecież wszyscy musieli się gapić, komentować, reagować – a on tak tego nie znosił, jak całej zresztą tej bandy przygłupiej, wężącej sensacji hołoty. Wielu powtarzało jego imię, chcieli go uspokoić; on nie chciał się uspokoić, chciał spokoju od nich, od ich przytłaczającej denności – nic nie rozumieli, jak chcieli pomóc? Zostawił ich zatem, pędził przez miasto – bezmyślnie, niewyspany, brudny,

niedomyty, zły i na głodzie. Wymachiwał rękami, zataczał się, przystawał i rozglądał się jak szalony. Jeśli ktoś obrócił się ku niemu, zaraz tego żałował – mężczyzna w odpowiedzi wygrażał i darł się wniebogłosy, nikomu nie szczędził. Byłby tak zdarł całe gardło i pięści z butami, waląc kończynami w co popadnie, gdyby nie spotkał jednego ze swoich znajomych, Niepozornego Narkomana, niespecjalnie wyróżniającego się z tłumu. Wymienili parę zdań, zapalili papierosy. Mężczyzna chciał zwierzyć się znajomemu z tego, o czym rano próbował opowiedzieć włóczęgom na śniadaniu u mniszek.

On poniekąd na to zasługiwał – był to ten sam typ, z którym trafił na dziwną parę. Tylko nim zdążył przejść do rzeczy, tamten zaczął wypytać o jego nastrój i niepokojące pobudzenie. Rzekł mu wymijająco o rozruchach na wspólnym śniadaniu i oznajmił, że musi ruszać dalej, obiecał jednak wspomnieć mu o duchu, może w bardziej dogodnej chwili. Usłyszawszy wzmiankę o zjawie, jego rozmówca nie wydawał się zdziwiony, pokiwał tylko głową i rozeszli się, każdy w swoją stronę.

Każdy z nich na chwilę wrócił myślą do zdarzenia z parkingu. Co wydarzyło się tam naprawdę? Była to jedna z niewielu spraw, które ostatnio zajmowały ich umysły, umysły dwóch Niepozornych Narkomanów. Ten drugi nie wiedział jeszcze, że dziewczyna (czy raczej jej widmo) niezupełnie zaginęła; a tego, który ją spotkał, ta świadomość paliła, chociaż nigdy by tego nie przyznał. Wcześniej próbował już podzielić się wiadomością, którą posiadał – pod klasztorem, u sióstr – i dobrze mu szło, dopóki otaczali go tam ci, których bardziej tolerował. Ale poddał się prędko, gdyż wartki jego charakter był nie do przewidzenia, a już najrzadziej na kacu po wybujałych nocach spędzonych na ćpaniu i wyglądaniu duchów. Jego ciało przypelzło tam wrakiem, wijąc się bez ładu i składu, dusza jednak była podekscytowana, żywa bardzo w tym

półżywym, półmartwym bycie. Zadowolony, że będzie miał czym przyświecić przed poniektórymi, pomógł nawet zakonnicom zastawiać do stołu, przybył bowiem jako jeden z pierwszych. Nie miał wątpliwości, że serca jego słuchaczy wpędzi w szok, niepokój i trwogę, może także w podziw, oczywiście skromny. Kiedy ułożył już to sobie w głowie oraz kiedy zeszło się tam już właściwe mu grono, podszedł do nich i zaczął historyjkę wzmianką o tym, że odwiedził ostatniej nocy ten budynek, w którym spotykają się anonimowi pijacy. Mimochodem niby napomknął, że to ten, w którym podobno straszy. To wystarczyło, żeby ktoś z nader skromnej publiki podchwycił i zapytał:

– I co? Widziałeś ducha?

Niepozorny Narkoman zdążył tylko pokiwać głową, kiedy ktoś mu przerwał, wtrącając, że dopiero co słyszał, że przed tym właśnie miejscem znaleziono krew, przed samym wejściem. To odebrało ćpunowi mowę, a wszystkich skłoniło do zwrócenia się ku niemu, jakby on miał im zaraz to wszystko wyjaśnić. Gapili się nieznośnie, a w nim narastało napięcie, burzyła się złość. Miast niego odezwał się kolejny pierdolony mówca, oznajmiając, że rzeczywiście – idąc tutaj, mijał tamto miejsce i chyba widział tam policyjny radiowóz. Jeden z obecnych znajomków ćpuna wyczytał ogień w jego rozbieganych oczach, jednocząco uniósł więc obie dłonie i uspokajającym tonem poprosił, ażeby każdy poczekał ze swoimi nowinami, po kolei. W tej samej chwili do grona dyskutantów włączył się jakiś ciemnoskóry, na chwilę, z talerzem w ręku, prosząc niewysłuchanego narkomana właśnie o jakąś drobną przysługę. To przelało czarę goryczy, a w skacowanym łbie mężczyzny coś pękło. Biedny Hiszpan czy Marokańczyk za późno zorientował się, że popełnił błąd i wtrącił się w złym momencie, zwracając się do niewłaściwej osoby.

– Żryj to, skurwysynu! – zawył przećpany jegomość, kiedy jego pięść rozbijała płaski nos ofiary. Uderzony legł na ziemię, nakładając się jednym z naczyń, które bijący go z taką dumą i chlubą dopiero co przecież szykował...

Prosty cios, żadnej filozofii, żadnego nawet powodu, upadek i trochę krwi i konsekwencje: wrzaski, uniesienie, powtarzane w kółko jego imię, raz po raz. Słyszał je doskonale, ale z początku nie reagował – jakby tam w środku to nie był on, jakby coś w niego wstąpiło. Czy on tam w ogóle był, w ogóle istniał? Kimkolwiek był, czuł, że mógł wszystko, a wszyscy wokół... cóż, tylko mu wadzili, każdy teraz był przeszkodą. Gardził nimi i szydził z nich. Kiedy trzęsące się lękiem siostry pytały go o powody, zawył, uśmiechając się krzywo:

– Bo jest, kurwa, czarny! Bo mogę!

Co miały na to rzec – jak w Boga wierzyły, tak w to nie dowierzały; jednym opadały ręce, drugie wznosiły je do nieba, wypłakując po filipińsku swoje paciorki.

– Teraz odjechałeś, co w ciebie wstąpiło? – zapytał któryś z jego znajomych.

Odepchnął go, chciał iść... I poszedł, nikt go nie zatrzymywał. Wytoczył się stamtąd i toczył się tak, jak wspomniano tu już wcześniej. Jego mózg nie pracował normalnie, ciało i jego zachowanie – wszystko o tym świadczyło. W myślach nazywał się Wielkim Heretykiem, którego oni nie docenili, niegodni. Nastąpił między nimi podział, który winien nastąpić dawno. Tak jest lepiej: nie potrzeba mu towarzystwa innych włóczęgów ani łaski sióstr, miał siły za dwóch i mógł widzieć duchy, na co mu oni wszyscy? Tylko się gapili, doprowadzając go do szau, jakby widzieli w nim chorego, opętanego. Więc szedł teraz sam i nie przejmował się tym, co działo się potem, tam.

Po prawdzie to niewiele, jedna taka sensacja na dzień wystarczyła, żeby reszta zawiesiła swoje humory i niekontrolowane wybuchy gniewu na kiedy indziej. Wszyscy jedli w zgodzie i względnej ciszy, i o duchach, policji i krwi jakoś zapomnieli. Niepotrzebne im były teraz te brudy, nie przy jedzeniu ani tym bardziej przy siostrach. Kiedy jednak się rozchodzili, jeden z nich, o uśmiechu morderczym i spojrzeniu groźnawym, szczerząc się właśnie na ten swój sposób, zapytał:

– Jak myślicie, skąd ta krew?

Dwóch starszych rzekło mu, żeby cichał i sprawy nie drażył, bo sił i nerwów im na to brakowało. I jeden z nich odszedł, ale mężczyzna czepił się drugiego, nakręcając się na temat jak pozytywka. Snuł przy tym wywody i słał w eter pytania, słuchającego go o niepokój coraz większy przyprawiając. Gaił ciągle tamtego, zastanawiając się, co jeśli ich dobry kumpel był tak naprawdę chorym oprawcą, bezdusznym demonem w ludzkiej skórze? Założenia takie jakby ekscytowały go, płynął wyobraźnią dalej, a ta była jak rzeka krwi, pełna skojarzeń złych, niecznych i nieczystych. Najczęściej wracał do jednego, powtarzając je nienaturalnie często:

– Co jeśli on tam kogoś zjadł? Dziwne by to było, prawda?

Tamten gasił go okrzykami, iż to niedorzeczność, absurd, ale typ z zakazaną gębą i wybujałą wyobraźnią nie poddawał się, ciągle wracał do tematu zabijania... i jedzenia. Nie było odpowiedzi, która zgasiłaby zapal męczyzny, cokolwiek ten drugi mu odburknął, tamten wciąż paplał swoje. Powtarzał, chichocząc, że przecież wszystko jest możliwe, że ludzie jedzą ludzi, że każdy przecież ma coś za uszami, każdy miewa słabości i dziwactwa, a przecież oni byli wyjątkowo dziwni. Starszy rozmówca kazał mu w końcu przestać, a ten w odpowiedzi zapytał go, czy ten się boi... Tamten mimowolnie odczuł strach, chociaż nie należał do takich,

którzy łatwo dają się zastraszyć, i choć nie przyznał się do niczego, tamten kontynuował wywiad, jakby zajrzał mu prosto w duszę.

– Ale chyba nie boisz się mnie?

Czerwony jak burak mężczyzna zaprzeczył, ale uciekał wzrokiem byle gdzie, a jego spocone dłonie miętoszyły nerwowo jego puchową kurtkę. Na tym ich rozmowa się urwała, błędzili dalej w milczeniu. Każdy jednak z nich milczał inaczej – jeden ciągle rozmyślał o krwi i domniemanym akcie kanibalizmu, którego miał dokonać Niepozorny Narkoman, a drugi... zerkał nieswojo na włączkę obok niego, zerkał podejrzliwie, nie wiedząc, co tamten ma w głowie i co... co potrafił wyczytać z jego zachowania i facjaty, wolał uważać, bardzo uważać... W jednym przyznawał tamtemu rację: wszyscy byli wyjątkowo dziwni... ale to jakoś go przerastało. Niepokoił go też chichot tego faceta – z czymś mu się kojarzył, źle mu się kojarzył... Pomyślał o parkingu, ale... on był wtedy z nimi, nie mógł być tym tajemniczym kawalarzem, który ich wszystkich wtedy nastraszył.

Pod papierosowym odrzucił te myśli. Wszyscy byli wyjątkowo dziwni, ale w miarę równi, nie powinien podejrzewać tego człowieka o takie rzeczy, nawet kiedy ten plótno takie bzdury. Zerknął na niego, kręcącego się niespokojnie, wyszczerzonego od ucha do ucha, obcinającego każdego przechodnia w złowrogi, nieludzki sposób. Tamten otworzył piwo, podzielił się z nim – zupełnie inaczej niż się patrzył – po ludzku. Czy można było go oceniać po tych paru dziwactwach?

– Chyba nie jestem taki straszny, co? – zapytał go nagle, a na zakazanej jego mordzie wykwitło coś jak przejęcie, jakby posmutniał. Ciarki przeszły starszego faceta na to pytanie, zadane prosto w jego oczy. Czy ten wariat czytał mu w głowie? Nie pasowało mu to wszystko, to towarzystwo, ale na inne nie było go stać, był tylko jednym z włączeków.

– Nie przejmuj się – odparł mu wymijająco, kiedy tamten stał i wykręcał swoją szczęką tak, że trudno było o groźniejszy widok zamknięty w ludzkim obliczu...

ZNAJOME PYSKI

Gdzie ręką nie sięgnie się ni nożem, tam trzeba w ducha zemstę włożyć.

Ten sam ciemnoskóry pojawił się w życiu dwóch Niepozornych Narkomanów następnego dnia. Jeden z nich przywitał się z nim serdecznie, a ten drugi, który uprzednio obił mu nieco pysk, poszedł w jego ślady i zrobił dokładnie to samo. I tamten nie dał po sobie znać, że wczoraj został źle potraktowany, każdemu podał rękę i ruszył dalej, a dopiero kiedy odszedł, ten drugi wyznał:

– Pobiłem go. U sióstr.

– Dlaczego? Bo jest czarny? – padło ze strony tego, który pierwszy ruszył z pozdrowieniami. Tamten przytaknął, nawet przeprosił. Ale w środku nie żałował – pobiłby każdego za byle co, jeśliby tylko stanął mu ktoś na drodze. Teraz jednak nie myślał o nienawiści do ludzkości, a o zjawie, o której tamten przechodzień mu przypomniał. Spróbował więc znowu opowiedzieć komuś o swojej nocnej eskapadzie, i tak zaczęła się ich mała filozoficzna dysputka. Najpierw padło pytanie o wiarę w życie pozagrobowe, zjawiska paranormalne, pytanie rzucone niepewnie i z nietęgą miną.

– W coś tam wierzę – odparł znajomy, raczej niedbale, marszcząc krzaczaste brwi.

– Ja normalnie nie... – wybąkał wychudzony mężczyzna, niknąc jakoś w o wiele za dużej, jaskrawej kurtce – ...ale po tym, co tam zobaczyłem... to już tak.

Kiwnął mu głową, ten drugi Niepozorny Narkoman, nie mając bladego pojęcia, o jakie „tam” chodziło. Zmierzył swojego kumpla – już od jakiegoś czasu bywało z nim różnie, ale... może i dobrze, że w coś tam wierzył, słuchał go dalej. Mówił mu o tym, jak się musiał przecpać, żeby poczuć się kimś nader wielkim i kimś godnym dostąpić niewyjaśnionego, nienaturalnego, zobaczyć marę, ujrzeć ducha. Mówił o wałęsaniu się w mroku nocy, o odważnym pomyśle, o jego realizacji. I cała gadka szła mu gładko, nawet ten fragment o tym, jak dziewczę zza palarnianych drzwi spojrzało mu prosto w oczy, wiedząc, że on patrzy i widzi. Zaciął się dopiero w momencie ucieczki, kiedy to wpadł na nocnego spacerowicza. Pomyślał o krwi i zadrżał, zastanawiając się, co też się tam wydarzyło – czy zrobił tamtemu krzywdę? Widząc na jego osmolonej słońcem i brudem twarzy zakłopotanie, jego słuchacz poczuł się zobowiązany zadać jakieś pytanie, cokolwiek:

– Widziałeś tam kogoś jeszcze? – padło mimochodem.

Teraz opowiadający zupełnie oniemiał, zaczął wpadać w panikę i, jękając się, zaprzeczać, ażeby kogokolwiek miał tam wówczas napotkać; był przecież środek nocy, północ, nikt normalny nie kręci się o takiej porze, w takich miejscach.

– A ta dziewczyna... przypominała ci kogoś? – padło kolejne pytanie, rażąc znowu mężczyznę jak piorun. Zaczynał podejrzewać, że jego towarzysz wie więcej, niż mogłoby się zdawać i zadaje nazbyt właściwe pytania. Skoro tak, postanowił podzielić się z nim swoim widzimisię.

– Myślisz, że mogłem ją zobaczyć? Tamtą zaginioną ćpunkę?

– Mogłeś zobaczyć kogokolwiek, w różnych stanach widuje się różne rzeczy. Trzeba uważać z osądami i z zaufaniem nawet wobec siebie i własnych zmysłów. Czasem nawet przywidzenie może wywołać w nas nie tylko dreszcze, a dotknąć nas zupełnie tak, jak coś... materialnego. Dlatego

niebezpiecznie jest zawierzać za bardzo takim omamom i wyglądać takich zjawisk jak nawiedzone domy czy siły nieczyste, ponieważ sama nasza wola, poparta ułudą skrzywionej świadomości może... wyrządzić komuś krzywdę. A w takich chwilach, kiedy wydaje ci się, że coś cię nawiedza, coś jest obecne tuż obok – strzeż się i nie próbuj z tym igrać, nieważne, jakim bogiem czujesz się we własnym świecie. I ja miewam takie chwile, wiesz, i wtedy po prostu się modłę, mi to pomaga, wiesz, jak to mówią: jak trwoga, to do Boga. A różne dziwności w życiu napotykałem, uwierz. Od jakiegoś czasu w ogóle wszystko jest dziwne, widziałeś się ostatnio z tym złośliwym kolesiem, który zawsze się skrada za plecami i plecie od rzeczy? Przeraża mnie, źle mu z oczu patrzy, a odkąd zaginęła ta laska, nie widuję prawie ani jego... ani wielu innych. Chuj zresztą z nim, chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś uważał, co bierzesz i gdzie się potem szlajasz, i co robisz – czasem niewiele trzeba do katastrofy, sam wiesz...

– Próbowałem kiedyś wezwać szatana, teraz wiem, że on istnieje – tak jak duchy – i jest moim arcywrogiem, nienawidzę go. Prawda jest taka, że on jest tu wśród nas i wszystko psuje i miesza, to przez niego jesteśmy tacy słabi, te narkotyki i to wszystko. W Boga za to nie wiem, czy wierzę, chyba nie bardzo. W duchy zmarłych nie wierzyłem aż do teraz. Możesz się kiedyś tam przejść i zobaczyć, na pewno tam będzie, idź w nocy. A tego typu nie widziałem od wczoraj, też szalony mi się zdaje. Mówiłem ci zresztą, że najpierw jego też wziąłem za jakieś dziwadło, dopiero potem okazał się prawdziwy. Ciekawe, czy taki się modli albo w cokolwiek wierzy. Znaczący... wierzy na pewno, jakiś czas temu rozmawiałem z nim nawet normalnie, kontaktuje bardziej, niż mogłoby się wydawać, czasem też mnie to przeraża. Lubi też dziwaczne tematy i jakby się na nich zawiesza. Czasem wydaje mi się, że musiał odjechać kiedyś coś grubego. Może to mu zryło czachę, wiesz, takie rzeczy gdzieś w ludziach zostają,

czynią ich bardziej wrakami, w pewnym sensie. Sam zresztą wiem po sobie, codziennie gdzieś wychodzi bokiem moja przeszłość i moja historia, słowem – przejebane.

Tak to się mniej więcej toczyło, ta konwersacja, ledwo w sumie hacząc o filozofię czy poglądy rozmówców, a przechodząc, nie wiedzieć czemu, do ich znajomego, którego nazywali nieraz „Krzywogębym” dla ułatwienia. Zamknęły się w końcu ich gęby, a ciała rozeszły w swoje strony, dość im było o kwestiach wiary w tej całej beznadziei bez miłości.

Drugi z tych Narkomanów Niepozornych, co ducha ostatnio żadnego nie widział, wrócił do pracy. Tamten zaś włóczył się dalej, żeby wpaść w końcu pod papierosowym na innego swojego znajomego. Tamten bez ceregieli zdał mu relację z ostatniej rozmowy o nim, którą odbył z nikim innym, a z Krzywogębym właśnie. Był to ten starszy facet, od którego ten dziwoląg nie chciał się wczoraj odczepić. Powtarzał w kółko, z niedowierzaniem, że Krzywogęby oskarżał Niepozornego Narkomana o... akt kanibalizmu. Zaczął wzmiankować coś o krwi, ale kiedy Narkomanowi zrzędała mina, szybko zupełnie zmienił temat, wspomniał coś o pożarze, który miał miejsce tej samej nocy, której Niepozorny widział ducha. Miał to być podobno wypadek, ale ostatnio coraz więcej takichże wypadków, a przez to i coraz więcej policji tu i tam. Nie było sensu teraz się wychylać i trzeba było uważać, nieważne, co się robiło. Dlatego też, pożegnawszy się niedługo potem, tego właśnie sobie życzyli ci dwaj mężczyźni: żeby każdy z nich na siebie uważał.

Więcej rozważając, niż uważając, Niepozorny Narkoman minął papierosowy, bocznymi przejściami mknąc w stronę głównych placów miasta, kiedy myśli jego biegły ku Krzywogębemu i wspomnieniom, w których ten mu się zapisał. Dziwny człek oskarżał go o kanibalizm. Kogo tylko miał on rzekomo pożreć? Przemknął mu przez duszę, przez serce

nocny wypadek i niewyraźny obraz przewracanego starca z ulicy; nie go przecież...? Niepotrzebnie w ogóle zastanawiał się nad tego typu oskarżeniem, czysty nonsens, wysnuwany przez kogoś, kto sam wyglądał, jakby gotów był rzucić się na pierwszego bezbronnego przechodnia i zagryźć go, chłepcąc jego świeżą, chluptającą wszędzie krew. Tak, ten człowiek zapisywał się w pamięci jako straszny, było w nim coś zwierzęcego, a szaleńcze jego zachowanie kazało rozsądkowi trzymać się od tej istoty z daleka. Miewał ludzkie oblicza, ale one nie zacierają widoku rosłego faceta ze szkaradnym, wykrzywionym złowrogo pyskiem, który jak pantera wypuszczona z klatki jeży się między ludźmi, parska na nich i próbuje ich sięgnąć łapskami, groźnie nimi wymachując. Poznawszy go takim, nie chciało się wierzyć w jego rozum ani dobre zamiary. Niepozorny Narkoman pierwszym razem widział go właśnie takiego drapieżnego, sam naćpany jak worek, i wtedy sądził, że ducha zobaczył i z duchem rozmawiał złym, nieczystym. Jakby sam szatan, Lucyfer piekielny, przyszedł do niego jako materialne widmo, a potęgą złośliwości jego zapisana była w krwiożerczym pysku Krzywogębego. Zobaczył tak go, będąc zupełnie sam, w nieciekawym miejscu, po spotkaniu nie będąc pewnym, gdzie to właściwie było i czy w ogóle miał do czynienia z kimś... poza sobą. Teraz, z perspektywy czasu, mijając przerzedzone złymi czasami grupki ludzi na ulicach, zdawało mu się to jakieś takie odległe, a Krzywogęby – zupełnie już prawdziwy. Jak wszyscy jego pozostali znajomi – niby człowiek pomiędzy ludźmi, ale budzący mieszane uczucia, budowane głównie na głębokim niepokoju. Po chwili obawa ta wróciła, mocno zakorzeniając się w jego sercu i paraliżując ciało. Na początku wpajał sobie, że to pomyłka, i chciał prędko zawrócić, cofnąć się. Stał jednak siny i gapił się w to, co ujrzał przed sobą. Był to wygięty morderczym uśmiechem, znajomy pysk Krzywogębego, który milczał jakiś

czas, jakby karmiąc się lękiem Niepozornego Narkomana. W końcu jednak, patrząc mężczyźnie prosto w wielkie źrenice, powiększane jeszcze iluzją zza szkieł okularów w czarnej oprawce i starym stylu, odezwał się do niego tonem, który zastraszał duszę swoją psychopatyczną, niewyjaśnioną wesołością:

– No witaj! Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha albo jakiegoś stwora!
O czym tak myślisz, co?

PROROCY TEGO ŚWIATA

I głos fałszywego proroka może co zwiastować, jako te owcze beczenie przed ostatnim ich milczeniem, przed kolejną ucztą spasionych mięsożerców.

Święte księgi świata często chcą przywłaszczyć wszystkich proroków sobie i starym, zamierzchłym czasom, resztę mniej lub bardziej oświeconych przeklinając jako przeklętych. Wszystkie jednak epoki i dzieje obfitują w takich demagogów, których misją jest głosić rzeczy wielkie i niepojęte – nieraz i dla ich własnych maluczkich umysłów. W dobie powszechnego dostępu do informacji, każdy może sam zassać sobie dowolny zasób wiedzy, wierząc przy tym, w co zechce, nie każdy jednak to głosi, a już na pewno nie jak ten starzec, co pomieszkiwał w pensjonacie dla podróżnych, a z włóczęgami się bratał, chcąc im prawdę przed oczy przedstawić, czyniąc ich tym samym najbardziej godnymi ze swoich wyznawców.

Ostrzegał ich przed niewyjaśnionym i przed czynami ich własnymi, heretyckimi, słabością dyktowanymi. Do kościoła nie chodził, nikogo też nie zmuszał, ale kto chciał słuchać, słuchał, a stary niejedno miał do powiedzenia, tym ciekawszego, im więcej się słuchaczom wypięło czy wyćpało. Nie wyskakiwał z tym od razu, pan „Prorok” momenty sobie dogodne wybierał, na bodźce różne reagował, co serce jego poruszały, mózgowie jaśniały i gębę szeroko roztwierały. Ostrzegał więc on, grubym palcem wymachując, ostrzegał przed szatanem, który do nich wszystkich przychodził, włóczęgów i całej reszty. Szatan ten przychodził do jego braci

i sióstr w picciu i narkotykach, w szczepionkach i falach radiowych, w gazetach i internecie, w seksie i przemocy, w masce niewinności i pod przykrywką przyjemną oku, przychodził z samego Izraela i z rozbudzonego, starego kosmosu, przychodził ze starej Rosji i młodej Ameryki, no i w tej zarazie przychodził, która wszystkich w szachu trzymała, ciesząc niezmiernie szatana. Przestrzegał Prorok przed innowacjami i nowościami, które nacierały i napadały na nich każdego dnia, bezbronnych, i przestrzegał przed nowymi towarzyszami, którzy pod maską przyjaźni okażą się potworami, bezdusznymi kreaturami o wyżartych wnętrzach, które głód pusty ciągnie dalej, ku innym łupom, naiwnym i łatwym do schwywania w swoje demoniczne szpony i sidła. Ostrzegał, że tacy są między nimi – biednymi i bezdomnymi, trudno tylko wskazać, który i kiedy, no i jak się ujawni ze swoją haniebną nieczystością. Tacy nigdy na stałe nie dołączą do żadnej grupy – byli do tego niezdolni – samotni drapieźnicy, czający się pod maską normalności, żeby w końcu wyłupać z każdego całą czujność, a potem dokonać czynów strasznych i karygodnych, i ruszyć dalej, jakby nigdy nic, zaspokoiwszy chwilowo wieczny, szatański głód. Każdy tego słuchał i każdy brał to na luzie, zazwyczaj, ale były takie momenty, że i każdy się bał. Wszyscy oni trzymali się raczej swobodnie, trafiali na siebie z różnych powodów – każdy gdzieś czuł czasami, że to o nim być może była mowa... i to było najstraszniejsze. Napadały biedaków takie myśli, a potem odchodziły, dając im spokój, ale jakoś ich ze sobą wiązały, przynajmniej od czasu do czasu, w najtrudniejszych chwilach. A potem i tak zostawali sami, gapiąc się w mglistą czerń nieba, piaszczystej barwy góry w oddali, w beton parkingów albo innych zapyziałych pustostanów.

Niepozorny Narkoman czuł się teraz sam, zupełnie opuszczony, a przecież stał twarzą w twarz z Krzywogębym, istotą z krwi i kości, od

której było jednak czymś martwym, o co nie chciało nawet się ocierać, na co nawet nie chciało się patrzeć... Czasem zakładał, że stary Prorok ostrzegał go przed nim samym, a nawet, że i innych przed nim samym też ostrzegał, ale to oblicze Krzywogębo wydawało mu się teraz odpowiednio stosowne, odpowiednio diaboliczne, jakby wszechświat chciał nasłać na niego szatana. Szczęka mu latała, kiedy odezwał się:

– A o czym mam myśleć? O niczym, trzeźwy trochę jestem, chyba za. – Uśmiechnął się sztucznie, słabiej i mizerniej niż zwykle, co łatwym nie było. Krzywogęby na to uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Mam zioło, możemy zapalić, a w międzyczasie mogę spróbować zgadnąć, o czym myślałeś.

Dziwny ten typ nie podał mu ręki na przywitanie, pokiwał się do przodu i do tyłu, a uśmiech powoli zniknął mu z twarzy. Zabójcza powaga i absolutna pewność siebie nie zdołały brzydkiego oblicza, Krzywogęby straszyl gębą dalej, narzucił rozmówcy ponurą, grobową atmosferę, lufkę dla nich nabijał w martwej ciszy.

– Boisz się mnie czasami? – zapytał, dając mu, żeby zapalił. Niepozorny Narkoman zapalił, zaprzeczając przez kręcenie głową. Krzywogęby wyszeptał mu oschle: – Nie jestem jakimś, kurwa, jasnowidzem ani prorokiem, ale myślę, że kłamiesz.

ŚMIERTELNA BOSKOŚĆ

Żałosny to widok, kiedy człowiek zatracą się w uczuciu własnej boskości, zapada się tak we własnej samotności, wywyższając się ponad wszystkich i wszystko, dopóki nie wespnie się na wierzchołek własnego dna i ubóstwa.

Skomplikowane i zawile są ścieżki rozumowań ludzkich, to samo bowiem hasło gdzie indziej zabrać może umysł każdego i inaczej mu się jawić, co jednemu zdaje się nikczemne czy szatańskie – drugiemu może zdawać się nieziemskie... boskie. Czasem wchodzi się w takie skojarzenia subtelnie, kiedy indziej gwałtownie, popadając w manię. Wówczas uwierzyć można w boskość własną i czynów oraz myśli własnych, w nieomylność swoją albo – wręcz przeciwnie – zapadać się w beznadziejności i zgorszeniu swoim, czarno cały wszechświat widząc, samemu pępkiem jego czarnodziurym będąc. Ludzie szaleją, wkraczając w takie stany, nazywa się ich chorymi, schizofrenikami albo jeszcze inaczej. Szaleństwo jakieś takie malowało się teraz na ryju Krzywogębego, a i w obliczu rozmówcy jego, Niepozornego Narkomana, tylko odbite inaczej, w odpowiedzi. Zastraszony mężczyzna nie chciał uwierzyć, że ten dziwny typ przed nim naprawdę czytał mu w głowie. Co ciekawe – sam często się miał za takiego zdolnego czytelnika... dobijało go to, mieszało mu zmysły. Bał się teraz myśleć za dużo, bo... jeśli to była prawda? Próbował odwrócić myśli od siebie i swojego strachu, pozwolił im płynąć swobodnie, a te jak na nieszczęście utonęły w tajemniczej krwi przed tajemniczym budynkiem, a potem topiły

się w palarni, razem z duchem dziewczyny, kiedy usłyszał (po raz kolejny...?):

– Dlaczego tak milczysz? Zbladłeś, jakbyś zobaczył... ducha.

Krzywogęby przecież wiedział coś o duchu, poniekąd... pewnie więc strzelił, udało mu się. To chyba było logiczne, że Niepozorny Narkoman będzie wertował tamto w pamięci przez najbliższych parę dni, co najmniej... Tak sądził, ale poczuł dreszcze, jakby miał do czynienia z kimś, kogo do tej pory nie docenił, a kto mógł być o wiele cwańszy, niż wskazywałyby na to krzywa gęba i dresiarska postura.

– Widziałem, parę dni temu, przecież wiesz. Myślę, że to była ta dziewczyna z tego parkingu, wiesz... – Rozmowa o zjawie nie wydawała mu się już taka straszna, jak wyznać temu człowiekowi, że rzeczywiście się go cholernie boi. Znowu zaczął nawet wątpić w jego jestestwo i rozejrzał się wokoło nerwowo, szukając wzrokiem przechodniów, którzy też mogliby zobaczyć tego drugiego, udowodnić, że on... po prostu tam był...

– Krew też była jej? – zapytał Krzywogęby i roześmiał się iście szatańsko, po czym kontynuował: – Zgłodniałem, chcesz coś? Wezmę ci, tylko powiedz mi szczerze, czy się mnie boisz.

Najwyraźniej nie odpuszczał, znowu spowaźniał, wyraz jego gęby żądał odpowiedzi.

– A... a jeśli powiem ci, że tak, czasem się, kurwa, ciebie boję, to lepiej ci będzie? – zająknął się Niepozorny Narkoman. Czuł, że powoli pękał, przynajmniej strach gdzieś wybywał. Stało się coś niemożliwego: facjata Krzywogębego wykrzywiła się w smutku, a oczy zaszyły mu łzami.

– Nie... nie będzie mi lepiej... bo... muszę ci coś wyznać... ja siebie też... – szeptał, dygocząc i pocąc się. – Ja też czasem boję się siebie...

Niepozornego Narkomana przeszły dreszcze, również zaczął się pocić i kręciło mu się w głowie. Cała boskość i przewaga jego rozmówcy

uleciała, ale on nie doznał ulgi – poczuł inny rodzaj niepokoju, i mroku, który spowijał ich niecodzienną parę niczym jakaś demoniczna mgła. Czuł się źle i czuł się jakiś zły, nieczysty, i z kolei nie czuł nawet potrzeby pocieszenia człowieka o szalonej twarzy. Rzekł mu tylko oschle:

– Nie płacz, chodźmy lepiej coś zjeść.

Zamówili jedzenie na wynos i Krzywogęby spytał o jakieś ciekawe miejsce w okolicy. Niepozorny Narkoman wybrał cmentarz. Swojego burgera otworzył jeszcze po drodze, chciał zjeść gorące. Ledwo go jednak napoczął, zaklął siarczyście, spluwając, przy czym splunął nie tylko na wpół przeżutym kęsem, ale także krwią i kawałkiem zęba. Krzywogęby na ten widok znieruchomiał, a potem w milczeniu wypruł do przodu, jakby nie chcąc na to wszystko patrzeć, jego towarzysz natomiast krzywił się z bólu, w myślach powtarzając ciągle zabobonnie, że to zły omen...

Teraz ten straszny prowadził, co zdziwiło ćpuna. Nie wiedział, że tamten wiedział, gdzie leżał cmentarz. Sam darzył to miejsce sentymentem – jak wiele innych, w których uczestnikiem był najintymniejszych historii. Co czeka ich tam teraz? Zobaczą szatana? Przemknęło mu przez łeb, że może ten już dawno jest pomiędzy nimi – wymacał krwawego zęba w kieszeni, którego zabrał ze sobą. Telepało nim, nie tylko z zimna. Kawałek kości lepił się do niego ciecżą, której posmak miał także w obolałej buzi, zaczął cmokać i wykręcać facjatę. Teraz oboje mieli krzywe gęby. O dentyście nie było mowy, przynajmniej na razie – Niepozorny Narkoman był włóczęgą, splukanym – jeśli włóczęga tracił zęba, tracił go niemal zawsze na zawsze, choćby schował go w swoje zakurzone, wytarte kiermany. Milczenie zaczynało się dłużyć, kiedy przeszli już most i znaleźli się przed niewielkim komunalnym poletkiem, usianym trupami, z których wykiełkowały kamieniarską ręką stare i zaniedbane nagrobki. Nie było tam wielkiej bramy, szerokich alejek ani

nawet studni, co najważniejsze – nie było tam ludzi, chociaż godzina była jeszcze młoda – ledwo szarzało. To było dobre miejsce dla włóczęgów i narkomanów, zgniłe czy popalone truchła nie nakablują, nie wezwą policji.

Weszli tam, Krzywogęby rzucił coś czasem półgębkiem, drugi też cedził co drugie słowo, spluwając co jakiś czas różową pianą. Tam, pomiędzy martwymi, zwykle trochę odżywali włóczędzy, spacerując tu i tam, gaworząc. Dziś jednego bolała szczęka, a drugi... jakoś nie mógł na to patrzeć, ciągle odwracał wzrok. W grobowej wręcz takiej atmosferze doszli pod wyjątkową dla Narkomana mogiłę. Wierzył on, że zwłoki pochowanego tam były jego poprzednim wcieleniem sprzed paruset lat. Zaczął zastanawiać się, jakim tamten był skurwysynem i ile jego zła jest teraz w nim, dumał nad tym, gdyby taki zmarły teraz powstał i chciał im udowodnić, ile szkody może wyrządzić żywym. Krzywogęby nie był zachwycony taką gadaniną, zdawało się, że czuł się coraz bardziej nieswojo, coraz więcej kręcił się w miejscu i oglądał w różne miejsca, a przecież wokół było zupełnie pusto, martwa cisza.

– Słyszałeś? – zapytał Narkomana przejęty. Skupił wzrok gdzieś w głębi cmentarzyska, potem na zdezorientowanym towarzyszu.

– Nie. Co jest? – padła odpowiedź ze strony ćpuna. Nie słyszał nic i zastanawiał się, czy do Krzywogębego nie krzyczą jego własne, puste lęki i koszmary z jego tajemniczej przeszłości.

Zerknął, gdzie tamten zerkał, po czym zamarł. Coś przelazło pomiędzy rzadkimi drzewkami, zwinnie i bezszelestnie, jakby nie chciało zostać zauważone.

– Widziałeś? – szepnął teraz Narkoman, równie teraz przejęty jak tamten drugi. On pokręcił jednak głową, uśmiechając się żałośnie. – Co tu się odpierdala? Mamy schizy? A może przyjechali po nas? – roześmiał się

nerwowo i paranoicznie, a ten śmiech do złudzenia przypominał drugiemu mężczyźnie śmiech z parkingu, jednak zdrowy rozsądek powtarzał mu na to: „Byliśmy wtedy razem, byliśmy razem!”.

Kiedy na złość rozsądkowi Narkoman zaczął podejrzewać i obwiniać o wszystko Krzywogębego, gdzieś tam z oddali, z cmentarza, dobiegł ich całkiem podobny chichot; nie wydawał się jednak echem... Ktoś bawił się z nimi w Boga, może w szatana, w każdym razie pogrywał z nimi – a oni mieli tego dosyć. Ruszyli biegiem w stronę, skąd dało się słyszeć obłąkańczy śmiech. Do tego wszystkiego rozbrzmiały dzwony, też gdzieś stamtąd, jakby ktoś chciał wybić im ich ostatnie godziny albo wybić całe to szaleństwo z ich głów... Żaden z nich nie wiedział już, w co wierzyć, żaden nie czuł już się czytającym w myślach bóstwem, oboje byli tylko błądzącymi po cmentarzu włóczęgami, depczącymi ostatnie ślady po zmarłych tu setki lat temu, zakłócającymi święty spokój tego miejsca...

KTO BIJE W DZWONY

Co jednemu widzi się profanacją świętości, drugiemu jest świętym rytuałem. Co jednego wzywa do służby i modlitwy, drugiego potępiać może i zmysły mu razić.

Dzwony ucichły, kiedy dobiegli pod kolumnę, na której szczycie były zamontowane. Zdawało im się, jakby jeszcze się poruszały, ale wokół wiało pustkami – tylko stare, zapyziałe groby i szczątki parę stóp pod nimi, nic specjalnego. Krzywogęby złapał się za głowę, jakby chciał sobie wyrwać włosy, zaczął też się drzeć jak chory, dopóki Niepozorny Narkoman go nie uspokoił, proponując, żeby lepiej się rozejrzeli. Może ktoś był cwany i zdążył spierdolić, a może nie był aż tak cwany i, uciekając, zostawił jakiś ślad, znak, jak na filmach. Oni wypatrzą takie rzeczy – byli włóczęgami. Ćpun obszedł kolumnę dookoła, kiedy Krzywogęby kręcił głową wkoło, niezadowolony, zagubiony w tym wszystkim jak dziki zwierz, który stracił zwierzynę i wraz z nią sens. On wiedziałby, jak zająć się takim żartownisiem, wojową miał duszę w silnym ciele, pod krzywą gębą – skory był do bitki i czynów, i domyślać się tylko można było, do czego jeszcze. Rzucając się do walki, prowokując i myśląc, że czyta w myślach – wtedy na pewno czuł się bosko, diabeł wcielony, kiedy jeszcze wypełniało go podobne uczucie – nie wiadomo...

Podobnie jak teraz nie było mu wiadomo, co począć z nieuchwytnymi natręctwami, które ostatnio nękały ich wszystkich. Zaczęła go przez to ogarniać panika. Jak się czuć i komu zaufać, kiedy nawet sobie nie można,

kiedy przed zewem własnych krwiożerczych myśli trzeba gdzieś uciekać, rwać się do przodu – wrzaskiem, rękami, na które spoglądał teraz tak, jakby nie należały do niego. Następnie podejrzliwe, lepkie spojrzenie małych oczek z wielkiej, krzywej gęby przeniosło się na kręcącego się wokół kolegę.

Wszyscy czasem się czuli bogami. Ten ópun też wierzył, że wszystko ma pod kontrolą, a nie zauważył nawet, jak coś właśnie wypadło mu z kieszeni. Krzywogęby ruszył ku wymiętej chusteczce. Nim tamten się zorientował, typ wyjął ząb towarzysza z zawiniątka, zerknął na niego z szerokim, nieodgadnionym uśmiechem i schował do kieszeni.

– Może wracamy? – zagaił, drugi pokiwał głową, machnął rękami, nic tam po nich.

Ruszyli ścieżką, gdzie Narkoman wcześniej chwalił się swoim dusznym przodkiem, prowadził jednak krzywousty. Krok miał lekki, krzywy łeb zawiesił się na zygzakowatym grymasie samozadowolenia, wkrótce doszli pod właściwy grób. Na oczach tamtego wyjął jego zęba i wcisnął go w glebę przed grobową stelą.

– Łączyła was dusza, połączy was też ciało – oznajmił i roześmiał się jak na dobry żart, a Narkoman obserwował wszystko, stojąc jak słup.

Ktoś rzucił kamieniem w grób, kamyk odbił się pod stopy Krzywogębego, który okręcił łeb jak zwierz, prawie o sto osiemdziesiąt stopni, żeby zakłąć i nic nie wypatrzyć, a potem wrócić do śmiechu jakby nigdy nic. Gapił się wprost na Niepozornego Narkomana. Znów czuł się jakoś nieludzko, bosko, jakby nie był sobą, jakby przestał być cieniem boskości, jakby zapłonął boskim światłem – wierzył, że to jemu były dzwony, miał tę moc. Niepozorny Narkoman prawie pękł, widząc najpierw, że tamten tak marnuje jego zęba. Po wszystkim jednak umilkł i zamyślił się głęboko. Cały rytuał urzekł go, a prosta formułka wypluta krzywą gębą

zakłęła. Zerknął na nazwisko na nagrobku. Wymyślił kiedyś fikcyjną postać o takim samym, a potem trafił na tę mogiłę, a teraz kości prawdziwego tam zmarłego mieszają się z jego ciałem, chociaż jeszcze to ciało żywe się zdaje... Spojrzał na napis na starej płycie raz jeszcze, mrużąc oczy. Teraz, był przekonany, widział tam swoje nazwisko. Krzywogęby roześmiał się znowu, a Narkoman podskoczył i spojrział na niego, złęczony. Wrócił prędko wzrokiem na grób, ale teraz litery mieszały mu się. Ktoś znowu rzucił w nagrobek kamieniem, a Krzywogęby zaklął. Rozglądali się wokół oboje, ktoś jednak dobrze się przed nimi skrywał. Niepozorny wyłapał teraz spojrzenie na sobie – to był Krzywogęby, a gapił się na niego jak na obcego, jakby spod byka, i on mu nie ufał, zapadnięte oczy wierciły twarz zza niemodnych okularów.

Robiło się zimno, wokół nich i między nimi. Zamiast szukać rozwiązania gdzieś wokół, jeden zaczął upatrywać problemu w drugim.

– Nic tu po nas, coś nas tu nie chce, rzuca w nas kamieniami – rzekł spokojnie Niepozorny, ale ręce go świerzbiły nienaturalnie: to chował je po kieszeniach, to wyciągał i przebierał nadgorliwie palcami. I wyszli stamtąd, nie myśląc wiele. Przystąpiwszy próg ziemi zmarłych, rozeszli się w przeciwnych kierunkach. Niepozorny włókł się wzdłuż niskiego cmentarnego murku, męcząc głowę zwykłymi narkomańskimi spotkaniami, jakby te kwitły ostatnio jakąś niezrozumiałą wyjątkowością. Ludzie z otoczenia zdawali mu się raz wścibscy, raz podejrzani. Nie było nikogo, kto wszystko by jednoznacznie wyjaśnił, kto sam zdawałby się prosty i jasny. Niedługo będzie mógł zapytać o zdanie siostry – nie zakonnej, swojej własnej, mogła ostrzec go przed niebezpieczeństwem, jeśli takowe istniało. Po chwili uznał to za dziecinne – parę pokręconych dni to nie powód do paranoi, lepiej nie męczyć siostry, tylko przyjąć ją jak najlepiej, kiedy już wpadnie w odwiedziny.

Z murku zeskoczył mu pod nogi czarny kot, prychnął na niego złowrogo, a ten tupnął nogą w odwecie, nienawidził sierściuchów. Nie wystraszył jednak zwierzęcia, które z obnażonymi kłami i pazurami gotowe było i rzucić się na o wiele większą od niego ludzką bestię. Kocia mordą wykrzywiona była nie gorzej niż ta Krzywogębego, oczy wężowato skośne, uszy jako rogi oklapłe, syk to wydawało nieprzyzwoity, prosząc się o kopniaka. I dostał go, lądując na ulicy, gdzie przejeżdżał ktoś właśnie osobówką, gruchocąc kruche ciało istoty. Prowadząca auto młoda blondynka była w szoku, hamując parę metrów dalej i zostawiając na ulicy mokrą plamę szkarłatu – barwy krwi i barwy władzy. Truchło zachręściło, tocząc się pod kołami, miażdżone doszczętnie. Sprawca oglądał to z uśmiechem na wychudzonym obliczu, kiedy z uchylonego okna posypały się w jego stronę krzyki oburzenia i skargi młodej kobiety. On jakby nie słyszał tego, patrzył tylko na krew. Zaczął jednak słyszeć zaraz coś innego, gdzieś za plecami – ze strony cmentarza. Dzwony znowu zaczęły bić. Niepokój odciął go od rzeczywistości i stał w bezruchu, podczas gdy blondynka, wciąż krzycząc, zdążyła wyjść z auta i podejść do niego, popchnęła go awanturniczo, z brawurą, w rękę miała telefon.

Popchnięty mężczyzna ocknął się, zerknął na blade dłonie skocznej panny, wytrącił jej telefon z ręki i odwrócił się, po czym oddalił się stamtąd w pośpiechu. Za plecami dalej słyszał dziewczynę, ale przed oczyma miał tylko krew, a w uszach dzwony bijące mu w głowie jak tętno jego chorego żywota. Będzie miał co opowiadać, tylko jeszcze nie wiedział komu, zaczynał bać się otwierać przed włóczęgami ze swoimi historiami – coraz trudniej było o zaufanie, a i reakcje były nieprzewidywalne. Może będzie mógł opowiedzieć siostrze, gdy ta już tu będzie. Chociaż nie był jakoś blisko z rodziną, jak z nikim zresztą, jak żaden zresztą z włóczęgów i bezdomnych, nie tylko zresztą. Możliwe, że miał nawet parę wrogów,

może to oni przeszkodzili im dzisiaj na cmentarzu, rzucanie kamieniami byłoby w ich stylu. Słabo w to wierzył, a w głowie nie wynajdywał nic bardziej wiarygodnego, wszystko tam budziło podejrzenia, nic nie było pewne. Nawet bicie dzwonów, które ucichły dopiero, gdy cmentarz zupełnie zniknął z tyłu, za paroma zakrętami. Wtedy Niepozorny Narkoman poczuł, jaki był spocony i zziębły; cały czas biegł. Te dzwony wybijały chyba jego szaleństwo. A jeśli to były tylko jakieś żarty, to były podłe, najpodlejsze. Miał nadzieję, że jak przetrzeźwieje, to rzeczywistość wokół niego znormalnieje.

NIESWOI NIE NA SWOIM

Miewać nieswoje nastroje to zalążek wariactwa. Prawdziwe szaleństwo dopada, kiedy w ogóle dotrze do kogoś, że jakoby cudzą wolę nosi w sobie i wbrew własnej świadomości czyni.

Bezdomnych dobijała niejednokrotnie samotność. Pozostawieni sami sobie, ci ze sobą częstokroć gadali, swoje własne widzieli, także słyszeli, i w konsekwencji sobie tylko dawali wiarę, jeśli w ogóle. Bujna wyobraźnia, wspierana truciznami, niepewnością dnia i nocy, każdej chwili, tą ciemnością opustoszałych ulic i martwą ciszą nieżywych zaułków – płatała najróżniejsze figle. Wielu biedakom nieobce było szaleństwo, każdego dotykające inaczej, nieprzewidywalne samo w sobie. I nie tylko ich dosięgały macki wariactwa, przecież przykłady tego czaiły się wszędzie: w zacisznych mieszkaniach, w drogich lokalach, w markecie na zakupach, za oknem w piwnicy sąsiada. Niepozorny Narkoman na obecność jakichkolwiek sąsiadów nie mógł narzekać, niektórzy jego znajomi tak, wystarczyło mieszkać. Jemu i mieszkania nadto było – powtarzał ciągle, że czuje się wolny, z uśmiechem kwaśnym goryczą i z lampką z tyłu przecpanej głowy, że dziś znowu trzeba będzie kombinować, gdzie się przespać. A niedługo ten sam problem miał dotyczyć i jego siostry, kiedy już tu wpadnie, niewiele wiedząc, że on nie ma ich gdzie podziąć w tym miejscu, niby zapomnianym przez Boga świecie. Nie miał nawet pojęcia, jak jej to przekazać – w dziurawych kiermanach brakowało mu trzeciej ręki – telefonu. Bezdomni wiecznie je

gubili albo roztrzaskiwali w swoich hedonistycznych amokach. Nie było więc opcji kontaktu z ludźmi z dalekich stron, z przeszłością za wielką wodą, a z tutejszymi znajomkami łąpać musiał się wprost, wężąc za nimi i kontemplując, gdzie też mógłby na nich wpaść. Robił to teraz właśnie, a szło mu słabo. Nie rozumiał do końca, czy to wina coraz krótszych dni, czy gdzie ci wszyscy włóczędzy ostatnio znikali. Generalne pustki, zwłaszcza wieczorami, były w tych czasach zrozumiałe – ale bezdomni... Oni przecież zawsze się przetaczali z uliczek w zaułki, czemu ostatnio jakoś ich... brakowało? Gdzieś w jego umyśle narodziły się mroczne cienie podejrzeń – bezkształtne sylwetki możliwych przyczyn – ale trawił je bez uniesienia, żeby nie popaść w zupełną paranoję. Musiał wytrzeźwieć i pogadać, z kimkolwiek.

Czas mijał sobie, a on szedł sobie. Nie będzie się przecież spieszył, nawet z własnymi potrzebami, tak bardzo był wolny i swobodny. Jedyną cezurą w jego głowie było pięć dni, w ciągu których pojawić się miała tutaj jego siostra. Musiał do tej pory znaleźć jej miejsce do spania i odebrać ją, przywitać i... ugościć? Dawniej inaczej by ją przyjmował, ale to było i minęło, teraz nad wszystkimi wisiała klątwa niepewności, a nad nim od niedawna szczególnie. Nie miał do czego się cofać ani po co przeć do przodu, włókł się więc przez teraz prosto dokądkolwiek, mijając jasno oświetlone, zamknięte już dawno sklepy. Żaden krok nie był krokiem do przodu, wszystkie prowadziły w pustkę, w ciemność, w której biły głucho dzwony, tłumiące echo skomleń jego półmartwej duszy. Nie dłużyło mu się, ale zmęczony był bardzo, właściwie ciągle, styranym ciałem i duszą zipiącą tak ledwo, jakby była dużo od tego ciała starsza, postrzępiona wiekami ciężkich doświadczeń przeszłości. Męczył go taki duch w takim marnym ciele – kruchym sanktuarium, które tak łatwo zdeptać, zbeczczyć i zniszczyć. Dusił się w sobie, w ludzkim worze mięsa i kości, w ludzkiej

słabości i nieustępliwej niepewności własnych nawet myśli, też tak bardzo ludzkich, przyziemnych, ciągnących do tego, co proste i doczesne, jak spanie, jedzenie... i, rzecz jasna, ćpanie.

Mroczny anioł, który go posiadał, miał inne żądze, krwiste jak krwawiące regularnie dziąsło po straconym zębie. Nienawiść tego ducha nie uskrzydliła jego obolałych nóg, które doczłapały się ostatkiem sił do starego domostwa, stojącej uparcie ruiny, gdzie pomieszkiwało sobie kilku typów, których przypadek czy przeznaczenie zebrało pod jeden dziurawy, trzeszczący starością dach. Nikt go tam nie czekał ni się spodziewał, znali go jednak, bo bywał tam nieraz w odwiedziny u drugiego Niepozornego Narkomana. Zapukał i pchnął próchniejące, niemal zawsze niezakluczone drzwi... Po zapyziałej, cuchnącej przeżytkiem kuchni kręciło się dwóch śniadych, brodatych gburów. Ci przywitali go stekiem niewygodnych pytań, ale pozwolili mu iść dalej, wołając przy tym głośno tego, do którego przybył nieoczekiwany gość. Po kilku wezwaniach z pokoiku zamykanego na kłódkę (jak wszystkie tam) słyszeć się dało zaspane: „Zaraz jestem!” – przy wtórach leniwego gramolenia się z łóżka.

Po chwili drzwi do małego wnętrza z wielkim łóżkiem i jeszcze większym bałaganem otworzyły się, a w nich stanął Mojżesz jak malowany, tylko odżywiony lepiej i bledszy, z błękitnymi oczyma o czerwonych białkach, łypiącymi niecierpliwie zza przetłuszczonych szkieł okularów i kędzierzawą czupryną barwy ciemnego blondu. Nastąpiło krótkie, bezceremonialnie przywitanie i jeden Narkoman zaprosił drugiego do środka, do swojej nory. Padło pytanie do przybyłego o narkotyki, ale zmieszany gość pokręcił tylko głową i spuścił ją zrezygnowany. Pan „Domny” machnął w odpowiedzi ręką, zapytał z kolei, czy aby gość jego nie jest głodny, otworzył przed nim lodówkę i pewną skrytkę – bowiem on posiadał coś, co mogli sobie wsadzić głęboko w lufę i zakurzyć na

pożegnanie kolejnego szarego dnia w bezbarwnej doczesności. Kiedy głodny jadł, drugi szykował wszystko do rytuału, ciesząc się w duchu, że wtóra morda do palenia znalazła się sama, inaczej pewnie by odpuścił, przecież chciał już kłaść się spać. Z pozostałymi lokatorami takie harce by nie przeszły, żaden z nich wprawdzie święty nie był, ale każdy w innych grzechach i nieprawościach tonął, kombinując, jak mogąc, żeby jednak utrzymać się na fali, żeby wody ich żywota lekkimi im były. Dach nad głową nie kończył przecież wszystkich problemów, ludzie pokroju mieszkańców tej rudery wiecznie chwiali się, jak ona sama. Takie widać było przeznaczenie włóczęgów i tułaczy z całego świata, z których mały odsetek zebrał się w tym miejscu, kto wie na jak długo i czy nie na zawsze. Bandyty, banicy, recydywiści, ludzie podejrzani i o wszystko podejrzliwi, ci, którym coś nie wyszło, i ci, którzy wyfrunęli z domu w poszukiwaniu lepszego jutra i lepszego świata, tęgie głowy także, skore do podróży i kształcenia się wszędzie, gdzie postanie ich stopa – różnorodna to zgraja. Ci, co spośród nich odnaleźć się za bardzo nigdzie nie mogli, utykali, lądując na ulicach albo w takich dziurach jak ta, garbiąca się pod własnym ciężarem chałupa. Siadłszy na jej ganku, dwójka kolegów wertowała oczyma duszy swoje przeszłości, żeby podumać chwilę, dlaczego trafili akurat tutaj, i żeby dojść w końcu do wniosku, że niezbadany jest Bóg ani Jego wyroki.

Zapomnieli o tej rozmowie z wiatrem, którego podmuch przeszkodził im w godnym i wygodnym paleniu. Wietrzny ziąb nakazał miękkiemu sumieniu mieszkającego tam, ażeby Niepozornego Narkomana zapytać o nocleg. Nie mógł go jednak przyjąć tej nocy, albowiem w ruderze, w której miał lokum, sypiał również człowiek, u którego on je pośrednio najmował. Obiecał mu jednak, że kiedy tamten wyjedzie (a wyjeżdżał regularnie), wówczas pozwoli mu się trochę przespać i odpocząć od ulicy.

Kiedy i czym bowiem można było, tym należało się dzielić – tak wierzył jeden przynajmniej z tych dwóch Niepozornych Narkomanów. Z takim nastawieniem chyba lżej mu było, przede wszystkim na kieszeni, ale i w duszy, w której brzmiały mu beztrosko trąbki najróżniejszych rytmów, nieraz wystukiwanych chętnym ciałem i wyśpiewywanych giętkim językiem. Jeżeli tacy jak oni, wytykani przez paluchy społeczeństwa, byli potępieńcami, to musieli jakoś trzymać się razem, ażeby łatwiej znieść żrące ich piekielne płomienie, które ktoś im rozpałił przedwcześnie, bo już na ziemskim padole. Lżejsze to wszystko się zdawało w grupie, nawet niestałej, ulotnej jak dym, jak on zmiennej; lżejsze się zdawało pod niby kojącym wpływem odurzenia, na którego łonie pasły się teraz ich umysły, we mgle, w której trudniej dostrzec było chciwe wilki codzienności, czyhające na słabe umysły ich, wyklętych, słabych.

Nieraz i ponarkotykowa aura to było mało i gdzieś zza mgły tej problemy ku nim wyzierały, niby skromnie, niby niewinnie, ale skutecznie dopiekając i gnębiąc nagą skórę sumienia. Jeden objawił im się po krótkim czasie, wypluty przez przybłądę, którego niejedno przecież trapiło. Nawet nie jego samego on dotykał, bo on, jak twierdził, zawsze sobie mógł poradzić i jako te koty, których szczerze nie cierpiał, na cztery łapy spadał. Chodziło raczej o siostrę jego rodzimą, która przybyć tu miała, a dla której miejsca gdzie umyślić nie miał. To wypluł teraz temu drugiemu i oboje w zamyśl ciężki popadli, kiedy wspomniał mu, że miał na to jeszcze pięć dni, jeszcze tylko pięć dni... Sąsiedzi parszywi, z którymi parszywą norę drugi Niepozorny Narkoman współdzielił, mogli nie życzyć sobie jakichkolwiek całonocnych gości – a już na pewno nie za darmo – każdy skrawek tej chałupy, każda zapleśniała deska – wszystko kosztowało. Obiecał jednak gościowi swojemu, że zrobi, co może, przerażała go bowiem wizja jakiejś przypadkowej dziewczyny, która nieświadomie miała

wylądować na ulicy, bo tak zatroszczył się o nią jej bliski. Nie wiedział jeszcze wtedy, że niedługo sam będzie musiał martwić się o swoje i o dach nad głową...

WIEŚCI O ZŁYM CHARAKTERZE

W stwierdzeniu, że nic nie jest prawdziwe, nie ma żadnej groźby. Tylko mordercze i krwiożercze umysły każą doszukiwać się w tej sentencji przyzwolenia na uwalnianie swoich dzikich instynktów i żądz.

Niektóre cechy charakteru i atrybuty osobowości potrafią bardzo utrudnić życie, tak sobie, jak i osobom trzecim – bliskim czy dalekim. Trudny temperament będzie trudny niezależnie od tego, z kim będzie konfrontowany. Czynniki pewne, takie jak na przykład: sytuacja trudna życiowa, traumy przebyte, nałogi i nawyki najgorsze, mogą niepożądane właściwości ludzkie jeszcze potęgować, niektórzy dobrze je jednak maskują, dopóki wybuch jeden czy drugi ich nie spali. Niczym żrący całą konstrukcję ułudy ogień, rujnujący wszystko pożar.

Zupełnie jak żywe płomienie prawdziwej pożogi, która ostatnio miała miejsce w okolicy centrum, niosąc za sobą śmierć i inne jeszcze fatalne skutki. Te pośrednio dotknęły towarzystwa miejskich tułaczy, tym zawsze jakby na złość, nie tylko wiatr i nie tylko w oczy. To nieszczęście nie było zresztą jedynym, przyćmiło inną tragedię – kolejne zaginięcie. Wydawało się, że było bezpośrednio związane z poprzednim, bowiem zaginał starzec – ten sam, z parkingu. O obu wydarzeniach plotkowano na śniadaniu u sióstr, więcej o pożarze, a o zaginięciu – wybrani... Niusa o zniknięciu starca zapodał siwiejący łazik około czterdziestki – ten sam, który był świadkiem niecodziennych zajęć na feralnym parkingu, oraz ten, który odbył specyficzną rozmowę z Krzywogębym. Jego zaś historia najbardziej

zdawała się poruszać Niepozornego Narkomana, również tam tego dnia obecnego. Co ciekawe, Siwy też był tym, który twierdził, że parę dni temu widział dziadka–zgubę, w dodatku... z zaginioną dziewczyną. Na wszystkich włóczęgach zrobiło to pewne wrażenie, nie podważali słów mężczyzny, nawet jeśli w nie powątpiewali. Dyskusję tej grupki ktoś podsłuchał – pewien grubas, tej samej co większość narodowości, i wtrącił się on, nadając sprawie całkiem nowy obrót. Upomniał siwiejącego, że miesza fakty, a dziadyga – czy zaginął, czy nie – został odnaleziony. I to kilka dni temu, sam, martwy, niedaleko sióstr, bliżej starego budynku, w którym spotykali się anonimowi alkoholicy... w kałuży krwi. Ta informacja zatkała im gęby, a u Niepozornego Narkomana wywołała niepokojące drgawki. Wydawało się, że to nic takiego, to nie mogło przecież dotyczyć jego. Fakty jednak i wspomnienia mieszały mu się z obrazami przesiąkniętymi krwią, upstrzonymi białymi kostkami wypadłych zębów. Jakkolwiek niedorzeczne to było, urastało mu w głowie na nieprawdopodobną skalę, mydliło zmysły różową, półkrwistą pianą, bitą w przerdzewiałej puszcze jego umysłu. Ktoś tam zapytał go chyba, czy wszystko z nim w porządku, a on nie rzekł nic, tylko we wścieklej duszy wrzało mu gorące: „Zajebicie, kurwa, perfekcyjnie!”.

Nic już nie było takie samo, a wszystko zasnute we mgle niejasnych skojarzeń, gdzie własny oddech był obcy, a ludzie wokół mistyczni jacyś, nierealni. Ten z siwizną na głowie rzucił w stronę drżącego mężczyzny zaniepokojone spojrzenie. Stwierdził szeptem, że powinni chyba się prędko ulotnić, jakby czytał Niepozornemu w myślach, jakby parzyły go w uszy słowa, które ten wypowiadał tylko w myślach... prawda? Chyba nie znalazł się kolejny, który mógł wykradać sekrety jego świadomości, żaden zresztą z nich nie wyglądał na zdolnego do takich sztuczek i takiej magii. Mimo to Niepozorny łypnął na Siwego uważnie, nawet złowrogo, w myślach zaś

jego kłębiły się kolejne obelgi. A tamten jakby odbierał dalej – każdą z nich, kuląc się przy tym w sobie i wycofując, i ogłaszając głośno, że nie ma co brać za dużo do głowy... I poszedł, odprowadzany milczącymi obliczami pozostałych, a Niepozorny, ale wściekły teraz Narkoman za nim, wymachując rękami jak skrzydłami wiatraka – tracąc pozory... Słyszał za plecami głosy, widział je nawet na ścianach, chodniku i przesuszonej trawie wokół. Migające litery układały się w prześmiewcze słowa, w bluźniercze oskarżenia – wszystkie kierowane ku niemu, prosto w plecy, jakby w twarz nikt nie był na tyle rośły. Słyszał ich jeszcze dalej, goniąc nie wiadomo za czym, a paplanina ich układała się w jeden szyderczy szkic, łączy mu dreszczem po plecach, drażniący wszystkie nerwy. Oceniali jego charakter, nawet teraz, z daleka. Oglądał się za siebie, ale widział tylko szumy ich głosów, przez co złościł się na nich i na siebie, na swój charakter. Zupełnie teraz nieboski, trudny i spaczony, ale wciąż niepasujący do tamtej nietreściwej trzody, pasionej przez siostry. Gniew jego bardziej był wzniosły, skrzący, nawet ten z byle iskry powstały. Tłumił w nim zdrowy rozsądek, czynił go całego nieboskim, ale ani trochę ludzkim – bestialskim może, tylko czy winnym? Górując we własnej wściekłości, mężczyzna jednocześnie kolebał się na szczycie zupełnej bezradności, gdzie poczucie karności czy sensu pewnych zachowań było gdzieś daleko w dole, poza linią chmur jego świadomości. Nawet jak część jaka jego czuła się wtedy bosko, inne części, części chociażby jego ciała, jego niepokładanej osobowości – wszystko to drżało śmiertelnie, jak krucha ziemia wstrząsana siłami potężnych, podziemnych sił natury.

Te elementy, budujące jego nietrwałą, niestałą całość, sypały się właśnie, a on trząsał się w tych wszystkich kawałkach, widząc nikoną gdzieś przed nim drobną sylwetkę siwiejącego znajomego. Śmiał się do niej do rozpuku, przysiadając na zimnej ziemi w ten zimny, blado jasny dzień.

Tamten – jak mała planeta – zatoczył małe kółko i wrócił się do upadłego. Potrząsnął nim, pytając nerwowo, co z nim nie tak, nie był pewien, czy tamten aby w ogóle kontaktował, wątpił chwilami, czy tamten w ogóle go widział... Doszło i do momentu, kiedy oboje szarpali się ze sobą, jeden chciał pomóc, drugi nieudolnie skrzywdzić swojego siwiejącego zbawiciela. Wielkoduszny znajomek miał sporo krzepy w drobnym ciele, tylko mentalnie męczyła go ta mała uliczna awantura. Nie dowierzał, że jego człowiek przestał go tak po prostu kojarzyć, rozsiadłszy się na środku drogi jak stary radża, śmiał się jak ten szczur do sera i szarpał swego asekuranta jak wymiętą szmatę. Taką mentalną szmatę stanowił teraz jego wyprany brudem własnych paranoi mózg, przez co wszystko wokół przybierało według niego różnorakie kształty, wszystko zmienne było i niepewne, wszystko rozmazane jak paleta świeżych, cuchnących wymiocin. Takimi uraczył swojego siwiejącego zbawiciela, kaszląc przy tym jak stary gruźlik, i śmiejąc się na zmianę pomiędzy kolejnymi charknięciami. Próbował też wrzeszczeć zdartym od rzygowin gardłem, że to wszystko się nie dzieje, to wszystko tylko imitacje... I z takim materiałem, z takim charakternikiem zmagął się obrzygany starszy pan, kręcąc głową na smród i na zachowanie bydlęce młodszego sporo mężczyzny. Sam chyba nie był lepszy, tak wtedy sobie szeptał...

PRZYJAŹNIE PRZELOTNE I ULOTNE JAK DYM

Najskuteczniej ranić z bliska.

Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie, ale oni aż takiej biedy nie znali, włóczędzy, odruchy jednak jakieś ludzkie w nich pozostawały, empatii okruszki. Z boku wyglądać to nieraz i mogło rzeczywiście jak przyjacielskie oddanie, zwykle była to jednak próba ucieczki przed samotnością – gnicie razem, ażeby nie szczeznąć samemu. Łączyli się zatem tacy w grupy luźne, bezdomni, dzielili, czym mogli, czyli wszystkim ich skromnym, wymieniali też historiami, mądrościami, a ostatecznie także nastrojami – i wtedy wszystko mieszało się najczęściej, i sypało. Zaczynało się zabawnie, ale prędko radości stawało się zadość. Popsute głowy chętnie rodziły chore myśli, podejrzliwość i paranoja snuły się po towarzystwie niczym zaraza. Niesnaski bez większego trudu trawiły takie grupki: żarły ich wartości, wyjadały zaufanie, połykały w całości nadzieję wobec drugiego człowieka i wobec siebie także. Zarazić tym dało się wszystkich w tych różnorodnych zbiorowiskach – zarówno wykształconych, jak i tych, którzy do dziś mieli problemy z czytaniem – nie liczyły się status, przeszłość, reputacja. Kiedy któregoś to chwyciło, nie trzeba było stawiać specjalistycznej diagnozy, i ci światli bardziej, i ci ciemni jak noc listopadowa – wszyscy bez trudu zaraz rozpoznawali wszelkie stadia sprzeniewierzenia i fałszywości, kolejno w te stany popadając, jakby chcieli bratać się we wzajemnym upodleniu i wspólnej chorobie. Niektórzy w tym

jakąś pociechę zboczoną upatrywali, i jeszcze do niezgody podzegli, dopóki ta w swoim apogeum nie doprowadzała do ostatecznego rozłamu i do czyjejś krzywdy, jakiejś ofiary. Niewiele z cudzego cierpienia było pożytku, tylko tych złośliwców paru się tym karmiło, nieczysty głód pasożytniczy nieszczęściem czyimś zaspokajając. Coraz więcej takich głodnych było, także w skromnym gronie, z którym styczność miał ten Niepozorny Narkoman, gdy jeszcze miał trochę dachu nad głową.

Krzywogęby taki na przykład, o facjacie i ksywie niepięknym. Coraz bardziej niepięknym wydawało się też jego wnętrze, przy każdym kolejnym spotkaniu wywoływał on swoisty niepokój... Można go było uznać za zwykłego patafiana, jednakże przebłyski inteligencji pomiędzy seriami półludzkich zachowań wprawiały wówczas w ambaras. Z wiedzą nie było mu jeszcze bardziej do gęby, jeszcze bardziej wtedy niepokoił i przerażał...

Ostatnio spotkał go pracujący Narkoman pod swoim domem, tamten dowiedział się skądś o jego starej ruderze. Stał tam, kiwając się w miejscu i nie przestając ani na chwilę kręcić brzydkim łbem we wszystkie strony. Mężczyzna próbował zachować spokój wobec nieprzewidywalnego gościa, chociaż było to trudne, biorąc pod uwagę ich wcześniejsze zetknięcia. Rozmowa między nimi toczyła się szybko i nienaturalnie – nie prowadziła też donikąd, powód wizyty Krzywogębego pozostał nieodgadniony... Odszedł niedługo z pustymi rękami, zarzekając się jednak, że wróci. Drugi za to zachodził tylko w głowę: po co właściwie miałby? I po co on w ogóle się zadawał z takimi jak on, z nimi wszystkimi? Jaki był sens trwonić czas i energię na bandę włóczykiów?

Coś przykuwało go do takich person. Jedni nie widzieli w tym za krzty honoru, on odmawiać im nieraz pomocy i wsparcia miał za niehonorowe. Nie czuł się zresztą od nich lepszy, nawet jeśli trochę... inny. Nie chciał brnąć dalej w te myśli, nie chciał myśleć o swojej inności ani o żadnej

innej – zabrał się więc do czytania i pisania, to pozwalało na chwilę uwolnić się z okowów świadomości, do której, odkąd pamiętał, był uwiązany. Nie zdążył wylać on z dzbana swojej duszy ni jednej sentencji, kiedy zadzwonił do niego śliski typ, u którego wynajmował mieszkanie; jego słowa były wyrocznią. Rozmowa nie trwała długo, chociaż dzwoniący chciał zwlekać z nieciekawą informacją. Rozmówca ponaglał go, chcąc dowiedzieć się, co było grane. I dowiedział się: musiał się wynosić, miał opuścić mieszkanie najlepiej jeszcze przed końcem miesiąca. Nie zdziwiło go to, a wydawało mu się, że nawet znał powód takiej raptownej zmiany.

Nie miał jednak czasu na roztrząsanie tej kwestii, wszystko staowało w jego życiu na głowie, a on musiał to jakoś zebrać do kupy, nim skończy na ulicy razem ze swoimi koleżkami. Nie zapowiadało się cudownie, ale mieściło się w granicach ludzkiego pojęcia, jakoś przez to przebrnie.

Zaczął wertować w głowie (i telefonie) wszelakie oferty, różne kontakty – cokolwiek, co mogłoby okazać się pomocne. Nie rozumiał, czemu przez większość czasu chodzili mu po głowie włóczędzy, Krzywogęby na zmianę z Niepozornym Narkomanem. Pierwszego chyba nie bardzo chciał widywać pod domem, gdziekolwiek miałby mieszkać; co do drugiego, to coś zaczęło mu świtać, przypominać skrawki ostatniej ich rozmowy... Aż rozпалиło się to zupełnie, w krótkim objawieniu, które naszło go w tej samej chwili, w której natrafił na niedawną propozycję od starego znajomego. Kolega proponował mu pokój w przystępnej cenie, a zrodzona w tyle głowy idea kazała to wszystko połączyć z ckliwą historią jego częstego, bezdomnego gościa, który nie miał gdzie podziać ni siebie, ni swojej siostry. Ją przecież mógł przygarnąć, może chociaż na trochę, może ta dokładać będzie do czynszu, przecież i tak gorzej być nie mogło i niewiele miał do stracenia. Rozwiązania i możliwości stały więc przed

nim otworem, podobnie jak ta stara chałupa, którą miał niedługo opuścić; tylko jej ściany nie były tak zachęcające ani pewne...

Ułożywszy w głowie plany i napisawszy do znajomego w sprawie pokoju, nabrał mieszkający w norze Narkoman ochoty na głupoty. Wyszedł się więc przejść po okolicy, ażeby znaleźć drugiego psotnika Narkomana, we grupie przecie raźniej, nawet takiej luźnej, dwuosobowej. Nie mógł go jednak nigdzie wykombinować. Parę tych twarzy, które kojarzył, nie dało mu jasnej odpowiedzi, ani się domyślali, gdzie mógł być ten, o którego wypytywał. Innych też jakoś brakowało, nie miał kto reprezentować ulicy tej nocy, miasto pustoszało w oczach. Mówili, że nie można nic na to poradzić, że takie czasy, więc on włączył się bezradnie, po takich czasach, po pustych ulicach, z najwytrwalszymi z ich stróżów – ulicznikami. Znaczy się – tym razem bez nich, mało którego z napotkanych wędrowników cenił na tyle. Powłączył więc z powrotem w stronę domu, godząc się już nawet z myślą, że tej nocy będzie spokojny i nudny jak wielu innych, a może nawet bardziej.

Zaczepił po drodze jednego staruszka bardziej żywotnego, który kiedyś zapierał się, że ubiera się u Prady. Poprosił go o papierosa, a w zamian dostał jeszcze parę nieciekawych nowin. Głównie o pożarze, o którym już słyszał. Podobno ktoś bawił się w podpalacza, tłumaczył mu facet, odpalając mu szluga, podobno wszyscy się za nim rozglądali. Zapalili razem i stary rzucił mu jeszcze na odchodne, żeby się tak nie włączył, bo ostatnio jakiś dziadek zaginął, i to jedno zdanie zostało mu w głowie, siejąc tam mętlik. Wracął myślami do obdartusa z parkingu, do zaginionej dziewczyny, której oblicze widział teraz... na zdjęciu przyklejonym do ścianki śmietnika. Zatrzymał się, osłupiały, żeby zerknąć raz jeszcze: dalej tam było. Pomyślał o tych listach gończych, ale dotyczących poszukiwanych. Przy zdjęciu nie było jednak żadnej informacji – ot,

zwykła fotografia nastolatki, trochę niewyraźna, jakby cyknięta podczas byle jakiej sesji.

Ktoś położył brudną, jakby osmoloną dłoń na wizerunku dziewczyny, zasłaniając ją patrzącemu, który aż cały zadrżał, prawie krzyknął. Po chwili przekonał się, że cały lęk był zbędny, przed nim stał bowiem dalszy znajomy, Brodaty Blondyn, szczerząc się głupkowato – ten należał do tutejszych, chyba go tu rodzono. Było w nim coś zwierzęcego, w uśmiechu dzikim, w brudzie na nim wszechobecnym. Z natury nieokrzesany, jakby brak obycia od małego mu wpajano. W oczach głęboko tylko żywiół jakby bardziej bystry, tajemniczy jednocześnie i jakiś złowrogi, szyderczy. Żadnej w nim świętości, grzeszne iskry jego spojrzenia współgrały z drwiącym ze wszystkiego uśmieszkiem, kiedy pytał zaskoczonego mężczyznę, na co ten się tak zagapił. Szczwana bestia odsłonił w końcu zdjęcie zaginionej panny, kiwając przy tym głową, rzekomo ze zrozumieniem. Dziewczyna mogła i komuś wpaść w oko, chociaż poza jej była nieschludna i trochę narkomańska, to coś urzekało w jej beztroskiej, półprzytomnej minie. Dla tego, który zapatrzył się na zdjęcie, najbardziej pociągająca była tajemnica, która się w nim zawierała. Prawie już zdążył zapomnieć o całej sprawie, a teraz... nie wiedział, co to wszystko miało właściwie znaczyć. Brak odpowiedzi z jego strony i zamyślane oblicze strapiły trochę napotkanego Blondyna. Póldziki obdartus zapytał z przejęciem, czy wszystko w porządku. Na to ten drugi poprosił o wybaczenie i zapytał, czy tamten kojarzy skądś laskę z obrazka. Brodaty Blondyn rzekł mu wtedy:

– Kogo to obchodzi, może już ją gdzieś widziałem – i wzruszył beztrosko ramionami. Następnie roześmiał się, wyciągając skądś papierosa i odpalając go. Ten śmiech wydał się jego towarzyszowi jakiś szatański, bezecny. Nie wiedząc, co myśleć, przytaknął mu tylko i ruszył z nim dalej, przez pusty, szary i źle śpiący pod powłoką niepewności świat.

Zeszli do podziemi tego świata – znowu w otchłań jakiegoś zapyziałego parkingu. Podróżujący z Brodatym Blondynem szanował go, ale w głębi duszy uważał, że był dziwny i że przepadał za dziwnymi miejscami. I nawyki też miał dziwne, niesforne, niegrzeczne. Jego chłopięcy czy chłopski rozum cieszyły psoty proste, prostackie; jego towarzysza te raziły i stresowały, chociaż... w duchu też miał ubaw. Zwykle słabo próbował zniechęcić Brodatego do wygłupów, zwykle kończyło się prędkim ujściem z miejsca małej afery. Tym razem Blondyn przygotował jakąś szmatę, w którą owinął jakiś spray, wszystko opryskał dezodorantem – robił z tego swoje show, ciągle ciesząc osmoloną gębę.

– Patrz i podziwiał, przyjacielu! – zaintonował, rysując na parkingu psikadłem mokrą, łatwopalną ścieżkę prowadzącą do szmacianego kłębka. Lont...

Co nami powoduje?

Żyją między nami stwory pełne głodu,
Żrące różne rzeczy, z różnych to powodów.
Z oczu patrzy takim stworom dość rozumnie,
Skórę bladą mają, jakby spali w trumnie.
Prawdę ukrywają, bo ta o nich trudna,
Z pozorów więc cała zda się o nich nudna.
Żyją między nami – nierozpoznawani,
W ciałach ludzkich dusze z piekielnych otchłani,
Gdzieś w tych duszach głodu chowają przyczyny,
Głód z dusz każe ciałom mroczne działać czyny.
Kiedy żądze wezwą – nie znają granicy,
Lepiej nie wpaść na nie nocą na ulicy.
A to noc ich czasem, wtedy kreatury
Obnażają zło swej przekłętej natury.
Wtedy to wyłazą plątać się po świecie,
Biada temu, co los swój z ich losem splecie.
Takie z nich są diabły, takie z nich potwory,
Że i między nimi wybuchają spory,
Z różnych to powodów, których znać się nie da,
Nie tłumaczy tego nawet skrajna bieda.
Nie tłumaczy ona diabelskich zachowań,
Pijatyk, bijatyk, paranoi, knowań.

Tak jak nocą gwiazdy jaśnieją na niebie,
Tak oni mrok sięją wszędy wokół siebie.
Komu to na chwałę? Domyślać się można,
Że ze smakiem spija ją bestia dwurożna.
Chłepce ją i nieraz przez paszcze tych stworzeń,
Gdy zaspokajają swe żądze potworze,
Mocząc się w makabrze bezbronnej ofiary,
Topiąc w niewinności krwiożercze koszmary.
Coś je tego uczy, coś je tak przymusza,
Jakby w jednym ciele czyja obca dusza.
Uciec przed nią nijak, jej obecność ciąży,
Ta się z nosicielem na zawsze już wiąże.
Skąd się ona bierze? Czemu nie ulata?
To zagadką ciągle zostaje dla świata.
Mówią, że usypia ta w promieniach słońca,
Nocą jednak wraca, by męczyć bez końca.
Wiecznie głodna zjawa, co nie zna pokory,
Których się uczepi, z tych uczyni zmory.
Te się nocą włączą, wyłażą spod ziemi,
Sięgają, gdzie mogą mackami swojemi.
Nieraz w mroku niosą się pod niebo głosy –
To krzyki ofiar wzywające pomocy.
Niosą się te nieraz, częściej są tłumione,
Pośród nocnej ciszy, wśród gwiazd – świadków zgonów.
Ich duch gdzieś przepada za duchów złych sprawą.
Ich ciała? Te stają się demonów strawą.
Gdzieś w swych mrocznych ulach, gdzieś w podziemnych norach,

Pożera biedaków ta potwora, zmora.
Tu nie ma robaków, nie zjedzą ich muchy,
A pożrą demony ich, pożrą ich duchy.
Modlić się można – lecz wiadomo za kogo?
Ofiarom ni sprawcom modły nie pomogą.
Trudno jest po akcie znaleźć choćby ciała,
Jakby bestia z nimi razem się chowała.
I pewno tak robi, skryta w krwistej chwale –
Póki głód nie wezwie, nie wypęłza wcale.
A gdy to nastąpi – historia trwa dalej.
Czy będzie się ona tak powtarzać stale...?

NIE CIEŁĘCIA TO KREW

Najstraszniejszy to nieraz koszmar – pobudka.

Jak pokornemu cielęciu po tucznej uczcie – tak, zdawałoby się, smacznie mu się spało. Ale pobudka była twarda jak podłoga, na której leżakowanie przyplaci pewnie kiedyś wilkiem i innymi stosownymi przypadłościami. Już się chyba to wszystko zaczynało – starość, z bólem bowiem w plecach i pod nimi mężczyzna próbował powstać z zimnej, betonowej posadzki, rozglądając się sennie wokół. Dygotał, prosząc w duchu panteon znanych mu bogów o litość nad jego marnym ciałem, którym jeszcze nie zdążył się przecież nacieszyć. Wracały mu zmysły – nie widział wyraźnie, bo gdzieś zsunęły mu się okulary. Odzyskawszy jednak węch, poczuł wszechobecny zaduch i smród – przyprawiało go to o mdłości. Poza chłodem czuł niepokój – bardzo przeszkadzało mu to, że widział tylko jasne plamy światła, i wszystko wokół w byle jakiej jakości cieniach.

Wiedział, gdzie był, ale wołał odzyskać wzrok – zaczął więc błdzić dłońmi wokół w poszukiwaniu swoich szkieleł. Poruszał się na czworakach, myśląc ciągle o tym, jak idiotycznie musiało to wyglądać z boku. Przeczółgał się tak ledwo parę pełznięć, kiedy natrafił palcami na coś gęstego i lepkiego, obrzydliwego w dotyku. Było to bordowe, brunatne prawie i było tego sporo – krew. Jego umysł zaczął pracować na szybszych obrotach, adrenalina pobudziła go do akcji, jednocześnie zdało mu się, że gdzieś usłyszał hałas. Niepokój narastał, a on nie miał pojęcia, skąd tuż obok niego znalazło się tyle krwi. Brodatego Blondyna nigdzie nie było –

zapadł się, zniknął. Może to miejsce – ten parking... było jego rzeźnią, jego grobem? Miał nadzieję, że nie... Nie był to zresztą ten feralny „nawiedzony parking”, więc co mogłoby im się tu przytrafić? Nim zdążył się nad tym zastanowić, nim zdążył się w ogóle zebrać z ziemi, coś brutalnie oślepiło go jasnym światłem.

SKUTKI ZAGMATWANE I PRZYCZYNY MAŁO ZNANE

Przypadek nie morduje z zimną krwią.

Konfucjusz ponoć rzekł, iż nic nie dzieje się bez przyczyny, jakby nie było na świecie miejsca na przypadkowość. Najwyraźniej wszystko było już dostatecznie zagmatwane na tyle, że i powody gdzieś ginęły w kłębku wydarzeń, na zawsze pozostając niejasnymi. Nieważne, jak porażające były skutki. Instytucje zwyczajnie zawodziły, zdrowy rozsądek nie sięgał tak daleko. Można było o odpowiedzi prosić Boga, ale Ten często milczał, jakby głuchy na piekło doczesności. Czasem rzeczy działały się bez ładu i składu, nie sposób było za nimi nadążyć; nieraz pewne zjawiska przerastały, jakby coś działo się za sprawą złośliwych duchów, niewidzialnych sił ciągnących hardo za poplątane sieci ziemskiego wymiaru. Aniołowie jakby odlecieli, zrzekli się swej troski nad ludzką hołotą, zostały chyba tylko te zbuntowane – ażeby psować, co się dało, i siać zamieszanie. W formie bezkształtnej – jako fatum pechowcom zawsze obecne oraz w ciałach zakłete – jako jadowita pokusa, spowijająca dusze dotkniętych. Wydawało się, że zło takie ciągnie do brudu, zaniedbania i biedy – gdzie mrocznie było i strasznie – tam straszło... Zapuszczone parkingi mniejszych i większych miast stanowiły przykład esencji takiego zła – kałuże krwi nie były tam żadną nowością, schnące leniwie pomiędzy zabazgranymi nieumiejętnie ścianami, pod stertami wymiętych, śmierdzących śmieci.

Niestworzone historie opowiadało się o tych miejscach; znacznie gorsze miały tam miejsce rzeczywiście. Wiele z nich nigdy ostatecznie nie wychodziło na jaw, inne tylko częściowo – na zawsze pozostając niewyjaśnionymi. Dziwnie skończyć w takim miejscu, dziwnie w ogóle spędzać tam czas, są lepsze miejsca. Niektórzy powtarzali to do bólu, schodząc za innymi niżej i niżej w dół, w podziemia. Raczej nie docierało i do niektórych nie dotrze już wcale. Pokój ich duszom, kimkolwiek byli za życia. Ciała tego nieszczęśliwca nie znaleźli od razu, nigdy też całego. Niektóre partie zostały poszarpane i podarte, najwyraźniej przez jakieś stworzenie. Istota atakowała różne obszary, powodując duże ubytki krwi, które potem piła. Ostatecznie skupiła się jednak na mózgu, który z przerażającą finezją wyjęto z rozłupanej bestialsko czaszki. Na świecie istnieją różne drapieżniki, w tej krainie było o nie jednak trudno. Do tego akt tej krwawej sztuki dokonany został nad wyraz rozumnie i w sposób tak demoniczny, że zwierzęta po prostu odpadały. Zostawał człowiek. Ten pojmany jednak nie pasował, nic się w nim nie zgadzało. Chcieli trzymać go na komendzie dłużej, licząc, że okaże się pomocnym świadkiem – nic z tego. Jednakże okoliczności zaistniałe na kolejnym z parkingów rzucały światło na niego... i w ogóle na wszystko. Nikt nie był pewien, co się tam właściwie wydarzyło.

Zatrzymany już na parkingu był roztrzęsiony. Kolejne ślady krwi, które mijali, wyprowadzając go, spowodowały w końcu, że nie wytrzymał i porzygał się. Cały czas wydawał się jakiś zaćmiony. To nie była tylko kwestia trzeźwości – mężczyzna prawie się zaczął, straciwszy najwyraźniej przytomność zaraz po wybuchu. Kiedy wyszli z podziemi, długo kaszlał i łzawił, prosząc jednocześnie, ażeby po prostu dali mu odejść. Na niebie wisiał już księżyc, paliły lica pierwsze mrozy. Nie puścili go – zaczęli za to wypytywać, o co się dało, a on w odpowiedzi ciągle

dopytywał, do kogo należały strugi krwi na parkingu. Chyba był w głębokim szoku i być może martwił się o tego drugiego delikwenta, jak się zresztą potem okazało – zupełnie słusznie... Poza podstawowymi informacjami niewiele dało się z niego wydusić – najwyraźniej wiedział on tyle, co oni... albo kłamał. Albo... nie pamiętał? Po szybkich oględzinach przez funkcjonariuszy okazało się, że ktoś go ranił i... ugryzł. W kręgu funkcjonariuszy wywołało to niemałe poruszenie – takie rzeczy w takich niepewnych czasach budziły grozę.

Kiedy parę godzin później, poza parkingiem, a w jednym z kontenerów Czerwonego Krzyża znaleziono ciało, miny zrzedły im jeszcze bardziej. Niepojęte było dla nich okrucieństwo dokonane na zamordowanym mężczyźnie. I obrzydlistwem największym był fakt, że ofiara, podobnie jak zatrzymany, miała na sobie ślady ukąszeń – ktoś tego trupa jadł... Czy powodem tej zbrodni był głód czy jakaś chora, kanibalistyczna żądza? Może to sprawka jakiejś sekty, a wszystko było jakimś krwawym, obleśnym rytuałem, gdzie wypija się krew nieszczęśnika i wyjada jego mózgowie? Egzoświrów nie brakowało, pseudosatanistów i innych takich również, a pod presją grupy i wpływem różnych substancji ludzie... cóż, przestają nieraz być ludźmi, zamieniają się w otępieła, posłuszne rozkazom bestie. Pewne cechy takiej przytępionej umysłowości zdradzał zatrzymany, sprawdzili nawet zatem, czy aby ten na przykład nie pogryzł sam siebie, dla niepoznaki. Okazało się, że nie, na parkingu musiał więc być ktoś jeszcze, przegląd kamer również nie okazał się ani trochę pomocny – na krótko przed dokonaniem zabójstwa nastąpił tam mały wybuch, którego dym i opary okazały się skuteczną osłoną dla sprawcy. W policyjnym raporcie nie brakowało luk, których nie sposób było wypełnić. Zatrzymanemu udało się podejrzeć tylko fragment notatki, gdzie napisano, że został on najprawdopodobniej ukąszony przez... kobietę.

DROGA DO NOWEGO DOMU

Jedna zjawia śmierci nie czyni.

Niepozorny Narkoman w próżności swej nieomal zapomniał o własnej siostrze i spóźnił się na autobus, którym przyjechała. Ale on się spóźnił z założenia, jego siostra z pewnością nie była tym zaskoczona i zorganizowała sobie jakoś czas, w którym on próbował się do niej zebrać. Po drodze, zataczając się, spotkał drugiego Niepozornego Narkomana, tego zatrzymanego przez gliniarzy – facet wydawał się roztrzęsiony, miał na sobie jakieś opatrunki, a przed sobą pchał sklepowy wózek, wypchany po brzegi walizami i bagażem. Zapytany, czy ma gdzie się podziać, oznajmił mu, że właśnie się przeprowadza. Ten wyjaśnił mu za to, że właśnie idzie po siostrę i wraz z nią poszukają pewnie miejsca w jakimś przytułku dla bezdomnych. Na to kolega jego skrzywił się, wątpiąc głośno, ażeby to było odpowiednie miejsce dla niespodziewającej się niczego dziewczyny. W takich miejscach roiło się od takich zwierząt jak... jak oni, i gorszych.

– Dobra... – westchnął w końcu – mogę spróbować wziąć ją do mojego znajomego na parę dni, ale nic nie obiecuję.

O pieniądzech miało być potem, nigdy ich zresztą nie mieli, nigdy za wiele, to już chyba była zasadą. Padło jeszcze parę pytań o siostrę mężczyzny. Dowiedział się jedynie, że są raczej różni – jak to w rodzeństwie. Był późny wieczór, słońce żałowało ciepła i uciekało spiesznie za horyzont, kiedy dotarli w okolice przystanku, z którego mieli odebrać dziewczynę. Nie było jej tam jednak i nie wiedzieli, gdzie jej

wyglądać. W końcu trafili na nią w jakimś budynku wypełnionym restauracjami, widać było, że płakała, ale jej brat tego nie spostrzegł. Nie był Salomonem i nie mógł wiedzieć i widzieć wszystkiego, do tego używki stępiły mu zmysły i chyba też zdolność do empatii – przywitanie rodzeństwa było chłodne. Ten drugi nie był lepszy, ale burknął do niej parę słów na pociechę i oznajmił, że będą mieszkać razem. W duchu trochę dziwił się jej stoickiemu podejściu – musiała być z niej harda panna, choć niepozorna. Okazało się, że dziewczyna skończyła studia, jak zresztą oni wszyscy, i chciała tu znaleźć lepsze jutro. Miała nadzieję na znalezienie dobrej pracy, ale żadnej się ponoć nie bała. Pochodziła z małej miejsciny, ale żyła w większym mieście, pustki tutaj nie dziwiły jej jednak aż tak – takie przecież czasy. Czarne oczy wertowały inteligentnym chłodem, kiedy udzielała rzeczowych odpowiedzi, skromne maniere nie pozwalały na pochopną ocenę.

Wydawała się taka porządna. Czy nauczy się wytrzymywać z takimi jak ten Niepozorny, niepoprawny Narkoman? Pewnie już dawno to umiała – mając podobnego urwipółcia za brata.

Wszystko to było niepewne i przez to ciekawe, ale nic wtedy nie zaprzętało głowy tego Niepozornego tak bardzo jak strata znajomego, którą nosił w sercu. Szok wypełził mu w końcu na gębę, kiedy jego towarzysz od niechcienia zapytał o niego. Cała ta chora sprawa wróciła wówczas do niego, uderzając w niego falami gorąca i mażąc wyobraźnię niewyraźnymi plamami krwi. Czuł się, jakby jego klatkę piersiową gniotło jakieś wielorybie cielsko, stracił siły na pchanie dalej wózka ze swoimi tobołami. Sapał ciężko jak stary, schorowany słoń. Przystanął aż, ścierając z czoła pot.

– Pomóż mi z tym, muszę odpocząć – zwrócił się do kolegi. – Zaraz ci powiem, co się odjebało, ale nie wiem, czy mi uwierzysz.

Zapalili też po papierosie, jakby to miało poprawić im kondycję. I wtedy wyjawiał im wszystko, rozklejając się coraz bardziej, zdanie po zdaniu. Brodaty Blondyn nie żył – od tego wstrząsającego niusu zaczął. I mieszał potem wszystko – amatorską petardę, utratę przytomności, pogryzienie i zabranie go na komisariat, kiedy tylko się ocknął. Mówił o dymie jak w piekle, o krwi niczym w rzeźni, o przerażeniu na obliczach policjantów. Sam nie widział w tym wszystkim spójności ni ładu, nikt zresztą nie był lepszy, a wszyscy zaszokowani. Mężczyzna bąknął coś, że ich kumpel został chyba zagryziony, na co dwójka rodzeństwa zrobiła już zupełnie wielkie oczy. Nie do pomyślenia to było, zwłaszcza tutaj. Zaczęli szukać sprawców w kręgu znajomych, ci dwaj Niepozorni Narkomani, i zaraz jeden wspomniał Krzywogębego. Obaj mogli przecież poświadczyć, że był szalony i czasem gadał tak, jakby jedzenie ludzi było mu w smak. Wzdrygnęli się na myśl, że mogliby obcować z kanibalem, nie mając o tym pojęcia, a potem pięli się myślami wstecz – do zaginionych dziewczyny i dziadygi. Ale ich chyba nikt nie żarł – chyba że muchy, parę godzin po zgonie. Jeden z nich zauważył jednak słusznie, że nie wiadomo było nawet, co właściwie stało się z dziewczyną – jej ciała przecież nie znaleziono. Brat swojej siostry zapewnił wówczas, że ona nie może żyć, bo przecież widział jej ducha, na co dziewczyna najpierw zdumiała się, a na koniec tylko uśmiechnęła, kręcąc głową. Drugi, żeby go nie ranić, przytaknął jego wizji, ale podkreślił, że jeden widziany duch śmierci nie czynił. Wspomniał im za to o tajemniczej fotografii, która według niego przedstawiała właśnie zaginioną. Obecna z nimi dziewczyna wskazała wtedy na drzewo, które właśnie mijali.

– Masz na myśli takie zdjęcie?

Mężczyźni stanęli jak wryci, jakby teraz objawiła im się jakaś zjawia. To było to samo zdjęcie, tylko lekko nadszarpnięte, jakby ktoś próbował je

zerwać. Groza przelała się przez małą grupkę strumieniem. Ten, którego wcześniej zatrzymała policja, dosłownie czuł, jak krew uderzała mu do głowy, zrobiło mu się cholernie słabo. Słyszał szum, ale nie były to bałwany oceanu, nad którym leżało to ponure miasto. W wartkim biegu tego szumu wychwycił coś jak szept, jakby śpiew, który musiał już słyszeć gdzieś wcześniej... Poczul też, jakby setki igieł kłuły jego rękę. Zerknął tam, żeby zobaczyć siny, brzydki, ropiejący ślad po ukąszeniu. Potem zerknął na telefon – była już prawie północ... Nic tu do niczego nie pasowało, wszystko przerastało jego rozum – chyba wariował... Znowu zerknął na ranę, zastanawiając się, kiedy odczepił mu się opatrunek. Zdało mu się też wtedy, że czuje własną krew – brudną, ociekającą ropą – i zwymiotował... Nie poczuł się ani trochę lepiej, byłby się też przewrócił, gdyby nie asekurowała go pozostała dwójka. To nie było normalne. Zapytali go, czy coś brał, półprzytomnie pokiwał głową, raczej z przyzwyczajenia niż podle prawdy. W głowie kręciło mu się tak, że nie był w stanie odpowiedzieć, zupełnie tracił też orientację. Rodzeństwo dziwiło mu się, ale pomagali mu, jak mogli, żeby zaprowadził ich do swojego nowego lokum. On zaś na zmianę to bredził, to kierował ich, gdzie trzeba. Czoło miał rozpalone jak suche połacie Afryki. Trochę błędzili, nadłożyli też sporo drogi, ale w końcu jakimś cudem trafili do miejsca, które on rozpoznał jako „to właściwe”. Wyglądało to na koniec przygód tej nocy. Przed znajomym, u którego mieszkać miał z nieznajomą, Niepozorny Narkoman zgrywał pijanego, przedstawił mu sprawę w możliwie łagodny sposób, a tamten... nie wydawał się wtedy specjalnie przejęty, był przede wszystkim śpiący. Weszli do pokoju najciszej jak mogli, nie rozkładając nawet rzeczy. Mężczyzna szepnął dziewczynie, że jakoś to będzie, po czym legł na łóżku. Jej pozostawała kanapa, na której długo jeszcze płakała,

kiedy obcy facet tuż obok nieznośnie chrapał. Taki miał być jej nowy dom...

KONIKI LUDZKIE I ZWYCZAJE NIEZWYCZAJNE

Co jeżeli śmierć to tylko początek czegoś gorszego od żalosnej doczesności?

Książki były konikiem Niepozornych Narkomanów. Czytywali, pisywali – wszystko w przerwach pomiędzy libacjami albo i bez przerwy. Jeden z nich szczególnie upodobał sobie horrory i grozę, był więc poniekąd rad z takiego makabrycznego obrotu spraw, których byli świadkami i uczestnikami. Jakby nie żał mu było chociażby Brodatego Blondyna, którego przecież brutalnie zamordowano, a którego poniekąd trochę już znali. Ci, którzy mogli, mieli udać się na jego pogrzeb. Nie należała do tej grupy nowo zamieszkała razem dwójka. Ci dopiero odkrywali przed sobą swą naturę, swoje prawdziwe oblicza. Mężczyzna szybko zorientował się, że niedużo młodsza nieznajoma tylko wygląda na delikatną, a w małym jej ciele duch bardziej hardy pomieszkiwał, niżby zdawać się mogło. Ona dzieł strasznych nie pisała, ale w urodziwej głowie takie dziwy koszarne kryła, że strachem zdjąć te mogły niejednego osiłka. Na czarownictwie podobno się znała, krew i przemoc nieobce jej były, a lube, nawet śmierć Blondyna zdawała się ją nie tyle ruszać czy przejmować, co ciekawić i fascynować... Pierwszą historię jej współlokator usłyszał od niej pierwszego ranka, a tyczyła się ona tego, co rzekomo działo się nocą w piwnicy. Krzyki, chyba kłótnia czyjaś miała tam miejsce, głośniejsza przy tym nad jego chrapanie uciążliwe. I uderzenia głuche, ale potężne, zupełnie nienaturalnie brzmiące – aż dziw jej było, że wszystko to przespał. On wierzył jej,

poszedł nawet sprawę obadać i obgadać z właścicielem. Okazało się, że na dole ktoś mieszkał, jakaś samotna kobieta, która dawien dawno straciła dziecko. Z kim się kłóciła – nie mógł podpowiedzieć, ale hałasy podobno również słyszał, ściszył jednakże głos i do sprawy utraconego dziecięcia wrócił. Podobno kobieta, od kiedy jej łono odrzuciło płód, oszalała i nie mogła pogodzić się z brakiem istoty, którą zdążyła pokochać pełnią matczynej miłości. Stwierdzono u niej poważne zaburzenia na tle schizofrenii, co tłumaczyć miało przeniesienie wszystkich jej uczuć na... lalkę.

Opowiadający nie widział tej lalki, o wszystkim słyszał z innych opowieści. Podobno kobieta wykonywała ze swoją nieożywioną podopieczną wszystkie czynności – od gotowania i sprzątanania, poprzez śpiewy, taniec i oglądanie telewizji aż po wspólne modlitwy. Świata poza lalką nie widziała, ale też światu lalki nie ukazywała – zawsze sama na zewnątrz wyruszała, a tę gdzieś kryła. Nie wyglądało to na mroczną tajemnicę, dziwił tylko wszystkich nocny hałas, który podobno dotąd miejsca nie miał. Nowi lokatorzy postanowili się tym na razie nie przejmować, dziewczyna tylko wyrażała tym wszystkim chore wręcz zainteresowanie. Te przekłete zjawiska zbliżyły ich nieco, razem więc wyruszyli na miasto, głównie w poszukiwaniu pracy dla niej. Było jeszcze wcześniej, ale po drodze napotykali sporo znajomych, sporo włóczęgów – wielu z nich z kwiatami, pewno dla zmarłego.

Brat nowo przybyłej kwiatów nie miał, twierdził, że o takowych zapomniał i że tutaj to pochówek w ogóle inaczej wyglądał. Tłumaczył, że tu pogrzeby to wydarzenia muzyczne, gdzie słucha się i adoruje ulubione piosenki chowanego nieboszczyka. Zapewne więcej by się o tutejszej obyczajowości od niego nauczyli, gdyby nie przerwał im inny znajomy włóczęga, ten starszy, Siwy, którego zawsze pełno było, gdzie się nie

pojawił. Poruszony był bardziej niż zwykle, bukiet skądś porwany w drobnych rękach miał nerwowo, o kolejnym pogrzebie coś biedaczyna biadolił. Że linię wszyscy przekroczyli, oznajmiał roztrzęsiony, że na każdego z nich zło w ciemnościach czyhało niechybnie. Że wszystko najgorszy kurs obrało i coraz kolejnych spośród nich spomiędzy żywych zabierało. Dali mu papierosa na uspokojenie i skoordynowanie swoich myśli. I w końcu ten zebrał się i opowiedział im o tych różnościach strasznych, w jednym wydarzeniu zamkniętych.

Rzeczywiście, wieści to były rewolucyjne. Podobno dnia wczorajszego słońce ostatni raz zaszło dla... Krzywogętego. Na razie okrzyknięto go zaginionym, ale nikt nie wątpił w to, że i jego okrutna śmierć już dopadła, podejrzania przynajmniej z niego wszelakie zdejmując, chyba... Smutną wieść wszyscy uczcili ponurą ciszą.

Nawet między nimi to rzadkość, żeby tak znikali, jeden po drugim. Kręte losy, różnie urywane, teraz szczególnie wszystkim kruche się zdały. Jakaś siła postaci wyrywała z ich ulicznej sceny, sztukę ich żywotów wybrakowaną czyniła. Demoniczne dzieło wiodło teraz prym, a ich historie wokół tej jednej, makabrycznej się oplotły. Kto w tej operze za sznurki pociągał, kto instrumentami śmiercionośnymi głów i dusz biedaków sięgał? Czy była to banda jakaś czy pojedynczy sprawca – to pozostawało niejasne. Podobnie niejasne było odtąd ich teraz, ich jutro.

Nic nie mogło osłodzić tak ponurej nowiny. Jedni od rana moczyli mordy w piwie i samoróbach, ale nie topili smutków – oblewali tak tylko usychającą bezwiednie codzienność. Dwójka współlokatorów posiedziała z nimi na ławce w centrum, potem ruszyli odprowadzić ich na cmentarz. Tam już czekała policja, i nic nie pomagały tłumaczenia – nie dało się uchronić Niepozornego Narkomana przed pojmaniem – znowu... Odjeżdżając, wsłuchiwał się w bicie cmentarnych dzwonów. Słabo

docierały do niego powody zatrzymania – nie wszystko rozumiał, nawet nie słuchał... Zebrani na pogrzeb odprowadzali kabarynę wzrokiem, szemrząc już o dorwaniu domniemanego mordercy. Leciały te wieści z ust do ust, ale nie każdy w nie zawierzał, wszyscy jednak jednako się dziwowali całemu zajściu. Porwanego przez gliny za uczciwego i pracowitego mieli, mało kto nawet o jego upodobaniach narkomańskich i tym podobnych wiedział. Nic nie wskazywało na to, ażeby ten miał mieć jakieś problemy z prawem, nigdy jednak nic nie było wiadomo. Nie tak też widziała go jego współlokatorka, która za frajera raczej go miała, z kujońskich kręgów nieudaczników. W jej oczach więcej ich dzieliło, niż łączyło, a z tych cech „wspólnych” to przychodził jej na myśl głównie wspólny pokój. Spośród znajomych z kolei dzielili tylko jej brata – i tylko dlatego, że był jej bratem, reszty towarzystwa dziewczyna wołała unikać, jeśli tylko miała takie wyjście. Teraz chyba nie miała, harda interwencja policji postawiła ją w kropce... pomiędzy menelami. Przedstawienie albo – jak kto woli – ceremonia pogrzebowa – miało się zaraz rozpocząć. Nie sztuką było udawać, że przeżywa się to wszystko razem ze zgromadzoną tam ciżbą, a uciec stamtąd jak najprędzej, jak najmniej inwazyjnie. Przez jej brata wielu z nich już ją rozpoznawało, co mogło tylko utrudnić sprawę. Chociaż wszyscy byli nastawieni do niej pozytywnie, ona zwyczajnie nie chciała się bratać, gorzko w duszy dziękowała za podobne „przywileje”. To nie była arogancja, a zmęczenie tym wszystkim – już teraz, na samym początku...

W sumie to te początki sięgały jej dalekiej przeszłości – dziewczyna nie była głupia i nieobca jej była patologia, w różnej formie. Widząc, że tutaj sporych różnic nie ma, wzruszała ramionami, wzdychając ciężko na swój los. Dzwony przestały bić, a... zaczęła grać muzyka. Kojarzyła nawet utwór, ale nie potrafiła przywołać z pamięci tytułu. Uśmiechnęła się pod nosem, jak zresztą wielu innych uczestników stypy, którzy zebrali się bliżej

wokół symbolicznego nagrobka. Zwłoki tu zwykle palono, a te i tak były w takim stanie, że nic innego chyba im nie pozostawało. Dziewczynę nawet ciekawił ten widok, myślała o rozszarpanych flakach, oglądając niskie, łyse drzewka, gubiące ostatnie listki w te coraz mroźniejsze dni. Podbudowane popową muzyką serca zebranych były rozgrzane, ale ich nosy czerwone od uszczypliwej pogody. Mimo niskiej temperatury było tak... spacerowo, ciekawiej będzie jej się wracało do domu. Tam wyruszyła, nie słuchając próśb brata, który prosił, żeby została i snuł tysiące wariacji na temat tego, jak należy rozpatrywać tę sprawę – niepoprawny, ponury bajkopisarz... Zostawiła w tyle go, włóczęgów, pogrzeb i cmentarz, ale nie troski i problemy, których tylko przybywało.

Poprzednimi razami, kiedy bywała w tej dziurze, widziała w niej piękno, które teraz tylko blakło. Wszystko było krzywe i zdeformowane – bardziej nawet niż oblicze zaginionego Krzywogębego. Jakby zebrani tutaj przedstawiciele ludzkiego gatunku umiłowali sobie szarość i brzydotę w otoczeniu naturalnej surowości tutejszego krajobrazu. Cokolwiek sprawiało wrażenie nowości, szybko się przejadało, przemijało szybko jak tutejsze lato, i tak skąpe w ciepło. W takich warunkach odechciewało się żyć, wiele osób popadało tutaj w depresję. Tego dnia logicznym wydawała jej się opcja powrotu do domu, za wielką wodę. Czuła się tu teraz jak mały płaz pod wielkim głazem, ten ciężar naprawdę doskwierał. Teraz, wróciwszy już do domu, czuła się cholernie samotna, przydałby się chociaż ten nierozgarnięty miś – porwany przez władze, jej zidiociały współlokator. Niezgrabny jak słoń, wypełniał chociaż jakoś przestrzeń... i czas... Nie był jakoś specjalnie przystojny, ale i tak pozwalał sobie czasem na jakieś kretyńskie flirty wobec niej. Nie ruszało jej to, ale nie miała też nic przeciwko – i tak nie dawała mu żadnych szans. Ciekawe było to, jak ubytki zewnętrzne nadrabiał spójną, chociaż szaloną trochę gadką.

Językiem próbował kształtować pojęcie o sobie, wygląd szedł z tyłu, wpasowując się jakoś między potoki słów. Teraz jego figury i niedomykającej się gęby zwyczajnie brakowało – było za spokojnie. Wnętrze brakowało kolorowej ekspresji jego osoby, co mogło się z nim teraz dziać? Wypuszczą go czy uznają go winnym? Jeśli tak, to winnym czego...? Jaki sekret mógł skrywać Niepozorny Narkoman, przeciętny współlokator? Nie wyglądał na bandytę, to na pewno.

Usnęła, czytając jedno z opowiadań swojego brata, gdyby nie telefon. Odebrała, licząc, że to z ofertą pracy – zdążyła już zgłosić się do multum firm. Pomyliła się jednak, a w słuchawce usłyszała spięty głos swojego współlokatora.

– Te obrzydliwe kurwy chcą mnie zrobić, chcą mnie deportować! Mówią, że wszystko wskazuje na to, że jestem podpalaczem, a nie pozwalają mi nawet zobaczyć nagrań z monitoringu! Chcą zrobić ze mnie chorego potwora, chore pojeby! Byłem na tym parkingu, ale nie byłem przy żadnym pożarze, w życiu nawet petardy nie odpaliłem! Boże, nic chyba nie wymyślę, jestem w dupie! Żeby to była chociaż po części moja wina...! Ech, po prostu świetnie... Ale nie po to dzwonię, wybacz. Ja... po prostu powiedz bratu, że to moje ostatnie dni w tej dziurze. Lepiej niech zacznie szukać ci nowego miejsca.

Nie miała zamiaru informować o niczym brata ani w ogóle tracić czasu – postanowiła sama podjąć konkretne kroki. Ubrała się w pośpiechu, zakładając, co było pod ręką, i wyszła. W głowie miała mętlik, istny chaos. Wiedziała jednak, dokąd zmierza – zaprowadzić dyscyplinę na... posterunku policji. Ona znała się na rzeczach takich jak elektronika, monitoring żadnego parkingu nie był dla niej tajemnicą – jeżeli cokolwiek dało się odczytać z zapisu wideo, ona potrafiła to zrobić – to był jej konik, nie jakieś marne pisarskie wypociny czy inne bzdury. Głos w głowie

powtarzał jej, że musi być twarda, że za wszelką cenę musi przekonać gliny do udostępnienia jej materiału. Już nieraz wyciągała z podobnych kłopotów jej „braciszka”, parę lat starszego. Jeśli szczęście dopisze teraz jej i im wszystkim, i jeżeli ta sierota – jej współlokator – rzeczywiście jest niewinny, powinno jakoś im się udać. Inne opcje nawet nie wchodziły w grę. Mijała żwawym krokiem kolejne przecznice, daleko nie miała – wszyscy wiedzieli, gdzie znajdowała się komenda. Mały był ten świat, pełen po brzegi wielkich, opasłych problemów. Aż tęskniło się do innego świata, gdzie zmartwienia były takie same, ale przestrzeni i swobody jakby więcej.

Dotarła w końcu na miejsce, kręcąc głową na wybryki niepoprawnych, niespełnionych pisarczyków. Żaden z nich nie zakrawał na noblistę, a obaj mieli się za pępki świata. Kiedy jednak przyszło co do czego, to ona musiała wchodzić ze swoją prawdziwą, a do tego praktyczną sztuką, i ratować im dupska.

NOWA ZWYCZAJNOŚĆ

Najgorzej, kiedy strach tak się gdzieś zakorzeni, że kiedy ustępuje, to zostaje po nim w sercach dziwna pustka.

Niektórych ścieżki pełne są zwyczajności – aż żal patrzeć; nie ich jednakże, włóczęgów wszelakich, ale żal ich nierzadko jednako. Ostatnio jednak ich bujne szlaki obumierały – strach zabijał ich kuchenny przemysł i małą, podziemną gospodarkę wymienniczą. Wpływ na to miały procesy globalne – jak wszechpanujące, toczące świat choróbsko, a także te lokalne – coś przecież sprawiało, że bezdomni znikali... Nie wszyscy od razu i nie wszyscy byli... zjadani – jak ów nieszczęsny Blondyn. Nikt przecież nie próbował zjeść Proroka, a ten i tak skończył pokiereszowany. Niektórzy śmiali się za jego plecami, że taka z niego Wyrocznia, co własnego losu przepowiedzieć ni przewidzieć nie umiała. Inni z szacunkiem szeptali, iż to właśnie wróżby jego, prawdziwymi, a przez to niebezpiecznymi będąc, nożownika na jego głowę ściągnęły. Parę ran ciętych gęby mu jednak nie zamknęły, Prorok prorokował dalej. I zapowiadał on więcej diabelstwa, i więcej zarazy, a wszystko to gorsze i groźniejsze miało być niż uliczni rębajła i siekacze.

Meandry jego pokrętnych ścieżek zaprowadziły go raz pod plakatowy filar, gdzie ktoś nakleił zdjęcie dziewczyny; „tej” dziewczyny. Okazało się, że trafić w jedno z takich miejsc z jej wizerunkiem nie było trudno, a jej fotografiami oblepiono całe centrum. Zobaczywszy to, zrazu staruszek diabła w niej upatrywał, w jej pozie pokrętnej, jego zdaniem lubieżnej.

Głędził zatem głośno, że czarcia to dziewczica i może sami biesi właśnie ją porwali z duchem jej brzydkim, nieczystym. Twierdził, że trajektorium takiego ducha kosmicznym jest, metafizycznym, przez co ciało złapać może już być zwyczajną niemożliwością – może w inny, niematerialny świat je nawet zabrano. Nie znał metody, która zjawę przywołać by mogła, ale słyszał, że ta co poniekórym się ukazywała – pewno, żeby straszyć, z sił witalnych ludzi obżerać. On sam wierzył, że duch taki, jaki w niej był zły albo i gorszy, nawet w zbójcę wstąpił, który nożem go napadł. Esencję niegodziwości w niej upatrywał, ani trochę jej nie żałował. Według niego nie bez winy ludzie znikali czy napadani byli, wyznał nawet, że i on sam bez winy nie był i przez to fortuna szramami na czerepie go oznaczyła. I o Krzywogębego go pytali, ale ten wówczas bąknął, że słabo człowieka kojarzy, bo serpentyny ich losów mało splecione były i orzec o nim nic pewnego nie mógł. Po przemyśleniu jednak samej jego ksywy stwierdził, że i z nim coś na rzeczy musiało być. Czym gęba umalowana, tym i dusza pewno upstrzona – wywnioskował. Nie miał rzekomo intencji nikogo swoimi osądami urazić – wszystkich pod jedną kreską pochował, w jednym grzechu, jednym worze nieczystości i brudu. W tajemnicy powtarzał co chętniejszym słuchaczom, że to nie jedynie wola boża, a i władz, i innych elitarnych stowarzyszeń. Największym zaś spośród tych sekretów miał być projekt masoński, który przeredzenie ludów zakładał, a wszystko to z czarcią pomocą, z którą ci źli ludzie pakt cyrograficzny zawiązać mieli. W duszach niektórych naćpanych włóczęgów nawet podziw to wzbudzało, a w otumanionych ich łbach kolejne teorie mnożyło. Niepozorny Narkoman, ten zupełnie bezdomny, snuł i swoje, żałując, że brak mu kompana godziwego, z którym mógłby je dzielić. Siostrę jego męczyły raczej takie monologi i wystąpienia, ten jej lokator do gadki by się zdał, ale zabrali go, kto wie na jak długo. Wspomniał, jak przed pogrzebem

Blondyna wszyscy chcieli uciekać – każdy tam myślał, że policja była po niego. Mało brakowało, żeby zestrachani goście w ogóle nie stawili się na stypie, w obawie przed najgorszym z niebezpieczeństw – karą. Nic tak nie uderzało jak groźba pozbawienia wolności i inne, podobnie formalne. Prorokowi język od upomnień nie usychał, ale nieraz opadały na to łobuzerstwo ręce, jego jednak wysiłki nigdy nie były tak skuteczne jak znienawidzone koguty i syreny niebieskich. Mógłby być zatem wdzięczny porządkowym za „wsparcie w fachu”, ale z jakichś powodów i on za nimi nie przepadał, psioczył tylko na nich rzadziej i ostrożniej. Nie jak te gwiazdy spod ciemnych dziur tu przylazłe – kiedy kabaryna nadjeżdżała, pierwsi brali nogi za pas, ale bez ogona za plecami – wtedy najgłośniej swoje racje przeciwko władzy i w ogóle wszelkim ustrojom wykrzykiwali. I tylko on, jak ojciec ich proroczy, dziadzio Abraham, ziemię im obiecaną obiecywał, i drogę do niej, gwoźdźmi i trupami usłaną. Ale do owiec zbaraniałych można było gadać i gadać, nigdy nie wiadomo, czy ze zrozumieniem. W gęstym gąszczu słuchaczy co drugi przecież rzadką miał papkę z mózgu, efekt narkotyzowania się i alkoholizowania na pełen etat. Nawet Niepozorny Narkoman coraz ciężiej ostatnio chwycił, Prorok i to nie za przypadek poczytywał, a zwiastun czego mrocznego. I prosił go, ażeby z domu niewoli własnej wyszedł, a ulicę i kłopoty za sobą zostawił. Mówił o wielkiej Arce, którą wszyscy razem mogliby odpłynąć ku lepszemu, czasem wskazując, że takim miejscem może jest Kanada.

– Tam będziesz mógł stać się, kim zechcesz! – przekonywał go. – Żyć jak król, jak faraon! Wszystkie córki babilońskie łasiłyby się do ciebie, nie to, co tutaj! I tam przyjaciół prawdziwych zastaniesz, rodzinę, braci co niemiara, jako ten biblijny Józef!

I słuchając go, zapominał Niepozorny Narkoman o świecie niebożym, i marzył o byciu jak ten Józef z Pisma, kimkolwiek on właściwie był. Na

spokojnie rozważał te wszystkie opcje, coraz bardziej jednak utwierdzając się w przekonaniu, że trzeba mu opuścić ten ciasny świat.

Tutaj wszyscy tylko ocierali się o śmierć albo kłopoty, o czym świadczyły cięcia nawet na facjacie Proroka. I w ogóle wszystko wokół – zniknięcia czy zaginięcia, zabójstwa czy akty kanibalizmu – gorzej niż w horrorze! I, chociaż cała jego rzeczywistość zdawała się jakaś nadszarpnięta, on nie czuł się zastraszone, chociaż... Czasem, mijając nawet zupełnie obcych przechodniów na mieście, czuł jakiś irracjonalny niepokój. Nigdy nie lubił, gdy się gapili, ale to... to było coś innego. Jakby przeczuwał koniec – swój czy świata – jeden grzyb, tak samo marny. Niezbadane były wprawdzie losy ich człowiecze, ale – jego zdaniem – jednako przesądzone. Widać było jak na dłoni, że są skończeni, zwłaszcza oni – bezdomni i włóczędzy. Tylko głupi nie dostrzegał, że coś było na rzeczy, a Prorok dziwaczny więcej mógł mieć racji, niżby się wydawać mogło. I ratunku ni kryjówek znikąd było upatrywać – nawet w podziemiach nie dało się skryć, gdyż nie wiadomo było, co za zło się tam czaiło. Jediną więc jego ucieczką były narkotyki, prochy – Niepozorny ćpał dalej, na potęgę. Nie zawsze to pomagało – nieraz włóczył się taki nijaki, wyklinając całemu światu i rodzicom, że go nie poronili. Pisał i nieraz listy, w których żegnał się ze wszystkimi raz i ostatecznie, a na drugi dzień widywał się z nimi, zapominając o wczoraj.

Ale nie zawsze przecież można było czuć się bogiem i zwycięzcą. To normalne, że nieraz życie dawało w kość, tylko w jego stanie to jakby ktoś porachował wszystkie jego kości. Przez to we wszystkich widział wrogów, w każdej mijanej postaci odzwierciedlał się jego ból, jego nienawiść do świata. To im, cholernym przechodniom, tym pieprzonym statystom przypisywał swoje smutki – bo się gapili, bo myśleli na pewno, że mieli lepiej. Hańbili tę ziemię swoją szarością, zasrywali świat swoją nijakością

i do tego gapili się, pojebani. Tylko drugi Niepozorny Narkoman, ten od jego siostry, brał nieraz ich stronę, chyba jemu na złość. Niby dowcipkował, ale zwracał mu uwagę, że patrzą, bo mogą, bo po to zmysłów im nie żałowano. Jego uwagi nie wywoływały w nim burzy, ale teraz... brakowało go, nie pierwszy raz zresztą. A on akurat się naćpał, po rozmowie z Prorokiem, parę godzin po pogrzebie, zdołowany w sobie, przeciwny wszystkim ludziom i zasadom wokół. Pędził przez miasto i unosił się gniewem jak tutejszy nieprzewidywalny wiatr, który czasem za bóstwo tego małego świata postrzegał.

Czuł się chwilami jak król, ale jak ten wygnany, z trudem utrzymujący władzę nawet nad sobą. Coraz mniej się kontrolował – tu kopnął śmietnik, tam rozwalił plakat. Ludzie oglądali się za nim, bulgocząc coś w tych swoich językach, a on odszczekiwał w eter, machając łapami jak skrzydłami wiatraka.

– Chodźcie, kurwy, chodźcie wszyscy! – wrzeszczał. I rzeczywiście chciał walczyć, ale mało kto go rozumiał, może pojedyncze słowa, te kojarzone przez wszystkich.

Bo, chociaż sporo tu było jego krajanów, to istniała przecież spora dysproporcja między liczbą ich, tubylców, a resztą obecnych tu nacji. Może to i lepiej – kto wie, czy nie znalazłby się zaraz jakiś chętny „swoj”, któremu ten nie dałby rady. Nie trafił się taki agent ani żaden inny – ludzie puszczali go wolno, goniąc go tylko wzrokiem i sapiąc za nim pełne oburzenia pogrożki. Pod sam wieczór jego wybryki sięgały maksimum. Szwendał się po sklepach, gdzie kradł, co popadło, kręcił się po uliczkach, każde drzwiczki sprawdzając i wszędzie włącząc, gdzie się dało, żeby burdelu narobić. Na koniec wpadł na najgorsze – napad na miejsce dla bezdomnych prawie święte. Wślizgnął się on do spiżarki, gdzie trzymano jadło na darmową wyzerkę. Co dla wielu było nie do pomyślenia – jego

napawało dumą. Anarchia pełną gębą, pożerającą z magazynu co się da, w imię nieposłuszeństwa systemowi. Po wszystkim zostawił jako taki porządek i więcej niż pewien był, że nikt się nie spostrzeże, nikt go nie złapie. Nie spieszyło mu się poza przytulne mury – przespał się tam jeszcze, najedzony po uszy. Po takiej sytej uczcie i drzemce będzie chodził jak sprężyna, już to czuł.

Nie wszystkim i nie zawsze pisany jest jednak sukces, nieważne, w jakim szczęśliwym czepku się urodzili. Przejęcie tej „prowincji” przez Niepozornego Narkomana ściągnęło na niego niespodziewane konsekwencje. I na seniora z ochrony, starego pijaczynę. Ten wąsy nosił jak jakiś hiszpański, podstarzały macho, ale bęben do tego mordujący z miejsca wszelkie z godziwą męskością skojarzenia. Stary robił tam nieraz kontrolę i akurat tym razem coś posłyszał, chwycił więc za łopatę i polazł pod drzwi do magazynu. Myślał, że może ktoś je siekierą wyrąbał albo chociaż zamek wyłamał, ale nie – te zamknięte były. Znad oceanu wiało mu zimnem po zgrabiających łapach, kiedy próbował dorwać się do właściwego klucza. Zawsze zapominał, który był od czego, teraz więc musiał je wszystkie oglądać po ciemku, jeden po drugim, z całego pęku. Kurwica go tam dopadała z jego kurzą ślepotą – chciał tylko spokojnej zmiany, a musiał pierdolić się nocą po jakichś piwnicach. Prosił już wszystkich świętych o litość, i świętego Antoniego – i wtedy, pewno za jego sprawą, dopasował w końcu klucz do otworu. Szczęknięło aż miło, aż na puciołowatych, pomarszczonych licach mężczyzny wykwitły z uniesienia rumieńce. Miał nadzieję, że teraz już pójdzie gładko, przecież nie było chyba takiego na świecie geniusza, który zakradałby się do spizarki z... darmowym jedzeniem. To nie był przecież dziki kraj, nie taka Polska na przykład. A tęskniło mu się za tą dziczyzną – jesień tam teraz, prawdziwa jesień, nie jakieś namiastki byle jakie, mrozem przedwczesnym zwieńczone.

A tu... jedyną radością był pieniądź. Chwała tej surowej krainie i za to. Przerobi tu jeszcze trochę, wnuki za to odchowa ponad stan i wróci wreszcie w rodzinne strony, trwoniąc gromadzone latami oszczędności u kresu swoich dni. Coś jednak miało pokrzyżować, zrujnować wręcz jego plany... Zaczęło się, kiedy otworzył szeroko drzwi do magazynu. Ale to nie wewnątrz coś się zmieniło, a gdzieś obok... może przy śmietnikach? Napięcie rosło, a facet pocił się podwójnie, nawet nie wiedział, co to było – czy coś widział, czy słyszał? Coś tam się jednak rzeczywiście kołysało i szeleściło – przy śmietnikach, właściwie pod nimi, gdzieś między tymi czarnymi worami, pełnymi brudu. Ze swoją łopatą dziarski dziadek ruszył w tamtą stronę, raptem był koło koszy na śmieci, kiedy tam pod nimi – wszystko ustało... Pewno było to jakie stworzenie, zmysłami bystrymi poczuło, że on się zbliżał i znieruchomiało. Ręki tam pchać nie chciał – a nuż coś by go dziabnęło. A taka ręka to majątek, niełatwo o drugą taką. Mężczyzna zerknął nerwowo na niebo, gdzie jasny księżyc był chyba w swoim zenicie. Łopatą przecież też śmieci walił nie będzie, jeszcze go kto za wariata weźmie. Facet wyprostował się w końcu i westchnął, wybierając nogę do swoich badawczych celów. I to tej nodze przeznaczone było świadczyć o nim po śmierci.

Że życie jest kruche, powtarzał Prorok, każde – nawet to najzwyczajniej zwyczajne. Jak tego mężczyzny przed emeryturą, który chciał tylko wypełnić swoje obowiązki jak należy. Który już nigdy nie postawi nogi na ziemi, która była jego matką i którą ukochał. Dziwny był ten świat, jak i to, co ów starszy pan wymacał pod nogą. Nie miał nawet czasu się nad tą istotą zastanowić, kiedy ta wypełzła, wspięła się po jego nodze i rzuciła na niego, dziko wykręcona. Wyszedłszy z ukrycia, wydawała się większa, ale mniejsza od niego. Krótco kręcili się w tanecznym kręgu śmierci. Zaraz prysnęła krew i mężczyzna, wraz z przywierającym do niego tajemniczym

zjawiskiem, runął na ziemię. Wówczas to też już chyba był szczyt agonii, nie walka – typ drżał, wierzgał, ale nie bronił się... Niepozorny Narkoman, który wychylił się wówczas z piwnicy magazynu, miał nigdy nie zapomnieć tego chorego widoku. Ale nie miał czasu na zachwyty nad grozą – upadł, gdy w pośpiechu wracał z powrotem do środka, ledwo zatrzasnął za sobą drzwi. Postanowił tam siedzieć, ile potrzeba, utwierdzony w przekonaniu, że to coś nie potrafiło otwierać drzwi, kiedy to właśnie szarpnęło za klamkę...

GŁOS Z PODŁOGI

Skąd chory ma wiedzieć, który głos jest prawdziwy, jeśli wszystkie wiercą mu duszę tak samo głośno?

Działania policji nie przyniosły żadnych większych efektów – zatrzymany przez nich młody mężczyzna był podejrzany, ale twardych dowodów na niego nie mieli. Jego sprawa się względnie wyjaśniła, kiedy władzom pomogła... koleżanka ich tymczasowego więźnia. Nazwano ją nawet bohaterką, bo pomogła z odczytem zapisu wideo z parkingu i oczyściła znajomego z zarzutów. Przynajmniej na razie.

Jego samego nikt nie wprowadził w szczegóły jego wyswobodzenia. Zadowolony z siebie ignorant z tępowym uśmiechem przywitał się z dziewczyną, kiedy wypuszczano go z wygodnej celi. Począł zrazu cwaniakować i zgrywać takiego, co to z każdego opałów wychodzi cało. Jego beztroska irytowała koleżankę, ale ta nie miała siły komentować idiotyzmu tego człowieka, kręciła tylko głową, plując sobie w duchu w brodę. Niech sobie żyje we własnym, niesłusznym i błędnym zadufaniu, kiedyś się na tym przejedzie. I niech cieszy się wolnością... póki może. I tak on robił, wyluzowany i skory do wygłupów, aż dziewczyna zaczęła żałować, że pomogła go wypuścić. W końcu nakazała mu się zamknąć i do domu dotarli już we względnej ciszy. Na miejscu ten zaczął prędko narzekać na słabe samopoczucie, ale powodu takowego wskazać nie potrafił.

Generalnie był z niego śmieszek i żartowniś, ale jakby cały humor go opuścił, a nad nim zebrała się chmura nastrojowej niepogody. I gorączka go taka wzięła, że dygotał cały i pobladł jak śmierć, że zdawałoby się, że najśluszniejszą teraz praktyką nad nim modlitwa mogła się okazać. Zaniemógł tak bardzo, że upadł bez siły na stół w ich wspólnym pokoju, kiedy dziewczyna poszła zrobić im herbaty. Przeklinając teraz głośno swój los, dysząc ciężko i rozglądając się wokół półprzytomnie, stoczył się z blatu na podłogę. Nie był pewien, co się w ogóle działo, jakby co najmniej się naćpał. Przytulił się do zimnych desek, na które osiadł swoim cielskiem, piana toczyła się z jego pyzatego, brodatego pyska. W efekcie narobił tym wszystkim trochę hałasu, ściągając uwagę pozostałych lokatorów mieszkania. Zebrali się nad nim w pokoju, czuł to, ale nie widział ich ani nie słyszał, pozostawał ślepy na bodźce, które mu gdzieś tam z góry wysyłali. Jakby zupełnie nie przejmował się tym, że oni się przejmowali, jakby nawet nie przejmował się własnym zdrowiem, własnym losem. Wszystko nie dlatego, że nie pozwalała mu na to przyciemniona nagłym zasłabnięciem świadomość. Chodziło raczej o to, na czym to jego kulawe teraz id skupiło swoje postrzępione zmysły, a było to coś zaskakującego, tajemniczego... Wydawało mu się to niebywale głupie, ale mężczyzna był przekonany, że słyszał przemawiającą do niego... podłogę. Mowa nie była wyraźna, ale wyraźnie skierowana do niego, jakby jakaś diabelska siła czy nieczysta opatrność przez swoje pokrętne sztuczki wbijała mu się w umysł od... od podłoża, od podstaw.

Do głowy nie przychodziło mu żadne inne uzasadnienie, jak doszukiwać się w tym wszystkim mocy sprawczej jakiegoś szatańskiego mroku... Ci głupcy wrzeszczący do jego uziemionej sylwetki na pewno teraz tego nie słyszeli, a on przez nich nie mógł się dobrze wsłuchać. Podłoga krzyczała babskim głosem, ten głos był wstrętny, awanturniczny,

bezczelny. Przez ten głos leżący na podłodze Narkoman poczuł się winny, jakby to mówiła fortuna do niego, drapiąc swoim wiedźmim głosem wrzody jego kalectwa. Ten skrzek przerażał i dotykał tym bardziej, że brzmiał, jakby był wypowiedany zapomnianą łaciną. Obrażliwy, paskudny ton lepił się do uszu niepozornego poety, żeby zagłuszyć wszystko inne wokół. Myślał o rzeczach wstrętnych, o dziwkach i brudzie, o chamstwie i przemocy, gwałtach i wynaturzeniu. Ten głos zbrzydził mu wszystko tak bardzo, że mężczyzna zaczął rzygać, postacie wokół zaczęły zaś nadskakiwać wokół niego, jakby był ich alfonsem czy najciemniejszym panem, tak to zapamiętał. Ostatecznie została przy nim tylko nowa lokatorka, sprzątała po nim i martwiła się o niego, a on wracał do przytomnych pokrętnymi ścieżkami, odprowadzając ją zezującym spojrzeniem i powtarzając w głowie, że to jest jego „cichodajka”. Jej obecność była darem, który on chciał wykorzystać, jakkolwiek to brzmie. Pozbawiony jednak z natury tej odwagi potrzebnej do uwodzenia i nie będąc zresztą nawet w stanie zgrywać kogokolwiek, postanowił porozmawiać o czymkolwiek, kiedy zaczął dochodzić do siebie. Pił wtedy herbatę, która zdążyła już wystygnąć, przy czym siorbał głośno jak nieostrożny zwierz przy wodopoju. Błady jak duch, ułożony pod kocem na kanapie, gapił się na nią błyszczącymi, łzawymi jeszcze po wymiotowaniu oczyma. Ona leżała na łóżku, którego jej odstąpił, i udawała, że tego nie rejestruje. Widać po niej jednak było, że jego postępowanie zdawało się dla niej coraz bardziej irytujące. Żeby przerwać narastającą między nimi pełną napięcia ciszę, uznał za stosowne wzbogacić wiedzę dziewczyny o swoje doświadczenia z podłogą. Miał przy tym gdzieś w pamięci jej reakcję na wieści o niepospolitej, ale jakże wulgarnej śmierci Blondyna. Zdążył się przekonać, że to, co łączyło ją z bratem, to specyficzny pociąg do tego, co mroczne, krwawe, i potencjalnie straszne.

Zapytał ją więc cicho, czy słyszała, boleścią jakąś na obliczu zdjęty, i tyle. Ona jakby od niechcienia, jakby z litości i miłosierdzia, wzdychając przy tym ciężko, odpowiedziała pytaniem na pytanie. I zapytała tylko, „co niby miała słyszeć”, ale to mu wystarczyło, był kontent i już zabierał się do wyjaśnień. Nie posiadał się z uniesienia i gdyby mógł, zalałby dziewczynę masą szczegółów na temat tego diabolicznego, babskiego piana, ale osłabienie skutecznie go spowalniało. Szepnął więc jedynie:

– Jej głosu, tych... herezji!

Zachodziła pewna komplementarność ze słowami i rozbudzoną dynamiką chłopaka, który wskazywał na podłogę.

– Jakiej JEJ? – Dziewczyna zmarszczyła brwi, jakby nawet tym gestem umniejszając randze jego słów. – Podłogi, którą zarzygałeś jak świnia? – przypomniała mu, wpatrując się z obrzydzeniem w miejsce, które jej wskazywał.

Przygasila tym samym jego pragnienia uzewnętrzniania się, a także zbliżenia do jej osoby. Jeszcze przed chwilą mężczyzna chciał wkupić się w jej łaski, odwdzięczyć może nawet za pomoc na swój pokrętny sposób. Wyobrażał sobie, że został przez nią objęty troską, na którą nie do końca zasłużył i czuł potrzebę odpłacenia się, ale także przyciągnięcia jej bliżej... Jej jednak podejście wskazywało na swoistą stronniczość wobec jego osoby – dziewczyna traktowała go jakby z góry, nie chcąc podchodzić bliżej, niż to było konieczne. Może i słusznie czyniła, albowiem o lokatorze wiedziała głównie tyle, że lubił co najmniej wypić, w dodatku z towarzystwem, jakiego ona wolałaby omijać szerokim łukiem. To, co jemu wydawało się naturalne, dla niej było wynaturzeniem, i odwrotnie. Delikatny umysł tego osobnika musiał wysilać się, żeby zrozumieć upodobania tej panny odnośnie do ludzkiego ciała i jego słabości, a i tak się w tym gubił. Tam, gdzie ona widziała głębię lubego mroku, jemu jawiła się

upstrzona kolczastymi krzakami pustynia, gdzie nieprzyjemnie jest trafić z nazbyt wrażliwymi zmysłami, które błędząc tam, krwawiłyby cudzym bólem i niepotrzebną dawką przemocy. Wyznając mu co nieco na ten temat, dziewczyna jakby dawała mu znać, że aby zasłużyć sobie na jej szacunek, trzeba odważyć się i wpuścić w siebie trochę tego zła, jakim przesiąknięty był cały ten świat. Jakby fakt, że ktoś brzydził się zepsuciem, krwią czy brutalnością był wadą, a unikać konfrontacji z hardym realizmem śmiertelnego świata – słabością.

Stąd świadectwo o głosach z podłogi (czy spod podłogi) zdało mu się czymś godnym jej uwagi, czymś, co mogło jej w jakiś sposób zaimponować. Jej reakcja jednak, przepełniona dumą i pogardą, wprawiła go w zły nastrój – Niepozorny Narkoman–poeta był gotów pokłócić się z dziewczuchą, sam nawet zmarszczył złowrogo krzaczaste brwi. Chciał obnażyć się przed nią z paranormalnych doznań, a ta z miejsca podcinała mu skrzydła, nie wiedząc, dokąd chciał ulecieć ze swoją mową. Nie poddał się jednak i powtórzył jej, że słyszał głosy, w dodatku jakiejś istoty, jakiegoś demonicznego stworzenia, które przywodziło na myśl rogatą, kopytną, pokrytą sierścią i grubą skórą istotę płci żeńskiej.

– Majaczysz... – oznajmiła znudzona, słysząc podkoloryzowaną już jego wyobraźnię historyjkę. Gapiła się w niego przy tym węglami swoich oczu tak, jakby ten postradał rozum. On zarzekał się, że mówił prawdę, ale nie mógł dostarczyć na to żadnych dowodów. Czuł się przez to coraz gorzej, znowu...

Oto miał do czynienia z panną, która wierzyła w horoskopy, czary i astrologię, ale nie chciała zaufać jemu, gardząc jego powagą, na którą tak rzadko się zbierał. Bolało to jego ego, a on sam raz jeszcze powtórzył jej, że to wszystko prawda i zapewnił ją, że wokół dzieje się o wiele więcej przerażających rzeczy, niż ta mogłaby sobie wyobrazić. Jakby na

potwierdzenie jego słów ktoś na zewnątrz zawył dziko niczym raniony zwierz. Zszokowani lokatorzy wymienili wówczas między sobą zaniepokojone spojrzenia.

– Boję się – rzuciła krótko dziewczyna, a mężczyzna zebrał się na to minimum odwagi, żeby zapytać głośno i niby na luzie:

– Ciekawe, kto jest tak dowcipny?

Nim którekolwiek zdążyło zastanowić się nad odpowiedzią, spektakl grozy został wzbogacony o walenie w drzwi od ich mieszkania. Pozory brawury opuściły chłopaka, który powstał z przerażeniem wymalowanym na obliczu i, drżąc cały, ruszył ku wyjściu, żeby stawić czoła temu, kto winien był tym wszystkim ekscesom. Kiedy dotarł do wyjściowych drzwi, chwycił ręką za klamkę, ale nim je otworzył, wyjrzał na zewnątrz przez judasza. Niepewność w jego sercu tylko jednak wzrosła, na zewnątrz bowiem nie dostrzegł nikogo.

Otworzył zaraz drzwi, żeby sprawdzić, czy nie był w błędzie. Ganek rozświetlała stara lampa, a dalej rozciągał się szary, wieczorny półmrok. Chwilę trwało, nim jego słaby wzrok przyzwyczaił się do tych ciemności. Kiedy to nastąpiło, mężczyzna wypatrzył gdzieś oddalającą się pospiesznie postać. Jej sylwetka wznosiła się i upadała, wyginając się przy tym w nienaturalnych pozach i wymachując rękami w groteskowych gestach. Niepozorny poeta domyślał się, kim była ta zjawa i uznał, że lepiej zostawić ją w spokoju. Postąpił jednak parę kroków dalej, schodami, które prowadziły do wejścia, kiedy usłyszał za plecami:

– Co ty robisz, ślepy jesteś?

Był to głos jego pokojowej koleżanki, która wskazywała na stopnie, po których stapał. Wzdrygnął się, trochę zaskoczony tym, co ujrzał. Okazało się, że deptał po szkłe i krwi, których tu wcześniej nie było. Przeszły go ciarki i zaczął poważnie zastanawiać się, co tam się zaczynało wyprawiać.

Jego życie nigdy nie było normalne, ale teraz Niepozorny czuł, jakby wokół jego małego świata oplatał się łańcuch niewidzialnego terroru. Obca mu ziemia, na której parę lat temu osiadł, wydała mu się jeszcze bardziej bezduszna i zimna, a wszystko wokół wrogie i dzikie w swojej prymitywności i surowości. Wszystko coraz bardziej się gmatwało i zaczęło do niego dochodzić, że wokół działy się rzeczy, które potrzebowały rozwiązania...

Trudno jednak było o jakiegokolwiek wyjaśnienia, o przyczyny, o cokolwiek. Nie sposób było w ogóle stwierdzić, co było prawdą, a zmęczone nadużywaniem zmysły same gubiły się we własnych wspomnieniach. Dziewczyna zapytała go, kim był ten zbieg, a mężczyzna w odpowiedzi pochylił się nad krwią, którą tamten po sobie najwyraźniej zostawił. Gdzieś w lśniącej jeszcze, bordowej cieczy i pomiędzy odłamkami szkła dostrzegł on jeszcze jedną rzecz... był to ząb. Niepozorny chciał sięgnąć go przez chusteczkę, którą dobył z kieszeni, ale wówczas przeszły go ciarki i poczuł obok czyjąś obecność, czyjś wzrok skupiony na jego osobie. To osobliwe uczucie nie napływało doń ze strony jego lokatorki, która stała nad nim zła, że ten jak dotąd nic jej nie odpowiedział. Ktoś przyglądał mu się przez okno w piwnicy. Kątem oka dostrzegł tam zapalone światło i nieruchomą sylwetkę obcej kobiety, która trzymała coś w jednej ręce, a drugą na niego wskazywała. Mężczyzna podjął natychmiastowe działanie, bezzwłocznie powstał i ruszył z powrotem do środka, wpychając tam też zdezorientowaną dziewczynę i ryglując w pośpiechu drzwi...

OBECNOŚĆ ZŁA

Czasem niepokój wystarczy, żeby zatruć raz i na zawsze...

Kiedy zło puka do naszych drzwi, wówczas nierzadko trudniej nam ubrać je w słowa, skonstruować adekwatny komentarz, który pomógłby opisać nam tę grozę i tym samym na przykład umniejszyć ją. Widzialne czy nie, oczywiste czy niepewne, takie zjawiska odgradzają nas od reszty świata, strącając w czeluści własnych trosk, niepokojów, paranoi i lęków. Wypaczenia oglądane z boku łatwo podciągnąć pod groteskę i zbagatelizować, zamknąć w prostych żartach i uważać za coś odrealnionego. Ale niech raz nawiedzi kogo zło, niech dotknie jego czoła i duszy, niech oznaczy go stratą i bólem – wówczas nie sposób zapomnieć o wszystkich trudnościach, przez które trzeba było przebrnąć. Chyba że porażony nazbyt mocno rozum zacznie z jakichś powodów wypierać z pamięci to, co ktoś lub coś wyrzyło w niej dłutem okrucieństwa...

Żeby wracać do tego w najmniej oczekiwanych momentach, kiedy emocje miotają ciałem jak szatan – na przykład w histerii czy gniewie. Wtedy nie trzeba w nic wierzyć, a i tak ciarki przechodzą na myśl, która narzuca się sama – opętanie... I rozum trzęsie się coraz bardziej, nie mając dokąd przed sobą uciec. Aż chce złapać się za duszę, która się dusi diabolicznymi świadectwami. Albo na raz, dwa, trzy odwrócić oczy, które jak na złość lepią się do zjawiskowych koszmarów. W łapczywych, ale beznadziejnych próbach odzyskania pokoju, który właśnie wydzierano

z serca być może już raz i na zawsze. Bo choćby wszystkiego się wyparło, choćby pamiętało się mniej – niepokój zatruwa – raz i na zawsze...

Coś zjada bezdomnych.

Totalnie bawiło ją to zdanie. Podczas wielu rozmów z mniej wtajemniczonymi mieszkańcami tego tęczowego miasta przekonała się, że ci zwyczajnie nie wierzą w bezdomność.

Bezdomni? Ale w Reykjavíku? Przecież to jest Raj!

Raj. *Paradís* po islandzku. Zresztą jak ona – *Paradís Friðriksdóttir*. Starzy ją tak nazwali, bo naprawdę wierzyli, że ta wyspa to wszystko, czego im trzeba, podobnie jak ona – ich jedyna córka.

I rzeczywiście, można tu było znaleźć wszystko, co potrzebne. Nawet będąc bezdomnym. I tak, tacy na Islandii istnieją, egzystują, cokolwiek.

Tam, gdzieś po nocnych ulicach Reykjavíku, błądził teraz ten dziwny ktoś, chwając się między autami i dającymi mdłe światło latarniami. Ten nowy lokator, kolega jej chłopaka, nazywał go wcześniej „filozofem”. Nawiedzał ich tu kilka razy, a teraz odjechał to, no po prostu bosko! *Paradís* od początku miała wątpliwości co do tego chłopaka, który miał pojawić się sam, a zwał się pod ich dach z jakąś niemniej podejrzaną dziewczyną. Sam wydawał się zidiociały i chłopięcy, a ona małomówna i mroczna. Jakby byli parą zwiastującą nieszczęście.

Ona wiedziała, że tak będzie. Od kilku dni było coraz gorzej. Teraz ten lokator wyznał jej chłopakowi, że to dziwadło, które nazywał dotąd „filozofem”, który był rzekomo jego inteligentnym koleżką do wzniosłych rozmów, okazał się niepoczytalnym, nieobliczalnym bezdomnym! Jego

bojowa postawa napędziła wszystkim strachu, nawet stary sąsiad z góry wyszedł sprawdzić, co się działo. Paradís akurat klęczała przed swoim chłopakiem, kiedy oboje usłyszeli dzikie wrzaski i łomot do drzwi.

Dziewczyna była wściekła i namawiała nawet swojego partnera do jakiejś walki z nowo zamieszkałymi. Miała dosyć całej serii pojebanych zdarzeń, które nastąpiły po wprowadzeniu się tej dwójki do ich mieszkania. Jakby diabeł wstąpił w ich progi wraz z nimi. Na początku nie chciała wiązać tego z tymi nikczemnikami, ale teraz nie uwierzyłaby, że jest inaczej. Nim do ich drzwi przybył ten pojebany włóczęga – ICH znajomy – narobić zamieszania, to przecież jeden z NICH – ten idiota w okularach – dostał jakiegoś pojebanego ataku, rzucał się po podłodze i rzygał. A to i tak nie było wszystko jak na jej oko, takim ludziom nie można było ufać. Dlaczego w ogóle wpuścili ich do własnego domu?!

Ich obecność, jej zdaniem, wiązała się z innymi tajemniczymi wydarzeniami, których ostatnio tu doświadczyła. Jeszcze niedawno Paradís lubowała się w Wężu i tym, co szatańskie, a teraz zaczynała się bać tego, bo świat wokół niej zaczął robić się dużo bardziej mroczny, niżby tego pragnęła... Intrygujące obrazy przewijały jej się, kiedy chadzała tymi samymi ścieżkami, sceny, których nie widziała nigdy wcześniej. Podejrzane typy kręciły się, jakby chciały podstępem zbliżyć się do niej i zrobić jej krzywdę, niechlujnie ubrane dziewczynki mijały ją bez słowa, odprowadzając mrozącymi krew w żyłach spojrzeniami tak długo, dopóki nie zniknęła z ich pola widzenia.

I znowu ta jędza z piwnicy zaczęła ich nękać. Dawała im już nieraz koncerty rżęchane swoim zdartym jak wyjeżdżony asfalt wokalem. Prawie łysa, z lalką o włosach czarnej, tłustej ropy naftowej. Nieraz stała w oknie za dnia, z zewnątrz przypominało to karykaturalną ikonę; piwniczny parapet, obsypywany nie tylko wulkanicznym kurzem, był jej ponurym,

nieczystym ołtarzem. Jakby przewidziana przez Eliasza w Apokalipsie, naprawdę. O łatwopalnym charakterze, który uruchamiał się w dwóch kręgach jej bytności: na zewnątrz, kiedy opuszczała swoje lokum, sama, bez... niej, bez lalki, i od czasu do czasu po nocach. Ale płomienie jej nocnego szału nigdy nie płonęły tak mocno, zawsze kończyło się na modlitewnych albo obłąkańczych litaniach, a tym razem kobieta jakby coś... biła. Tak, Paradís też słyszała tę Sodomę, którą urządziła im ostatnio szurnięta sąsiadka, razem z nim, z chłopakiem. Dziwaczka z podziemi wyklinała z siebie całe jeziora intensywnych formuł, jakby w transie, jakby płakała, jakby się cieszyła, jakby nie rozumiała, jakby mówiła do siebie. Sama jednak to zagłuszała, tak się zdawało, potężnymi uderzeniami w... coś. Potężne grzmoty waliły przez piętra niespodzianie jak manna z nieba, spadały do nich z dołu, drżąc całym domem w posadach – tak się zdawało. Po każdym takim... ciosie obfite rzeki litanii zupełnie ustawały, ale nie na długo. Wracała do „siebie” szeptem, niskim, ochrypłym, jakby diabeł jej siadł na gardle. Potem jednak, im głośniej i żywiej szedł jej monolog, wracała do swojego babskiego skrzeku. Jeśli się dobrze nie wsłuchało, można było nawet pomyśleć, że jakimś cudem tam, na dole, był... był ktoś jeszcze. Najgorzej było się na tym złapać, mroziło kończyny i mózg.

Nigdy nie widzieli, żeby ktoś ją odwiedzał. Nie była rdzenna i chyba kontaktowała się tylko z rodziną za słoną wodą.

Tamtej nocy jakby diabeł w nią wstąpił, żeby wygrywała im piekielne peany, tłukąc w... nie sposób było właśnie powiedzieć w co... Cały pion budynku drżał. Raz dźwięki były przytłumione, innym razem jakby ktoś walił w jakieś pręty – zawsze jednak fascynująco potężne. Królowa piwnicy uspokoiła się wraz z nastaniem świtu, niby potwora zamknięta w kłatwie starej baśni. Starali się z chłopakiem o tym nie myśleć, teraz to wróciło. Teraz, kiedy ten włóczęga narobił gnoju pod ich drzwiami, teraz, kiedy ten

nowy lokator wcisnął się do środka razem z tą dziewczyną, patrząc po Paradís i jej chłopaku, którzy wyszli im teraz z pokoju naprzeciw, zastraszone oczyma, pozbawionymi rozumu, i słowem nie wspomniał o tym prostaku, który nabrudził, a o jędzy z dołu... Następnie grymas niedowierzania zszedł mu z twarzy, ale mężczyzna nadal pozostawał w szoku. Niewyraźnie zadeklarował:

– Jeśli to przeze mnie, to przepraszam... – Ruszył do pokoju. Zatrzymał się jednak przed jego progiem, oparł o futrynę drzwi i zapytał ich wszystkich, jakby nigdy nic, zupełnie beztroskim, chłopięcym głosem: – Wiecie, że chyba coś zjada bezdomnych?

WIĘCEJ NIŻ ATEIZM

Dokąd ucieka się przed szatanem?

Paradís nigdy nie słyszała bardziej absurdalnego zdania, w dodatku wypowiedzianego w takich okolicznościach, przez jakiegoś kretyna. Naprawdę bawiła ją ta sentencja i dziewczyna wybuchła zaraz śmiechem, ale takim, który przesączony był jakąś rozpaczą, czymś ponurym, mrocznym. Paradís nigdy też nie miała do czynienia z takim marginesem społecznym, z takimi dziwolągami, z tak trudnymi do wyjaśnienia wydarzeniami, słysząc więc teraz różne historie, który ten brodaty chłopak zaczął im naprędce przybliżać, młoda Islandka nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć.

W jej oczach włóczęga, który niedawno zakłócił ich spokój, nie różnił się specjalnie od zwierząt, teraz zaś słyszała o tym, że jeden z nich został po prostu przez kogoś zagryziony na śmierć w jakiś niehumaniczny, bestialski sposób, przez co w głowie zapaliła się jej lampka: czyli są jeszcze gorsi od tego menela?! Prawdopodobnie tak, ale ten też się nie popisał. Bez żadnego wyraźnego powodu darł się pod ich drzwiami, walił w nie, potłukł tam jakieś szkło i uciekł, zataczając się i wyklinając, jakby kierowały nim jakieś szaleńcze zasady, jakby opętały go nieczyste macki zwyrodnienia. Czasem z boku życie takich padalców wyglądało na pasożytniczy epikureizm, tylko poprzetykany biedą i brudem. Teraz Paradís uderzyło, jak wiele bólu i trudności niesie ze sobą brzemię nałogu i samotności w świecie nędzy i bezdomności. Jeśli Bóg istniał (w co Islandka co najmniej wątpiła), dla

takich jak on nie miał żadnej litości. Zaciekawilo ją nawet, w co właściwie wierzyć mógł ktoś obdarty z normalności – był ateistą ze skłonnościami do satanizmu, tak jak ona? Czy jego podrzędny tryb życia uniemożliwiał mu zupełnie myślenie podobnymi, duchowymi kategoriami? Na pewno nie odbierał on rzeczywistości ze stoickim spokojem – jego wybuchowa niepoczytalność świadczyła o tym aż nazbyt wyraźnie. Jakiekolwiek priorytety miał w głowie ten włóczęga, wydawał się pozbawiony wolnej woli, która pozwalała mu je realizować, chyba że jego wolą było niszczyć.

Paradís nie miała pojęcia, skąd ten niepozorny narkoman do nich przybył, w jakim stanie był wówczas jego duch i dlaczego. Sama mocno potępiała podobne zachowanie i uważała, jak chyba wszyscy porządni Islandczycy, że takiemu komuś należało udzielić pomocy – wysłać na odwyk, zamknąć, cokolwiek robi się z takimi chorymi odnogami ludzkich społeczności. Wspomniała o tym nowemu lokatorowi, a ten przytaknął jej, zwracając jednak uwagę na fakt, że trudno zbawić tego, kto być może wcale nie chce być zbawiony i tak innych, jak siebie z chorą chęcią potępiał. Ciemny blondyn chciał pomóc drugiemu Niepozornemu Narkomanowi, nawet proponował mu jakieś zmiany. Tamten jednak odrzucał jego propozycje, co proponującego jakoś bardzo nie dziwiło. Stanął on nawet w jego obronie, utrzymując, że jak dotąd jego kolega był w dobrym stanie, tylko teraz się... zepsuł. Paradís nie wierzyła w żadne „tylko teraz”, nie po tym wszystkim, co ostatnio przeżyła, ani tym bardziej po historiach, które przybliżył im ten sam chłopak.

Piekło było przeciwieństwem rajy i tym, czego doświadczał ostatnio Niepozorny Narkoman bez ustanku. Czuł się oszukany przez cały świat, nawet przez siebie samego. Czuł się oddzielony od wszystkich, porzucony jak śmieć i wystawiony jak na widelcu pod sam nos najwstrętniejszych bestii tego padoku. Nie czuł przynależności do nikogo, gardził wszystkimi.

Żydzi, muzułmanie czy chrześcijanie – znał ich wszystkich, wszyscy byli głównie warci, nawet ateści. Myśląc jednak o nich, Niepozorny Narkoman zastanawiał się, co by oni powiedzieli na wszystko to, czego on ostatnio doświadczał.

Komu miał to wszystko wyznać? Kto uwierzy w historie o duchach i potworach w dwudziestym pierwszym wieku? W jego własnej głowie jego przeżycia wydawały się jednocześnie niesamowite i pospolite, możliwe i niemożliwe, piękne i straszne, i sam już nie wiedział, jakie jeszcze... Nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć, co sądzić. W ogóle coraz trudniej było mu nie tylko skupić się na czymkolwiek, ale w ogóle iść dalej przed siebie tym chwiejnym, szaleńczym krokiem. Niepozorny Narkoman pamiętał, jak kiedyś pragnął przywołać szatana. Teraz czuł się tak, jakby nie miał przed nim dokąd uciec.

UCIECZKA PRZED ZĘBAMI

Nie trzeba być boskim, żeby być zdolnym do wszystkiego.

Niepozorny Narkoman nurzał się dotąd w koszmarnych marzeniach, gdzie makabra owijała losy jego i innych tak, jak to działo się w horrorach. Teraz, kiedy wyglądało na to, że cały jego świat tonął pod krwistą taflą mroku, trudno było mu to po prostu przyznać – jakby nie dowierzał... Był do cna wystraszony tym wszystkim, a tego przyznać nie chciał jeszcze bardziej. Jego myśli unosiły się i opadały w takt jego pokrzywionego tętna. Śmiać mu się raz chciało, a raz płakać, kiedy do głowy przychodziło mu to okrutnie proste, niedorzeczne zdanie: „Coś zjada bezdomnych”.

Potrzebny był mu chyba doktor, ale nie taki, który uleczyłby jego poharataną fizys – wychudzoną sylwetkę, wypadające zęby i nękane kurczami ciało. Potrzebował znachora, który zajrzałby mu w duszę i uspokoił go, albo... albo narkotyków. Musiał czymś nakarmić drżącego ze strachu, głodu i niepewności ducha, ten słaby, a podobno nieśmiertelny płomień, który gdzieś w nim się jeszcze tlił, jak na złość wszystkim przeciwnościom losu. Musiał zagłuszyć wszystkie wątpliwości, które szarpały go jak noże antycznych chirurgów, którymi ci płątali małpie zwłoki, żeby wdrzeć się w roztwartą cielesność, jak tylko głęboko im się udawało.

Przez ostatnią dobę czuł się zupełnie nieswojo, bardziej niż zwykle, więc żeby poczuć się bardziej swojsko, postanowił odwiedzić swoją siostrę i drugiego Niepozornego Narkomana. Szedł do nich jak upiór, którego

chciał pożreć inny upiór, a chciał tylko... chciał tylko poczuć się jak człowiek... A nie jak pogrążony od lat w żwirze trup, którego ktoś kuksańcami łopaty wykopał z mogiły – prosto w czerń życia... Chciał znaleźć w rozmowie z nimi antidotum na tę jałową jawę i skonsultować z nimi to, co działo się w jego głowie, jak i chyba poza nią... Teraz zastanawiał się, czy może tego lepiej nie spisać, ale nie miał nawet kartki czy długopisu; nie był zresztą w stanie. Czuł rozchodzącą się po jego trzewiach truciznę, która zatruwała go i pozbawiała wszelkich sił. Zerknął po sobie i na rany – te, które zadał sobie sam i te, których pochodzenia w ogóle nie był pewien...

Westchnął. Nie miał głowy do tego wszystkiego. Bujał się po całej szerokości ulic jak marynarz na okręcie opętanym przez sztorm, bezlitosna zawieja rzucała nim częstokroć jak marionetką, kiedy pruł to szare miasto w drodze donikąd, jak zawsze. Ale szedł inaczej niż zawsze, czuł się tak, jakby kolejne mgliste świadectwo, którego był marnym bohaterem, naznaczyło go czymś wyjątkowym, czymś niewyobrażalnie strasznym. Mimo to Niepozorny Narkoman utrzymywał przed sobą, że właściwie nic się nie wydarzyło, niewiele zresztą z tego pamiętał. Wszystko wydawało mu się tak odległe, niewyraźne i zagmatwane jak historie zapisane w najstarszej, jego zdaniem, bajce świata – Piśmie Świętym. I zarówno do tej książki, jak i do własnych wspomnień miał wiele, wiele obiekcji. Wracał teraz do nich, do tych ostatnich przeżyć – świadomie myślami i bez pojęcia nogami – które prowadziły go w to samo miejsce, do tej samej, ale jakby innej, równoległej rzeczywistości, którą zostawił za sobą pełen przerażenia.

Czuł się jak postać z okropnej bajki, której żywot nie ciągnął się nudną, śmiertelniczą taśmą, a łączył w brudną całość dzięki posklejanim przypadkowo kadrom, które dawały mu jakiegokolwiek pojęcie o tym, kim był i co się z nim działo. Ale nie czuł się gargantuicznym herosem,

a epizodycznym pyłem w tym kołowrocie niecodzienności, jakby wkrótce miał zniknąć, przepaść jak kamień rzucony w... przepaść. Tak czy siak, był żywą – albo chociaż półżywą – częścią legendy, która rodziła się gdzieś po opustoszałych zakamarkach tego niegościnnego miejsca. Zamyślony dotarł w końcu do miejsca, z którego uciekł. Rozejrzał się i zaraz opuściły go ostatki sił. Nigdy nie był typem silnego Samsona, a wobec takich dziwów niejeden atleta poczułby się słaby i maluczki. Było ciemno, tak jak wtedy, przez to nie łatwo było mu dostrzec ślady tego, co tu zaszło. Obszedł dokoła okolicę i zatrzymał się przed drzwiami składziku, do którego całkiem niedawno się włamał; te pozostawały otwarte – sprawdził to, chwytając czarnymi od brudu palcami za lepka, pokrwawioną klamkę.

Poczuwszy, jak jego dłoń klei się do zastygłej jakiś czas temu cieczy, mężczyzna cofnął rękę i rozejrzał się podejrzliwie wokół, jakby tylko czekał, aż nastąpi coś... niemożliwego. Starał się być najciszej, jak potrafił, bał się wydawać jakiegokolwiek dźwięki czy głosy, jakby nie chciał ściągać tu tego... tego czegoś. Dodatkowe obawy wzbudził w nim fakt, że miejsce zdawało się pozostawione bez zmian, odkąd je opuścił. Budynek był przecież w użytku, powinien więc być do tej pory sprzątnięty. Tę nieprawidłowość tłumaczył sobie Niepozorny Narkoman tym, że zapewne był weekend i nie było komu odkryć, co tutaj zaszło. Tak naprawdę sam nie był pewien dnia tygodnia, ale tylko takie tłumaczenie usuwało chociaż niektóre z niepokojących sprzeczności, które gdzieś go bodły. Inne antynomie go przerastały, a najgorsza była w tym wszystkim pamięć, która zawodziła i odmawiała mu współpracy.

Włóczęga spróbował wyobrazić sobie chwilę, którą zapamiętał najlepiej: szarpanie za klamkę. Wiedział, że ta istota, która próbowała się wtedy wedrzeć do składziku, była rozumna. Słyszał jej chrapliwe rżenie, kiedy prawie jej się to udało. Pamiętał wielkie, fantastyczne ślepię, które

zajrzało przez szparę od drzwi, kiedy wychudzona łapa wsunęła się do środka, żeby go sięgnąć. Pamiętał, że słyszał też inne rżenie – umierającego w żwirze przy śmieciach trepa, któremu nie udzielił pomocy. Słyszał, jak tamten się krztusił i jakby ryczał do niego, że... że to była „ona”...

Coś za jego plecami zatrzepotało – były to gołębie, które zleciały się, żeby wygrzebać coś ze śmierdzącej sterty odpadów. To wystarczyło, żeby Niepozorny Narkoman podskoczył ze strachu, obracając się w tamtą stronę. Po co tu w ogóle wracał?! Z bijącym trwożnie sercem odnalazł wzrokiem to, czym żywiło się głupie ptactwo. Do głowy, nie wiedzieć czemu, przyszedł mu wtedy biblijny Łazarz, którego Jezus zmartwychwstał, nim jeszcze sam siebie zmartwychwstał. Ciekawe, czy z tym tutaj też poszłoby mu tak łatwo. Albo z tym, co z niego zostało – Niepozorny Narkoman przyglądał się ludzkiej nodze, odartej z duszy zapewne tak samo, jak i z reszty ciała. Nie czuł się najlepiej, kiedy gołębie wtykały swoje dzioby w poszarpane mięśnie i błyszczącą metalicznie kałużę juchy. Jednocześnie czuł, że jeśli ktoś go tu teraz nakryje, całą sprawę mogą powiązać z nim, a tego nie chciał. Nie chciał być przetrzymywany na komendzie w związku z tym czymś, w ogóle nie chciał. Z ogromną jednak satysfakcją, pomimo narastającego obrzydzenia, gapił się na pożeraną przez ptaki kończynę dalej, ciesząc się chyba, że już tyle razy otarł się o śmierć i sam wciąż pozostawał w jednym, chociaż ledwo trzymającym się kupałku. Wiedział też, kim był on – ten właściciel nogi i... nie przepadał za nim, miał z nim na pieńku. Na pewno nie był godzien przywrócenia życia jak ten Łazarz – kojarzył go jako starego pijaka, który robił mu nieraz problemy, kiedy Niepozorny Narkoman kręcił się po okolicy. Stary dziadyga częstokroć zarzucał mu narkomanię i złodziejstwo, w dodatku na śniadaniach, przy ludziach, przy rodakach.

Miał chyba na imię Adam, ale Niepozorny nie dałby uciąć sobie nogi. Za te wszystkie sprzeczki, które z nim toczył, należała mu się kara. Do uczty wokół oberwanego kikuta przyłączyły się mewy. Mężczyzna przegonił je raz, żeby przyjrzeć się bliżej odziobanej nodze. Stwierdził, że miał do czynienia z prawą. Na dłuższe oględziny nie miał czasu, w ptaszyskach obudziła się krwiożercza natura i te znowu zebrały się gromadą nad ogryzioną, ludzką racicą, skubiąc na zmianę ją i siebie nawzajem, zazdrosne o dostęp do co znamienitszych kąsków. Uśmiechnął się boleśnie i splunął w pierzaste towarzystwo. Zaczynały boleć go żebra, cały był posiniaczony, tak się czuł. Teraz zdawało mu się, że on jest Łazarzem, ale wskrzeszonym na odpiardol.

Czy on stracił wtedy przytomność? Nosił na sobie ślady walki, ślady krwi, wypadły mu kolejne zęby. I z rozumu wypadły mu też kolejne szczegóły tego zajścia. Widział na swoich rękach dziury jak po ugryzieniach i myślał o dziewczynie z parkingu, która rzuca się na niego i zatapia swoje kły w jego ziemistej, chorej skórze, gdzie tylko może. Żeby „zatrzeć” niepokojące, widoczne ślady po ukąszeniach, Niepozorny Narkoman walił pięściami w ścianę, chciał skomponować nowy zestaw ran. Jedne skaleczenia miały zamaskować drugie.

Bezdomny powtarzał podobne zabiegi kilkakrotnie, różnymi metodami i narzędziami. Kruszył kostki, wałąc się po łapach kamieniami, rzucał się z rozbiegu w ściany, tworzył kolejne guzy i cięcia, po sklepach rozbijał szyby, ale ostatecznie i tak nie był zadowolony z efektów i wrzeszczał tylko z niemocy i bólu, który sam sobie zadawał. Dotarłszy pod dom, gdzie wprowadziła się jego siostra, przyjrzał się sobie znowu i stwierdził, że wszystko to było na nic, i musi dokładniej zakamuflować ślady po tajemniczych zębach. Oznaczył się więc, kąsając się sam, a potem tłukąc jakąś butelkę na ganku przed nowym mieszkaniem jego siostry. Powstałym

szkłem czynił sobie kolejne znaki na ciele, krwiste i bolesne. Walił przy tym łbem w drzwi od domostwa – cztery razy. Ledwo „przyozdobił” się w taką szkarłatną oprawę, zobaczył coś dziwnego. Pod ziemią, w piwnicznym oknie, gapiła się na niego ponura Czarownica, stojąc nieruchomo i trzymając w dłoniach bezwładne dziecko. Potem pamiętał, że pluł krwią, przeklinał i biegł, żeby znaleźć się w innej części miasta – z której także dopiero co uciekał...

Było mnóstwo miejsc, w których mógł się znaleźć, dlaczego przywiało go w to najbardziej niebezpieczne? Chyba już dawno opuściły go zmysły boskości, stracił całą czujność, tak czuł. Pomyślał jednak, że nie trzeba być boskim, żeby być zdolnym do wszystkiego. Spojrzał na ludzkie mięso, zajadane przez ptaki. Czy on też był zdolny... do tego? Odetchnął kilka razy, ciężko. Potem powolnym krokiem, z pustym wzrokiem, zbliżył się do żerujących skrzydlatych potworków. Bolesny grymas uśmiechu nie schodził mu z twarzy, ale w gnijącym od lat sercu czuł powagę. Zaczął przywoływać do głowy całą bibliotekę krwiożerczych kreatur, które mogłyby mu pozazdrościć okazji do niecodziennego rytuału... Więc uklęknął między ptakami i położył z wyczuciem nieczyste palce na podziurawionej, człowieczej giczy. Zazdrosne ptaki szarpały jego skórę, żeby się wynosił...

TAJEMNICA CZAROWNICY Z PIWNICY

Wierz, w co uważasz, ale uważaj, w co wierzysz.

Tajemnicza kobieta z piwnicznego okienka stała w nim jeszcze długo, wyglądając śmiertelnie poważnie i... czujnie.

Nikt tamtego wieczoru nie wezwał policji, żeby zgłosić zakłócanie spokoju w tej martwej okolicy. Może byli tacy, którzy o tym myśleli, ale nikt nawet nie wyściubił nosa zza zasłoniętych rolet i firan, żeby przyjrzeć się zjawiskowemu menelowi, który narobił tam hałasu. Możliwe, że gdyby włączyła kontynuował chore akty wandalizmu, ktoś by zareagował, ale wkrótce osobnik oddalił się i wówczas na ciemnej uliczce, porośniętej kruchymi drzewkami i czerwoną porzeczką, nastąpiła gęsta, mroźna cisza.

W tę nocną ciszę wpatrywała się kobieta z piwnicy, co z boku wydawało się niedorzeczne. I jednocześnie co najmniej niepokojące, kiedy jej oczy zatapiały się gdzieś w przestrzeń przed nią, w porzeczkowe krzaki pod domostwem obok. W tym czasie potop mroku zdążył spłynąć już na ten ciasny, zimny świat i zamienić krótki dzień w długą, surową noc. A Czarownica z piwnicy wciąż czatowała, jakby oczekiwała cudu. Może to był jej rytuał? Może zawsze witała noc, ściskając w objęciach nieżywą lalkę, imitację jej utraconego dziecięcia?

Jednak nie. Nastąpił bowiem moment, kiedy w porzeczkowym chruśniaku zaszeleściło tajemnicze stworzenie. Na świecie jest ogrom gatunków zwierząt, tam ich wybór był raczej skromny. Istota najbardziej przypominała jednak człowieka – to jego niewidoczną sylwetkę pozerła

wzrokiem piwniczna baba. Zaczęła drżeć, zaciskała zęby i była napięta jak struna, nie czuła się bezpieczna. Potarła dłonią łokieć, mocniej tuląc do piersi lalkę, przestąpiła z nogi na nogę i zmarszczyła brwi. Wyężając wszystkie siły, badała żabimi oczyma miejsce, w którym coś się poruszyło. Zimnym potem zdradzała trwogę przed czymś nieprawdopodobnym.

W zaroślach znowu nastąpił ruch, na co kobieta przytuliła mocniej plastikowe dziecię i szeptała coś do uszka słuchającej z szeroko otwartymi oczami dziewczynki, w sekrecie, pewnie ją uspokajając, niemal bezgłośnie. Głośniejsze szepnęła tylko „Bibbia!” tym swoim skrzekiem, wracając drapieżnym, zaszczutym wzrokiem do mroku za oknem. Czasem komukolwiek było trudno zrozumieć tę wiedźmę, ale istota w krzakach natychmiast zareagowała, obracając się gwałtownie w stronę domostwa, w którym mieszkał Niepozorny Narkoman. Ślepią stworzenia odbiły światło i zdradziły, że ta wpatrywała się prosto w okno w piwnicy... Czarownica zawyła wtedy głośniejsze, skrzekliwą, łamiącą jej głos gardzielą: „Pater Noster, Pater Noster!”. Gdzieś na piętrze zapaliło się światło i dało się słyszeć zupełnie inny głos, dziewczęcy, pełen niepokoju:

– Co to jest?!

Tylko to nastąpiło, a obecność w zaroślach wycofała się, zostawiając za sobą krótki, ale wyrazisty szum... Gdyby Niepozorny Narkoman wyglądał wówczas z okna, nie oddzieliłby ciemnej postury od ciemnej drogi, którą ta kroczyła, oddalając się w pośpiechu, wyraźnie spłoszona. Niczym drapieżny tygrys, który odchodzi wściekły, że tym razem nici z łowów. Jak czarna pantera, zwabiona zniewalającym odorem juchy, a przepłoszona czujnością jej własnych, niedoszłych ofiar...

Paradís Friðriksdóttir widziała lepiej niż Niepozorny Narkoman, a to ona zapaliła wtedy światło i wyjrzała przez okno, myśląc, że zobaczyła

jakieś zwierzę. Od razu zmieniła zdanie – zwierzę, jej zdaniem, byłoby potencjalnie mniej szkodliwe.

– To znowu on, popatrz! – Miała pewność, że tym stworzeniem był Niepozorny Narkoman, ten drugi, bezdomny, który dopiero ich nawiedził.

– Chuj z nim. – Wzruszył ramionami jej empatyczny chłopak, nie odrywając się od ekranu komputera.

– Dziwne... uciekł. – Z jakiegoś powodu przeszły ją ciarki, kiedy zobaczyła, jak postać wychodzi pod światło jednej z latarni, żeby błyskawicznie wycofać się i już zupełnie zagaść w nocnej otchłani.

Dziewczyna westchnęła i spojrzała z niechęcią na swojego chłopaka. Postanowiła iść do kibla i tak zrobiła, ale zatrzymała się w przejściu pomiędzy pokojami. Usłyszała głosy w pokoju lokatorów i chciała ich podsłuchać, ale jak tylko postanowiła to zrobić, poczuła pod stopami pukanie w podłogę. Chwilę później nastąpił jęk bestii z piwnicy – rozpaczliwy skowyt starej pani, starej wariatki. Czasem nie sposób było odgadnąć, co się działo tam, w jej głowie. Ta jakby ciągle gubiła się i odnajdywała, rzadko kiedy taką samą. Paradís nie wiedziała, czy ta starucha też widziała to szelmowskie widmo, widmo tego włóczęgi. Znowu nastąpiło uderzenie w podłogę i z piwnicy zaczął dochodzić głuchy płacz. Czy widziały jedno i to samo? Młoda Islandka bała się teraz ruszyć z miejsca, nie postąpiła ani kroku.

Na „ratunek” wyszedł jej sąsiad, Niepozorny Narkoman – lokator. Mężczyzna chyba nie znał żadnych zasad wspólnego mieszkania – wyskoczył ze swojego pokoju niemal na golasa, w samych bokserkach. W umyśle Paradís wzbudzał on same negatywne skojarzenia, skrzywiła się więc na jego widok. Chwiał się i gapił się na nią półprzytomnie, a ona nie rozumiała dlaczego. Pomyślała, że może domyślił się, że chciała go podsłuchać, ale zaraz wydało się to jej mało prawdopodobne. Pod presją

jego wzroku czuła się klaustrofobicznie i przeszło jej przez głowę, że w tym mieszkaniu panowało niewygodne przeludnienie. W dodatku wydawało jej się, że zebrali się tu ludzie spod najciemniejszych gwiazd, najdziwniejsi dziwacy z całego świata. Niepozorny Narkoman gapił się na nią przez cały czas, żeby w końcu zapytać, czy dziewczyna miała zamiar skorzystać z toalety.

Paradís nerwowo zmierzyła nagi, zarośnięty tors mężczyzny, a następnie powędrowała spojrzeniem po jego owłosionej dłoni, którą ten trzymał się „tam”. Stwierdziła, że nie ma co zwlekać. Raz tylko coś rzuciło jej się w oczy, w co trudno było uwierzyć. Był to zaropiały ślad na jego ręce, jakby po ugryzieniu. Czując coraz większe obrzydzenie jego cielesnością, poszła, nie myśląc nad tym, dokąd szła. I zaszła do kuchni, jednakże nie to było jej celem – chciała zejść do toalety, ale Niepozorny Narkoman ją speszył. Poczowała się stłamszona, podczas gdy ten, nadużywając, jej zdaniem, swojej wolności, zajął jej toaletę.

To wszystko dobijało ją podwójnie, zaczęła płakać nad kuchennym blatem. Odpowiedziało jej dużo głośniejsze, rykliwe szlochanie z piwnicy, brzmiące trochę jak płacz dziecka. Wkrótce ten nowy facet w ich mieszkaniu skończył hałaśliwie lać, spuścił wodę i wyszedł z kibla. Chciał wrócić do pokoju, ale przyuważył ją, jak ta drżała, cała we łzach, inna zgoła, niż ją dopiero zastał.

Chciała zginąć i przepaść, kiedy ten podszedł do niej i zaczął wypytywać, czy wszystko w porządku. Chyba nie miał pewności, jak powinien się zachować – przytulić ją czy co, znowu więc złapał się „tam”, stając bliżej niej, aż biło od niego ciepłem. Coraz dziwniej to wyglądało, on coraz dziwniej jej się przyglądał. Wątpliwości wzbudzały w niej coraz większy niepokój, aż w końcu nadarzyła się okazja, żeby wyjść bez słowa, kiedy do kuchni wparowała ta druga lokatorka, trzeszcząc coś do

Niepozornego Narkomana w tym ich języku. Zostawiła to miejsce, wciąż słysząc w głowie szloch, nie miała już jednak pojęcia, czy to ona płakała, czy to może były głosy z piwnicy. Wpadła z powrotem do swojego pokoju i chciała z początku opisać wszystko swojemu chłopakowi, ale kiedy zobaczyła go przyklejonego do komputerowego ekranu, odpuściła sobie. Wszystko, co przed chwilą zdało jej się nieprawdopodobne, uznała za przejaw własnego przewrażliwienia. Chciała obalić wszystkie lęki, które na nią osiadły i obwinić stres albo może narkotyki, które też przecież brała.

Pomyślała o ojcu, który raz odkrył, że paliła, i ostrzegł ją przed paranojami i innymi konsekwencjami nadużywania używek. Teraz chyba zalewała ją powódź negatywnych skutków zażycia, jakby wszystkie jej skryte lęki kumulowały się i czekały na odpowiedni moment, żeby ją zaatakować. Czuła się, jakby stała na szczycie samotnej wieży, a jej ciałem targał tutejszy, złośliwy wiatr, próbując zrzucić ją w szczerbate klify strachu i szaleństwa. Jak miała się zachować, żeby zachować zdrowy rozsądek? Płacz ciągle szumiał jej w głowie. Czy mogła wierzyć własnym zmysłom choć przez chwilę? Przed kim miała wyrazić swoje niepokoje? Oprócz tego kretyna, który siedział kolejną godzinę na zdrętwiałej dupie, nie miała nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Nieprawdopodobne okoliczności to nie była gratka, którą mogłaby poczęstować swoich starych czy znajomych – jedni by nie uwierzyli, inni może, ale raczej by ją wyśmiali. Musiała wstąpić na równinę własnego spokoju, a była tak skołowana, że nie zaszła nawet do tej cholernej łazienki.

Jaka była tego puenta? Jedno zdanie bezczelnie, z pełną swobodą, wdzierало się w jej umysł: „Paradís, zwariowałaś!”.

Musiała z powrotem do łazienki, szybko. Wyszła z powrotem na przedsiónek i zauważyła od razu, że ci „inni” ciągle siedzieli w kuchni. Z ich szeptów i zachowania wywnioskowała, że robili coś nieprzyzwoitego.

Ta nowa lokatorka lubiła się chyba znęcać nad tym mężczyzną, bo na oczach Paradís, bez wahania, bez żadnej łaski czy litości, ugryzła go mocno w pierś, w sutek. Niepozorny Narkoman w konsekwencji zasyczał i jęknął, wyrywając się upiornej pannie i jej zębiskom.

Potem wybełkotał w uniesieniu parę słów w stronę małej „gryzaczki”, łapiąc ją pewnie w objęcia i przyciskając do siebie. Z całego ciągu słów Paradís zrozumiała jedno: „nienormalna”, kiedy mężczyzna pukał się w głowę i najwyraźniej karmił lokatorkę za ten niepospolity akt przemocy. W odpowiedzi dziewczyna zrobiła oczka jak aniołek, ale zaraz znowu spróbowała szczęścia, chcąc ugryźć go raz jeszcze. To było chore. Chłopak zamierzał jeszcze coś powiedzieć, przemówić tamtej do rozsądku, ale zamiast tego zaczęli się ze sobą szarpać. Tym razem jednak to jego zęby wpiły się w jej skórę, aż dziewczyna zaskomlała żałością. Wyszarpnęła swoje ciało z jego objęć i pacnęła go, niezadowolona. Następnie zobaczyła Paradís i znieruchomiła. Oznaczało to chyba koniec... pieszczot? Cokolwiek to było, nie miało dla Islandki znaczenia, najchętniej zapomnieliby całego widoku.

Ta przypadkowa ekspozycja ich wspólnej zabawy sprawiła, że dziewczyna zapomniła nawet na chwilę o tych wszystkich przejściach owego wieczoru. Dopóki znów nie odezwała się do nich baba z piwnicy, odpowiadając im z dołu głośnym rykiem na ich zakłopotane milczenie. Jakby koniecznie chciała im przypomnieć, że odtąd nic nie będzie normalne. Jak dotąd Paradís jakoś to znosiła, ale jak długo jeszcze? To wszystko zaczynało autentycznie ją przerastać: od dziwnej pary, przez jakichś włóczęgów i narkomanów, aż po jękliwą zrzędę – tajemniczą Czarownicę z piwnicy...

HYMN FAŁSZYWEGO BRAZYLIJCZYKA

Zgubić się można wszędzie – nawet nie ruszając się z miejsca.

Czasem w wirze życia nietrudno się pogubić, gorzej z wyciąganiem wniosków z błędzenia po tych wszystkich krzywych. Analizując świat bez należytej uwagi, kaprawymi zmysłami, można dochodzić do omylnych konkluzji, gubiąc się dalej i znowu. I można być w tym tak świetnym, że i inni w nie uwierzą, żeby pogubić się wspólnie, solidarnie. Ostatnio na ulicach gubiło się więcej ludzi, dosłownie. Wszyscy w coraz mniej jasnych okolicznościach, o których trudno było cokolwiek powiedzieć. Usta same się zamykały, kiedy trafiało się w miejsca, gdzie ewidentnie zachodziły jakieś „wspaniałości”. Prymitywny artyzm dokonywanych aktów zbrodni elektryzował całą skórę na ciele. Co za pogańskie dusze czyniły podobne, nieludzkie świństwa? Na komisariacie policji urządzono nawet specjalne spotkanie i wykład na temat różnych wypaczeń i chorób. Co bardziej doświadczeni gliniarze sądzili rzekomo, że to jakiś chory wyjątek, że sprawca był jeden i zabijał nieudolnie, cokolwiek miało to znaczyć. Co gnębiło teraz myśli wielu funkcjonariuszy, nie trafiało szeroko do opinii publicznej, ale niektórym się coś o uszy obijało – na przykład bywalcom głównej stołecznej biblioteki. W większości przypadków byli to ludzie marginesu z całego świata, na przykład tego dnia zebrało się tam kilku mówiących po arabsku wyznawców Alkoranu, którzy charczeli o czymś żywo od jakichś dwóch godzin, nie dbając o biblioteczny nakaz ciszy. Niektórzy z pracowników placówki zerkali krzywo na takich gości, przy

czym zawsze zaprzeczali, jakby byli uprzedzeni wobec jakichkolwiek inności. I, chociaż nagminnie wciskano tutaj ludziom zapewnienia o wszechpanującej tolerancji, to akceptacja kulała, była chora i nie było komu jej leczyć. Zatruci, w których najwięcej się tej choroby tłoczyło, w próżności swej nie dostrzegali w związku z tym problemu.

Niektórzy byli pod tym względem zupełnie niemożliwi. Na przykład jeden z częstych bibliotecznych gości – menel jeden – wymyślił sobie fikcyjną osobowość o innej niż jego własna narodowości, albowiem nie cierpiał swoich rodaków. Mniej spostrzegawczy rozmówca był nawet skłonny uwierzyć w podobne banialuki, ale nie tacy oni, Niepozorni Narkomani czy inni włóczykije – ich reakcją w tym przypadku był szczerzy, zdrowy (przez co rzadki) śmiech. Ale nie przeszkadzały im podobne gierki i sofizmaty – na ulicy każdy kłamał, po prostu nie każdy dobrze kłamał. A polityka tego pana, który wykreował sobie drugi życiorys, nie była groźna w swych nawet najbardziej niecnym zamiarach. To chyba dlatego, że Oli (jak się ten włóczęga przedstawiał) nie grzeszył rozumem – napotkawszy go i wysłuchawszy jego zeznań, nie każdy człowiek od razu to dostrzegał. Oli potrafił bowiem brzmieć przekonująco, nawet całkiem naukowo. Wszystko, dopóki się nie uniósł, co następowało rzadko, kończyło się jednak nierzadko przemocą. O sile jego ciosów mógł przekonać się tego dnia jeden z bibliotekarzy.

Może tak by się nie stało, gdyby w bibliotece nie brakowało Niepozornego Narkomana, tego bezdomnego. Może Oli dałby się poskromić, zamiast bronić swoich praw do... słuchania w czytelni muzyki, na głos. Utworem był hymn znanego katalońskiego zespołu piłkarskiego, natomiast Oli uważał go za swój własny, osobisty i jednocześnie – brazylijski (albowiem podawał się on za Brazylijczyka). Kiedy bibliotekarze zobaczyli (albo raczej – usłyszeli), co działo się w sekcji

komputerowej, musieli zareagować. Włóczędzy zachodzili im tam za skórę przy każdej okazji, ale teraz – to była całkowita przesada. Młody pracownik powstał z recepcji, żeby przedyskutować sprawę z „oryginałem” – bardzo, trzeba przyznać, zniecierpliwiony. To, co wydarzyło się dalej, zapisało się w pamięci i na ciele chłopaka dosyć boleśnie.

Oli nie mógł uwierzyć, że ktoś śmiał przerywać mu tak wzniosły moment, jakim było delectowanie się swoim osobistym hymnem. Poza nim i bibliotekarzem wszyscy w końcu zupełnie ucichli, jak na bibliotekę przystało. Fałszywy Brazylijczyk powstał, oburzony, a jego dłoń powędrowała za pazuchę, skąd ten dobył jakiś metalowy pręt. Siła ciosów Oliego to było jedno, ale ucierpieć od zamaszystego uderzenia jakimś żelastwem – drugie.

Mężczyzna, który zwrócił uwagę dziwakowi, miał okazję poczuć ten ból, po czym zaraz stracił przytomność. Przeżył, jak się potem okazało, ale zrezygnował ostatecznie z pracy w tak... niebezpiecznym miejscu. Całe zajście trwało krótko, Oli ostatecznie został zatrzymany i dostał zakaz pojawiania się w bibliotece. Najdziwniejsze było, że podczas przesłuchania mężczyzna w ogóle nie skupiał się na pytaniach, a tylko wyrażał troskę o zagubionych przyjaciół. Ciągłe martwił się, że oni wszyscy zginęli i to ich nieobecność sprawiała, że się nie kontrolował. Funkcjonariusze wiedzieli już wtedy o kolejnych zaginięciach, ale przyznali, że wydało im się nader dziwne, że udawany Brazylijczyk, przy swoich ograniczonych zdolnościach umysłowych, zdawał się wiedzieć więcej, niż którykolwiek z nich by się spodziewał...

LAMENT NAD UTRACONYMI

Nie płacz nad rozlanym mlekiem, zobacz, ile rozlanej wokół krwi.

Jak długo trwał lament nad utraconymi pobratymcami Oliego? Trudno określić, ale na drugi dzień pojawił się jeszcze rano pod biblioteką i walił w drzwi (które obsługa ze względu na niego musiała zamknąć), grożąc, że spali to miejsce, jeśli go nie wpuszczą. Poddał się jednak, nim przyjechała policja, machnął ręką i krzyknął:

– To tyle z mojej strony!

I przepadł. Zaginął chłopak w tym niewielkim świecie, gdzie żyło tak niewielu, gdzie tak trudno przecież powinno być się zgubić. Jakby obrócił się w proch, zupełnie nagle. Płaczący nad utraconymi dołączył do ich grona jako kolejny zaginiony.

Oli często pakował się w kłopoty, więc ludzi najchętniej zwyczajnie omijał. Nie miał swoich bliskich, a spośród uliczników tolerowali go głównie Niepozorni Narkomani. Życie wiódł proste, ale nie bajkowe. Może dlatego lubił opowiadać o drugim, innym sobie?

Jego fantazyjne opowieści o tym, kim to kiedyś nie był Oli, do tego stopnia zaciekały jednego z Niepozornych Narkomanów, że ten wysunął do drugiego tezę, iż ten ich fejk Brazylijczyk może w ogóle nie wiedział, co gadał, może nawet nie potrafił pisać. Na podbicie swojej tezy powziął cytaty ich kolegi eklezjarchy, starego, poczciwego Proroka, który, zwykle rzekomo powściągliwy w osądach, zapytany o opinię na temat Oliego, miał rzec:

– Głupi!

Jaki nie był, zaginął gdzieś w tym niewielkim świecie właściwie niezauważenie.

Sam przed zniknięciem zdążył jednak zauważyć, że od co najmniej trzech dni nie widział Niepozornych Narkomanów, jednego ni drugiego. Tego pracującego widywał sporadycznie, a ten drugi, chociaż często przepadał, rzadko omijał śniadania u sióstr, a jeszcze rzadziej wizyty w bibliotece, gdzie czasem pisywał albo co. Może tym razem coś się stało – przekroczył dawkę albo co?

Gdyby Oli wiedział, co ostatnimi czasy działał Niepozorny Narkoman, może nie popadłby w taką melancholię albo może popadłby w jeszcze większą? Nikomu by to chyba nie wpadło do głowy; ci, którzy wiedzieli, byli wstrząśnięci. Dlatego zwoływali te swoje służbowe synody, policjanci, bo Niepozorny Narkoman wcale wtedy nie zaginął, jak sądził zaginiony Oli. Znaleźli go, wędrując po śladach krwi. Nie chcieli z początku dać wiary temu, co ujrzeli. A i nauka wydawała się tu ustępować miejsca. Znaleźli go leżącego, przytulonego do zakrwawionego kawałka mięsa, na parkingu, gdzie swoich piromańskich prób dokonywał inny z włóczęgów – Brodaty Blondyn, który już zresztą nie żył. Na tej wyspie trudno natrafić na rój jakichkolwiek owadów, ale skądś nad śpiącym menelem zebrały się bzycające nerwowo muchy, podbierające maleńkie kąski z obgryzionej w kilku miejscach, ludzkiej kończyny, ludzkiej nogi... Słabo im się zrobiło, wszystkim, jak stali. Ale przynajmniej uważali, że rozwikłali jakąś straszną, chorą i pojebaną tajemnicę. Mylili się jednak...

KRWIOŻERCZY GŁÓD

Czasem ucisk popycha do brawury, której nie powstydziliby się sam opresor.

Dobry Samarytanin. Tak go nieraz nazywali, Niepozornego Narkomana, tego domnego, który ze swoją mojżeszową czupryną, rozwiewaną przez sztormowe wiatry, wracał teraz z biblioteki z książką pod pachą.

Nie wiedział, jak miał interpretować nerwowość bibliotekarzy, kiedy zapytał ich, czy nie widzieli gdzieś Oliego albo drugiego Niepozornego. Wydawali się tym bardziej zdziwieni niż faktem, że wypożyczył od nich Stary Testament. Ale dziś już go zwrócił, pod pachą miał coś nowego. Z tym czymś wpadł na Proroka, i dopiero on wyjaśnił mu zdziwienie pracowników biblioteki. Jego bowiem także zapytał o Oliego, na co stary łysol wyciągnął przed siebie ręce, oznajmując gromko, że przez tego degenerata zepsucie wdarło się nawet w świątynię oświaty – wszystko ogłaszając łamaną angielszczyzną. Mówił, że nie wierzył w przesady, tylko w znaki, i że Oli takowe czynił, ściągając na siebie gniew Wiecznie Głodnej Bestii. Mówił, że to przez bałwochwalstwo, że wszyscy teraz krążyli i gadali o duchach, o trupach, o diabłach – i tym nieszczęścia już na głowy wszystkim na wyspie ściągali, i pewno na świecie. Poza Kanadą, jak uparcie zawsze utrzymywał, wskazując ją brudnym, tłustym paluchem jako ostatnią ostoję, Ziemię co najmniej Obiecaną. Niepozorny Narkoman już znudził się jego biadoleniem i chciał go zostawić, ale Prorok przylgnął do niego, chuchając mu w twarz starczym smrodem ze szczątkowo uzębionej gęby, żeby teraz uzbrojonym w czarnego pazura paluchem machać mu

przed nosem ze szczerym przejęciem w wylazających z orbit, półrozumnych oczach. Oczekiwał tej samej powagi od chłopaka, który dobrze ją zgrywał (pomagały mu w tym chyba okulary i może ta książka pod pachą), stary próbował wylapać ją tymi wylewającymi się z powiek, żabimi gałami. Niepozorny zerkał mu w te wytrzeszczone oka coraz bardziej chętny wyrwać się z jego brudnego uścisku, ale tylko ponaglił dziada spokojnym tonem, żeby się trochę streszczał. Ten zaś rzekł:

– Oni są wadliwi i źli, zapamiętaj! Żadnej w nich wartości, żadnego z nich pożytku! Za złe rzeczy trafiają się złe rzeczy, taka sprawa! Trzeba być dobrym, a oni robią tyle niedobrego. Niedobrze to się skończy, wspomnisz moje słowa!

To nie pierwsze oskarżenia, które padały z ust Proroka. I ten ich stek zapewne uciekłby Niepozornemu z pamięci, gdyby w drodze powrotnej do domu nie napotkał jeszcze innego włóczęgi. Był to ten mocno siwiejący, teraz jakiś niestabilny, niepewny, jeszcze bardziej niż zwykle. Teraz Narkoman odbierał go jako zagubionego, przejętego jak nigdy. Jakby zaszła w nim zmiana – w oczach miał niepokój silniejszy od zwykłej troski, zakrawający o strach. To, czym chciał się z nim ten menel podzielić, przybierało różne kształty, nim ostatecznie ubrał to we właściwe słowa. W ostatecznej formie była to groza, która wynikała z faktu, że ktoś w mieście zjadał bezdomnych. Brzmiało to jak zupełny absurd, jak żydowskie bajki o pustynnych demonach czy coś w tym stylu. Niepozorny wspomniał Siwemu, że spotkał Proroka i ten też nie niósł ze sobą żadnej dobrej nowiny. Nerwowy typ zaraz z przekonaniem zawołał, że tamten miał rację, odnośnie do wszystkiego. Był chyba bliski paranoi, krzyczał i wiercił się tak wokół Narkomana, że przechodnie obok podejrzliwie na nich spoglądali.

– Wykończą nas jak owce, to wszystko jest przecież ustawione, ty tego nie rozumiesz?! Powinieneś znaleźć naszego kolegę, żeby się sam nie włóczył. On sam sobie nie poradzi! – Siwy miał na myśli drugiego Niepozornego Narkomana. – Teraz w niejasnych okolicznościach znaleźli pod stołówką jakiegoś pojeba, który jadł ludzką nogę. Nogę, rozumiesz?!

Kolejni na drodze Niepozornego Narkomana byli czterej arabskojęzyczni, też stali biblioteczni goście. Młody mężczyzna znał ich wszystkich, a najbardziej najsmuklejszego spośród nich, któremu niedawno zarzygał auto. Niepozorny musiał przyznać, że trochę go dziwiło, że ten w ogóle posiadał auto, będąc ulicznikiem, ale kiedy ten zaprosił go raz na pełną dymu wycieczkę, zgodził się bez wahania. Wtedy ów Arab się wściekł, ale teraz witał go jak przyjaciela, nie jak przeciwnika. Uprzejmi innowiercy poczęstowali swojego kolegę – poganina – kolejnymi wstrząsającymi niusami. Wspominali o pocziwymi bezbożniku, Olim, wokół którego kręciły się teraz wszystkie uliczne jęzory. Wszyscy czworo zapierali się, że ten najpierw odwalił manianę w bibliotece, a potem zaginął. Niepozorny Narkoman odparł, iż nic podobnego nie słyszał, i wyraził nadzieję, że zguba się prędko znajdzie.

– Nie mam nic przeciwko niemu i znam go trochę. Z dwojga złego Oli zawsze umiał wybrać mniejszy uszczerbek i jakoś wykaraskać się z kłopotów, może trochę nieraz poturbowany. Nie wiem jak dla was, ale dla mnie te afery z zaginięciami są przesadzone. Trzeba wszystko brać na luzie, wiecie, z dymem! – To mówiąc, poczęstował ich papierosem. – Zawsze jest nadzieja, ja tam bym się nie martwił! I się nie martwię, mam nadzieję! Tutaj dzieją się różne nieprawdopodobieństwa, ale nie ma chyba co popadać w paranoję, prawda?

Chyba brzmiał przekonująco, ale jak tylko zostawił ich w tyle, zaczął poważnie przejmować się losem swoich i... i wszystkich bezdomnych. Ile

mogło ich być na Islandii: tysiąc pięćset, trochę więcej? Wszyscy znosili biedę, pogardę, głód i brak, wszelki brak, ale jakoś trudno było im się pogodzić z tym, że ktoś po prostu zniknął, w tak nedorzecznych okolicznościach. Ludzie nie cierpią niepewności, która ciąży nad wszystkimi po równo, nie dając się objąć rozumem, ujarzmić i zracjonalizować. Nieuchwytnie zło było przyczyną ogólnego niepokoju, który poszerzał swoje zasięgi, chwytając za kolejne umysły i mącąc je. Każdy mógł być wrogiem w tak niepewnej sytuacji. A może tylko ten, kogo znaleziono przy ludzkim mięsie?

Nie wiedzieć czemu, przez resztę drogi prześladowały go myśli o zaginionej dziewczynie. Pod domem wzdrygnął się, zamyślony, czuł na sobie czyjś gniewny wzrok. To była Czarownica z piwnicy, która, zobaczywszy go, zaczęła plwać w jego stronę niegodziwe, niezrozumiałe herezje. Dosyć mu było tych wszystkich ekstrawagancji. Prędko wbiegł po schodach do domu, rozdeptując coś przy okazji stopą.

Z początku myślał, że to kamień, ale przyjrząwszy się temu, stwierdził, że był to... ząb. I wtedy, nie wiedzieć czemu, znowu zaczęły prześladować go wizje dziewczyny z parkingu, dziewczyny z plakatu. Zastanawiał się, czy była jakakolwiek szansa, że ta jeszcze żyła, czy może zmarła męczeńską śmiercią jak ci kloszardzi, których szczątki znajdowano w zatęchłych zakątkach. Musiał z kimś o tym pomówić, koniecznie. Do głowy przyszedł mu zaraz drugi Niepozorny Narkoman. Ale ten nie pojawił się, odkąd krzyczał wściekle pod ich drzwiami, zostawił tylko po sobie bałagan, pustkę i... zęba? Był niemal pewien, że krucha kość należała do tego zużytego menela, nie był za to pewien, jak mógł go do siebie przywołać, sprowadzić. Chciał przedyskutować to z dziką Kampe, nową lokatorką, która „przystroiwszy” włosy jakąś folią, wyraźnie wściekła, kręciła się po mieszkaniu, strasząc aparycją godną piekielnej strażniczki.

Nie miał śmiałości, żeby w tamtej chwili poruszać temat jej brata, nie znał nawet powodu jej uniesienia. Nadszkwiał za to wokół niej jak sierota, raz czy dwa grzecznie dopytując o przyczynę jej podłego nastroju. Chyba irytował ją swoją potulnością jeszcze bardziej, bowiem ta zaczęła szczekać głośno:

– A cię co to obchodzi, w ogóle nie zachowujesz się po męsku! Prawdziwy pan, prawdziwy facet zrozumiałby, żeby nie wchodzić mi w drogę! Nie jesteś godny nazywać się prawdziwym mężczyzną, jak możesz nie widzieć tego?! – Pokazała na folię na swojej głowie, umazaną jakąś farbą. – Rany Julek, naprawdę!? Czy ty w ogóle widzisz coś przez te okulary?! Przeczytałam w internecie o łatwym sposobie na farbowanie włosów i... i chuj z tego wyszło! Teraz moje szlachetne włosy są zniszczone, są zielone. Czym sobie na to zasłużyłam?! To wszystko mnie przerasta, mam dosyć, co ja teraz zrobię? Co zrobię?! Czy wymagam zbyt wiele? Naprawdę nie mogłeś zauważyć TEGO?!

Odsloniła przed nim rażącą, jadowitą zieleń swojej nowej fryzury, a on nie miał siły, żeby zareagować jak należy. Wiedział, że sytuacja była patowa i bez wyjścia – każda odpowiedź, jaką by jej nie uraczył, zwiastowała kolejne płomienie jej dzikiej furii. Pełen trwogi, Niepozorny Narkoman najchętniej zapadłby się pod ziemię, może nawet do tej wariatki z piwnicy, która nie wydawała się teraz taka straszna w porównaniu z tą młodą, sykliwą, rozjuszoną żmiją. Jej zuchwałość i buntownicze usposobienie wobec niego sprawiały, że ten nie tylko wystraszył się, ale też zaczął gorączkowo myśleć nad tym, jak ma przerwać ten wściekły ciąg obelg i biadolenia. Nie mógł już tego wytrzymać, tych wyzwisk, krzyku, nerwów – w głowie przez to mieszało mu się wszystko – ona i jej brat, Oli i Prorok, ciapaci i tutejsi ryboludzie, czarownice z piwnicy i narkomanki z ulicy, jadowite rzygi i jadowita zieleń, bezzębne szczęki i rozdeptane

zęby, gryzienie po sutkach i zaropiałe ślady ugryzień na rękach... I, zwykle opanowany, nastawiony pokojowo, Niepozorny Narkoman poczuł, że musi zrobić krzywdę tej pyskatej dziewczusze... Złapał ją więc półprzytomnie, potrząsnął nią, a następnie – bez chwili zwątpienia – ugryzł ją... ugryzł ją w krtań...

PRÓBA KRWI

Karma nie wraca, tylko czeka głodnych, którzy po nią sięgną.

Odkąd się wprowadziła, toczyła jeszcze więcej walk, nie tylko ze sobą. Wojna z nowościami wokół przytłaczała, a wewnętrzne potyczki tylko dobijały, nie miała teraz na nie czasu i zalegały jej niestrawnością po trzewiach. Chociaż nie było tu takich upałów, czasem przywodziło to na myśl piekło, szatańską wysepkę, gdzie zsyłano za karę, na co najmniej śmiertelne potępienie. To nie klimat palił, chyba że mroźnym wietrzyskiem szczypiącym po nosie i policzkach, to ludzie wokół dawali do pieca – to z nimi walka utrudniała byt, czyniła pobyt tam nieznośnym, piekielnym. Trafiła gorzej, niż myślała, gorzej nawet wcześniej nie było, utknęła gdzieś między ulicami zepsutego miasta, w trzewiach niepewności i niebezpieczeństwa, nie mając do czego ani dokąd wracać. Utknęła w zanedbanym domu, za towarzystwo mając bandę zdziwaczałych lokatorów, cisnęła się z nimi w chorych relacjach, na niegościnniej ziemi, nie mając miejsca, które mogłaby nazwać domem. Tak mogłaby opisać swoje życie Paradís – zwłaszcza ostatnimi czasy. Niemal identyczną, osobniczą martyrologię wiodła nowa lokatorka, i każdą z tych dziewcząt łączyło coś jeszcze. Ale jedna w oczach drugiej – wydawały się sobie zupełnie niepodobne, nawet teraz. Teraz, kiedy mężczyźni, z którymi mieszkali, zadali im mękę, atakując je. Ich historie splotły się, bowiem każda z nich została zaatakowana w tym samym momencie, w ten sam sposób. Kiedy Paradís wybiegła z pokoju, uciekając przed swoimi

chłopakiem, zastała w kuchni parę dziwadła w pozie do złudzenia zgodną z tą, w której jeszcze przed chwilą trwała ze swoim partnerem, swoim oprawcą, i nie mogła uwierzyć w to, czego była świadkiem. Drażliwa jedność ich ciał, które sparowały się w brutalnym akcie kłosa jednej osoby przez drugą, uderzyła ją tak, że dziewczyna zaprzestała ucieczki.

Przez chwilę myślała nawet, żeby ulżyć cierpieniu Czarnowłosej (tymczasowo – zielonowłosej), ale ta sama wyrwała się z ramion gryzącego ją wielkoluda, odpychając go. Wtedy ten wielkolud trochę jakby się opamiętał i rozejrzył wokół. Paradís widziała wyzierające z jego oczu, spod okularów, szaleństwo. Nakryty na niecodziennej zbrodni, mężczyzna cofnął się, wpadając na kuchenny stół za nim, jakby chciał uciec przed eksponowaniem przed Islandką własnych grzechów. Ale nie mógł ukryć innych śladów wariactwa – jak krwi, która ściekała mu po brodzie, albo drżących rąk i zaszczutego, dzikiego teraz spojrzenia.

W tym samym czasie tuż za nią pojawił się drugi popierdolony krwio pijca, jej chłopak, i wszyscy razem, równocześnie, zadali pytanie:

– Co się dzieje?!

Każde z nich wypowiedziało te słowa z tą samą niepewnością i bojaźnią, niezależnie od tego, czy odgrywało rolę ofiary czy sprawcy. Po twarzach całej czwórki pełzało jedno i to samo widmo śmierci. Niemoralne, antyludzkie zachowania obu mężczyzn odbiły się krwawym piętnem na szyjach obu kobiet, które te miały nadgryzione, poważnie nadszarpięte. Stłoczeni razem, równie zszokowani jak jeden mąż nie wiedzieli, jak się zachować. Krew toczyła się po bladej skórze Islandki, spływając szkarłatem w jej dekolt, brudząc bluzkę. Wyglądała jak niedoszła ofiara wampira, która zbiegła z ostatecznej ceremonii przemiany w podobną kreaturę. Podobnie krew ciekła z szyi Czarnowłosej, której nieruchoma poza i demoniczny wyraz twarzy przyprawiała o zabobonny niepokój. Partner Paradís pierwszy

przybrał maskę względnej „normalności”, choć w jego przypadku była to maska zupełnej obojętności. Ten beznamiętnie, bez żadnego temperamentu wzruszył ramionami, po czym otarł krew z ust i pyska rękawem czarnej bluzy (zawsze ją nosił, nawet w domu, niezależnie od pogody), a na koniec uśmiechnął się, chociaż zupełnie nienaturalnie. Zapytał tej drugiej pary, czy im w czymś nie przeszkadzają. Niepozorny Narkoman zarumienił się na własną bezbożność i zaczął zastanawiać się, dlaczego w ogóle zrobił coś takiego. I wtedy pogryziona przez niego panna zaczęła bez wahania siać ferment, że ten ma przeżarty dragami mózg i jest skończony, a ona sama się go boi. Kolejny pokrzywdzony cywil – Paradís – zaczęła z podobną żywotnością prawić to samo o swoim chłopaku, który jednak nie przestał zgrywać obojętnego, zdawał się zupełnie nieporuszony. W końcu okularnik przerwał im, tłumacząc, że nie zdecydowałby się na podobną akcję, ale odczuł wewnętrzną potrzebę, żeby coś sprawdzić... A mianowicie chciał przekonać się i wiedzieć na pewno, że to nie on... Że to nie on pożerał... Że to nie on odpowiadał za tajemnicze zabójstwa... Że to nie on był tym ogniem, który trawił bezdomnych, który ich zjadał...

SECT. 27: PRÓBA MIĘSA

Cuda to tylko takie wyuzdane koszmary.

Że czuł się wtedy cudownie, Niepozorny Narkoman nie mógł wtedy zaprzeczyć. Jak też nie mógł na przykład udowodnić, że był niewinny. W ogóle o zaprzeczaniu i niewinności mógł chyba zapomnieć, ale właściwie to... zdawał się w ogóle niewiele pamiętać. Funkcjonariusze nie dawali mu jednak spokoju, przesłuchując go nieustannie, w kółko, już od kilku godzin. Jeszcze na parkingu, na którym go znaleźli, zdążył wyciągnąć coś z kieszeni i wepchnąć sobie w usta. Śmiał się przy tym głupkowato i majaczył coś o tym, ażeby policjanci wzywali tego swojego Chrystusa. Potem trząśł się i próbował krzyczeć, żądając Pisma Świętego, twierdząc, że nie ma na czym zapisać swoich ostatecznych racji. Pytany, czy pożerał ludzkie mięso, zaprzeczał albo twierdził, że nie ma pojęcia, że w ogóle nie wie, co się dzieje. Potem wrzeszczał, że to ich trzeba nawrócić, że to oni są grzesznikami. Później się zamknął i względna cisza nastąpiła na opustoszałym, wymazanym graffiti parkingu. Nie wypytywali więcej, zapakowali go do furgonetki, uprzednio krępując mu kajdanami ręce. Nie kwestionował ich poleceń, był bierny, a wkrótce potem zasnął im w aucie. Kiedy się obudził, to już rażony jasnym światłem, pytany od jakiegoś czasu o to, czego właściwie był świadkiem czy... czy sprawcą? Nie odpowiadał im, tylko zaczął drżeć, wskazując jakiś punkt pomiędzy nimi, na ścianie. Przesłuchujący beznamytnie odwrócili się, gdzie wskazywał rozklekotany bezdomny, który szeptał tylko niewyraźnie:

– To ona, nie ja, to ona!

I uśmiechał się wtedy pod nosem, jak łobuz, który kogoś oszukał, jakby miał do czynienia z bandą kretynów, którzy wierzyli w cuda. Ale szybko uśmiech uciekał z jego wychudzonego, powykręcane oblicza, a on sam uważniej gapił się na miejsce, które pokazywał funkcjonariuszom, nie wiedząc, ile w jego oszustwie było prawdy. Wszystko wokół niego było wyraźnie oświetlone jaskrawymi, bijącymi po nieprzyzwyczajonych oczach żarówkami, tylko tamten ką, który wskazywał, jemu samemu zdawał się jakiś inny... I już sam nie mógł uwierzyć ani nawet pojąć, gdzie był. Czuł się, jakby trafił do bardzo starego domu, którego nie rozpoznawał. Rozpoznawał tylko ją, chociaż i ona raz po raz ulegała swoistym transmutacjom, raz blada i sztywna, znowu nieprzytomna i naćpana, a po chwili... A po chwili zakręciło mu się w głowie, jakby przepił się tanim winem. Wiązało się to z nabyciem pewności, że ten stary dom był siedzibą Anonimowych Alkoholików. Chciał wstać i uciec, zbiec po schodach, ale jedyne, czego udało mu się dokonać, to przewrócić się i zrzygać na podłogę przed nim. Za plecy złapał go chyba sam diabeł, szepcząc mu do ucha, że dobrze wiedział, co chłopak narobił. Zarzygany Narkoman odwrócił się i poczuł, że zgubił gdzieś okulary – widział cholernie niewyraźnie jakąś starczą, zapłutą gębę brodatego menela, który szczyrzył się do niego chorym, złowrogim i smrodliwym uśmiechem. Chciał przywalić dziadowi, ale było mu okropnie ciężko, jakby niewidzialne kamienie przyciskały jego kończyny do nieprzyjemnej, lepkiej posadzki. Odrażający głos bestii chuchnął mu, że to jego wina i na wszystko sobie zasłużył, a potem oczy starca zaczęły jaśnieć, aż oślepiały Niepozornego Narkomana. Na chwilę rzeczywiście bezdomny ośleplł, żeby zaraz odzyskać wzrok. Jasność nie była już taka straszna, ale wciąż bolesna, a jej źródłem okazała się skierowana w jego zarzygany pysk rażąca latarka. Policjanci cisnęli się nad

nim, jeden przez drugiego, ale nie słyszał ich. Niepozorny Narkoman nie wy dostał się chyba jeszcze z pęć absurdalnej niezwykłości i nie rozumiał, czego żądali od niego funkcjonariusze. Nie ułatwiał im tym sprawy, podobnie jak wymiotowaniem, wiciem się, bezsensownym bełkotem czy powtarzalnymi, niezdarnymi i skazanymi na porażkę próbami ucieczki. Czy to karykaturalnie półludzkie stworzenie mogło być ich potworem, który zjadał bezdomnych?

Że czuł się wtedy okropnie, Niepozorny Narkoman też nie mógł zaprzeczyć. Cuda mieszały mu się z koszmarami, a powtarzające się obrazy grozy próbował to z siebie wypłakać, to wyśmiać – żeby zapomnieć. Żadna z rzeczywistości nie przekonywała go, żadna nie była naturalna. Wszystkie były do bani, przed wszystkimi chciał się zabarykadować, w każdej jego własna natura odrażała go, podobnie jak natura wszystkiego wokół. W każdej słyszał coś o zaginionej dziewczynie, a potem o jakimś cudownym odnalezieniu. Potem chyba o coś go oskarżali i Niepozorny Narkoman znowu, znowu nie mógł zaprzeczyć.

Usłyszał wrzask o niewyobrażalnej mocy. A gliniarze usłyszeli jego wrzask, w granicach jego werbalnych możliwości.

Potem wszystko wokół niego znowu ucichło, a on słyszał już tylko pisk, i był przerażony. Inni żadnego pisku już nie słyszeli, a on nie rozumiał, dlaczego ona piszczała? Na swoich rękach zobaczył krew i po raz kolejny zapragnął zaprzeczyć, wyrywając się z płaczem, uciekając spojrzeniem we wszystkie strony.

Ale w każdej widział tylko przeszłość, nie wiedząc, która była prawdziwa. Teraz bardziej niż kiedykolwiek czuł się, jakby panowała nad nim jakaś siła, która chciała go zniszczyć, która rujnowała mu życie. Czasem Niepozorny Narkoman czuł się bogiem; teraz bardziej niż kiedykolwiek czuł się śmiertelny, jednocześnie rozumiejąc i nie rozumiejąc,

że ma przejebane. Nie mógł wykształcić w sobie świadomości, która pogodziłaby razem wszystkie wspomnienia, których świadkiem był przez ostatnich parę dni czy... czy miesięcy?

Nie mógł znieść zgwałconej dziewczyny z parkingu. Nie mógł znieść bladej mary, przed którą uciekał donikąd. Nie mógł znieść wrażenia, jakby ta istota prześladowała go i była obok, kiedy on pożerał czyjeś szczątki, kiedy próbował ludzkiego mięsa... Nie mógł odgonić od siebie chorej myśli, że czuł się wtedy cudownie. I nie mógł zaprzeczyć, że wszystko to było obrzydliwie okropne, i taki go dręczył paradoks.

Jego ciało i dusza gryzły się teraz ze sobą. Czyja to była wina, czyja wola? I w tym splocie trwała niespójna jedność Niepozornego Narkomana, którego jeszcze następnego ranka ogłoszono winnym zaginięć i aktów... kanibalizmu.

KOLEJNA PRÓBA KRWI

Czy krew grzesznika przestaje być święta?

Jeszcze tej samej nocy miały miejsce inne dziwy. Jeszcze tej samej nocy próbowana była krew, znowu, czego dokonały dwie lokatorki – Paradís i ta druga. Wszyscy w tym chorym domu zachowywali się, jakby umarli, a teraz zaczynali nowe, zagmatwane życie, chrzcząc je popapranymi rytuałami. Nie traktowali oni krwi jako świętość godną relikwii, bo nawet jeśli mieli w ten sposób okazywać cześć tej szkarłatnej wydzielinie, to był to sposób zgoła nieczysty i nazbyt niegodny. Z pewnością nie uznawali świętości kości, które pozostały u wszystkich nietknięte, na szczęście. Do absurdalnej praktyki tym razem namówiła wszystkich Czarnowłosa, ta od Niepozornego Narkomana. To nie ciało Chrystusa spożywali w tej wspólnocie, a krew cudzą, bratnią. Nie chodziło o przyjęcie ofiary, oczyszczenie, uzyskanie specjalnych mocy czy nawet o to, na czym zależało Niepozornemu, kiedy to on wgrzyzał się w grdykę swojej koleżanki. To, co ona wymyśliła, poczytywał on jako jakiś moralny upadek i jej diabelskie widzimisię. Żeby mężczyznom wybaczone, wszyscy lokatorzy mieli teraz puścić z siebie nawzajem krew, jakby byli swoimi wrogami, ale zbliżyć to ich miało jak dobrych przyjaciół – jakby tworzyli między sobą krwiste więzy. Faceci już byli po pierwszej „próbie krwi”, dlatego teraz miała być kolej dziewcząt. Czarnowłosa miała posmakować juchy Niepozornego, a zraniła go gwoździem, który wbiła mu w wewnętrzną stronę prawej dłoni. Bolało to okropnie, ale dało się znieść.

Gorsze już było uczucie, że wszyscy oni robili coś nieboskiego, coś niedobrego – jakieś oszustwo czy prowokację wobec sił wyższych, jakiegokolwiek by one nie były. Piękna jak róża, chętniej wbijała innym swe kolce i zadawała ból, niż dawała uszczknąć cokolwiek z bukietu całej swojej głębi. A ból ten zdawał się karmić jej żądze i oblicze jej, jakby głodne już było samego widoku rdzawej cieczy czy krzywego grymasu Niepozornego. Czarnowłosa „ochrzciła się” więc z niejaką przyjemnością, łapiąc w końcu za dłoń Narkomana i chłęcząc umykającą z niej krew.

Jej „koleżanka” z mniejszą chęcią smakowała ciała drugiego mężczyzny. Paradís lubiła perwersje, ale ta akcja wydała jej się chora, nie była naturalna. Nim pożarły ją wątpliwości, opła się krwią swojego partnera, czując się niezmiernie głupio, że brała udział w tym wszystkim...

Nawet trochę się bała, jakby krew pita w ten sposób była bezczeszczona, jakby naruszała świętość tej płynnej, żywej relikwii. Myślała o charakterystycznym metalicznym posmaku tej cieczy i krzywiła się. Chwilami czuła się, jakby robiła coś prymitywnego, jakby kontynuowała jakieś dzikie, pogańskie praktyki starożytnych. Z niechęcią i niemałym zdziwieniem obserwowała, jak ta druga lokatorka czerpała wyraźną przyjemność z tego, czego razem dokonywały. Nie wiedziała, czy jej wiecznie obojętny chłopak podzielał jej obrzydzenie, ale... wątpiła w to. Przecież on sam dopiero próbował jej krwi, właściwie nie tłumacząc jej swojego zachowania. Często był wobec niej agresywny: próbował różnych perwersji, bił ją lub znieważał, ale nigdy, ale to nigdy jej się z niczego nie tłumaczył. Chociaż był bardzo inteligentny, pod pewnymi względami pozostawał tak bardzo prymitywny jak chyba ci starożytni, jakby chciał w ten sposób udowodniać swoją męskość. Nie wobec całego świata – wobec niej, a ona... cóż, nieraz nawet jej to odpowiadało. Ale tego się nie spodziewała po nim, to jej się nie podobało. A już najbardziej nie podobało

jej się to bratanie z tym obleśnym, starszym lokatorem i jego popieprzoną dziewczyną – w ogóle ich obecność coraz bardziej jej wadziła. Ich ostatnie lata wspólnego życia były względnie spokojne, ale pojawienie się tej dwójki było przełomem – wszystko się zmieniało – na gorsze... Jak długo to będzie trwało? Te dwie niegodne jej czci postacie coraz bardziej odrażały ją i – z tą odrazą, a także z krwią na szyi i ustach – Paradís wycofała się w końcu do swojego pokoju. Nie mogła już dłużej tego znieść, próba krwi ją przerastała.

TO TYLKO WARIATKA

Niektórzy tak boją się śmierci, że już widok nieboszczyka zabiera im coś z życia.

Sen był tej nocy ostatnią rzeczą, jaka mogła przyjść i zapukać do drzwi domostwa, do którego przeprowadził się niedawno Niepozorny Narkoman. Nie tylko czwórka lokatorów nie położyła się spać, chociaż obie pary udały się do swoich pokoi, gdzie już nie próbowały pożerać się nawzajem, a same zżerane były ciekawością – co teraz? Nawet niewierząca Paradís oczekiwała czegoś nieoczekiwanego – Znak od jakiejś wyższej siły, Losowej Wyroczni albo czegoś podobnego. Jej chłopak oznajmił z drwiną, że z pewnością zaraz wszyscy doświadczą czegoś surrealistycznego i... miał rację. Zaczęło się od krzyku z piwnicy, który do cna przeraził Islandkę. Jej partner sam aż podskoczył ze strachu, ale kiedy ona zapytała, czy to wszystko było związane z ich „próbą”, ten stwierdził, że niedorzecznym było w ogóle tak myśleć.

A jednak w sercu dziewczyny tlił się niepokój, jakby to wszystko, co teraz się działo, było niewyjaśnione i nadprzyrodzone. Umysł jej nie mógł tego pojąć, a świadomość pozostawała jakby zaćmiona, kiedy słyszała kolejne jęki i krzyki chorej baby z dołu. Poczula się jeszcze gorzej, kiedy usłyszała, jak gdzieś pękła szyba, a stara czarownica ucichła jak... jak zabita. Chciała wysłać chłopaka, żeby sprawdził, co to było, ale ten odmówił, tłumacząc, iż zrobi to rano, bo osobiście to go nie obchodziło. Teraz Paradís była nie tylko przerażona, ale i wściekła na swojego faceta,

nie chciała jednak teraz się z nim sprzeczać, a sama nie odważyłaby się wyjść i przekonać się, co się stało. Oczyma wyobraźni widziała diabła, który zwabiony ich krwią zapuścił się do piwnicy i wstąpił w starą babę, która zupełnie oszalała i wybiła szybę we własnym mieszkaniu...

Lokatorzy obok też słyszeli to wszystko i także zastanawiali się między sobą nad jakimś uzasadnieniem tego wszystkiego. Ale i oni nie wyszli z pokoju, żeby zbadać sprawę. Niepozorny Narkoman za bardzo się bał, a lęk jego podsycaly te wszystkie mroczne historie zaginięć... Razem z czarnowłosą dziewczyną starali się sobie wmówić, że to „tylko wariatka”, która „tylko wybiła szybę”. Ale czy mieli rację – nie wiedzieli, w ogóle też nie byli co do tego przekonani.

Niepozornego zaczęły nękać coraz to kolejne wątpliwości odnośnie do wszystkiego, a udział w tym niemały miała i sama Czarnowłosa, nawiązując podczas ich spekulacji do jego wyznania z kuchni... Niby śmiejąc się, zapytała, czy on naprawdę podejrzewał się o to, że mógł pożerać bezdomnych... Ale jemu nie było do śmiechu nawet na niby – czuł się jak dziecko, które nie tylko nie wie, gdzie jest, ale nawet nie wie, co robi...

Co wydarzyło się przed chwilą w piwnicy? Fałszywe cienie zdawały się biegać po ich pokoju i okrywać mrokiem ich dusze, kiedy leżeli i nasłuchiwali. Kilka razy Niepozornemu zdawało się, że coś słyszał, ale czy warto było wierzyć teraz swoim zmysłom, wierzyć w cokolwiek?

Teraz i ona usłyszała, że na dole wciąż coś się działo, coś tam było. Trzaski, szelesty, chrząknięcia i kolejne zawodzenia baby – wszystko to brzmiało tak, jakby ona tam na dole walczyła o życie swoje i swojej martwej lalki. Wszyscy z mieszkającej wyżej czwórki słyszeli to, ale nikt nie zareagował. Wszyscy bali się bardziej o swoje żywoty, nikt nie żałował Czarownicy ze schizofrenią. Powtarzali sobie zduszonymi szeptami, że to

po prostu jej kolejny atak, i chociaż każdy czuł jej bliskość, to nikt nie uwierzył, że śmierć mogła być aż tak blisko – podłogę niżej...

POTENCJALNI MORDERCY

Ilu morderców trzeba poznać, żeby zacząć rozpoznawać ich z daleka?

Resztę nocy mózgi czwórki lokatorów pracowały nad całą tą zagadką, w którą wszyscy byli jakoś wplątani. Nie mogli odrobaczyć się od dręczących ich myśli, w których przelewała się krew, ludzie zjadali siebie nawzajem i każdy był o wszystko jednakowo podejrzany. Patrząc sobie po ciemku w oczy, Niepozorny Narkoman i Czarnowłosa odczuwali metafizyczny niepokój, bojąc się to siebie nawzajem, to siebie samych, to całego świata wokół. A szeptali między sobą o stworzeniu, które zabijało. Wymieniali podejrzanych. On zaczął od menela i zaginionej dziewczyny, wspominając także o jej duchu, co Czarnowłosa skwitowała przejmującą ciszą. Jakby on nie rzekł nic niestosownego, jakby nie było w tym nic krzywego, jakby Czarnowłosa wierzyła w duchy. Wspominać począł też o szalonych istotach, jakby plugawych i niewiernych, a jednak ludzkich – o takim Krzywogębym na przykład. Ale nim wymyślił do listy kolejnego plugawca, ona wróciła do ducha, zadeklarowana antyboska ateistka, wierna praktykom czarcim i horoskopom.

Ale co on mógł wiedzieć o zjawie, poza tym, że ukazała się drugiemu Niepozornemu, zresztą jej bratu? On zaś sam, choć żywe jej oblicze ujrzał tylko raz, wyprzeć go z głowy nijak nie mógł, i mrocznych wizji, które wraz z nią go nawiedzały. Nieraz widział ją wyraźniej niż wiedźmę w piwnicznym oknie, przez której jęki cała ta dyskusja nie miała końca, nie gasła. Przeciwnie do diabła, który w babie drzemał – ten najwyraźniej usnął

tej nocy na dobre, bo głosy już było słycać tylko we właściwym mieszkaniu lokatorów, cicho szeptane, ale nieustające. W umyśle dziewczyny pojawiło się jednak podejrzenie nawet na temat wariatki – ta zasugerowała, iż za zbrodniami stała ona, ta stara schizofreniczka. Chłopak z kolei rzekł w żartach, iż to pewnie jej przeklęta lalka, którą teraz trzeba było nawrócić i wypędzić z niej demona, pana marionetki. Na to ona rzekła, że nie ma żadnych złudzeń, iż to Siwy pan był sprawcą, i tak kontynuowali wymienianie kolejnych bohaterów tego opowiadania, żeby w końcu dziewczyna znowu oskarżyła jego, Niepozornego Narkomana. Ten zawiesił się na tej myśli, zaczął maniakalnie zastanawiać się nad tym, czy aby to on nie był mordercą, znowu. W jej stronę rzucił jednak pomysłem, iż to drugi Niepozorny Narkoman zabijał, jej braciszek. To z kolei obudziło w dziewczce bestię, do tego stopnia, że obcujący z nią mężczyzna zaraz i w niej upatrywał morderczyni. Już gotów był na to, że ta charakterem swoim przepoczwarzy się lada chwila w krwiożercze monstrum, kiedy ta wstała roztrzęsiona z łóżka, ciskając w niego wyzwiskami wszelkiej maści. Niepozorny nie wiedział, co go skusiło, żeby tak sprowokować dziewczę. Właściwie to nie próbował jej prowokować, samo tak wyszło. Najpierw się tym przeraził, ale zaraz zaszła w nim jakaś przemiana i on także powstał, niemniej wściekły od swojej koleżanki, tak samo jak ona gotów do konfrontacji.

Dziewczyna pierwsza napała na niego swoją cielesnością, dokładając fizyczność do steku brzydkich wyzwisk. On odpowiedział, ale była to bardziej walka płci niż racji, temperamentna szarpanina raczej niż stricte patologiczna bójka. Wyzywając się i nawzajem odpychając, jakby chcieli się posiąść. Żadne jednak nie mogło zyskać dominacji nad drugim, żadne skraść tej przewagi, żadne też przyznać drugiemu racji... Złość, która nimi wówczas powodowała, to napięcie, a także strach i samotność, które łączyły

ich w popapraną parę, razem w efekcie złożyły się na zaskakujące przyciąganie, które zbliżyło ku sobie te dwa przeciwieństwa. Ogarnęło ich jadowne pożądanie, kiedy wciąż nieustannie rzucali w siebie obelgami i oskarżeniami, od „grubych, zgrzybiałych mięsożerców” po „dzikie, krwiożercze suki”. Pożądanie urosło do pasji, a pasja zwieńczona została obopólnym zaspokojeniem, ale zupełnie innym niż zwykle. Oboje doznali bólu, nieprzyjemności, a także rozkoszy i przyjemności. Była w tym krew i inne wydzieliny, szalone pomysły i balansowanie na krawędzi możliwości. Para traktowała się nawzajem tak, jakby każde z dwójki chciało zasłużyć sobie na opinię okrutnika, jakiej nie powstydziliby się potencjalny morderca czy nawet... kanibal. Jakby demonica drażniła antychrysta, jakby dwójka psychopatów testowała swoją niewrażliwość. Kiedy cała ta niedorzeczna zabawa się skończyła, oboje wyznali sobie jednocześnie, że to oni są mordercami. Co ciekawe, oboje nawet sobie uwierzyli, a co jeszcze ciekawsze – w jakiś sposób każdemu z nich to pasowało...

Mężczyzna widział w niej prawdziwą, nieprzewidywalną diabolicę, którą z dumą posiadał. Dreszcz niepewnego niepokoju, jaki sobą wywoływała, nie pozwalał na melancholię wobec niej czy tęsknotę za nią. A choćby sam cień prawdopodobieństwa, że ta dziewczyna mogła łądzić jego i cały świat, skrywając tak mocno mroczny sekret – ekscytowała w jakiś sposób Niepozornego. I odwrotnie – ona, która początkowo w ogóle nie była zainteresowana jego osobą, teraz, kiedy odkrył przed nią swoją naturę, skrywaną przed całym światem – zaczęła go postrzegać jako przedmiot niejakej fascynacji. Wizja Niepozornego kanibala czy takiegoż mordercy zdała jej się niekonwencjonalna, przez co – pociągająca, świeża. Można powiedzieć, że oboje mieli zadatki na przykładowych psychopatycznych morderców – i to w sobie cenili...

MORDERCY MEDIALNI

A kiedy w lustrze zobaczy się raz zbrodniarza – ile razy trzeba się przejrzeć, żeby się przyzwycząić?

Nikt z lokatorów nie okazał się jednak mordercą, skądże znowu! Kiedy koleżanka przeczytała w internecie poranne niusy, jej oczarowanie współlokatorem trochę opadło. Ale skoczyło jej ciśnienie, jakby ktoś rzucił na nią urok. I w oczach jej się zakręciło, jakby ktoś klątwę na nią rzucił, kiedy czytała dalej. Było to wczesnym rankiem, kiedy Niepozorny wybrał się do piwnicy, gdzie nie tylko swoje lokum miała Czarownica, ale także stara pralka i także suszarka. Dużym plusem była jego nieobecność, w chwili, kiedy ta przeglądała te feralne wiadomości, nie wiedząc, jak nazwać to przejmujące uczucie, którego teraz doświadczała. Dwa słowa musiały tam być zapisane przez jakiegoś żartownisia czy magika w kapeluszu, a były one zatrważająco znajome. Nie wierzyła, że te istniały naprawdę, odświeżała stronę i przeglądała artykuły raz jeszcze – po angielsku, w swoim języku, a nawet po islandzku! Ale wszędzie pisano o tym samym, jednym diable, który nosił imię... jej brata. W głowie tłumaczyła sobie, że to informacje z drugiej ręki, że ktoś się pomylił, ale z drugiej strony... Jej brat pełen był mrocznych sekretów, których nie zdradzał przed nikim. Może rzeczywiście odbiło mu tak bardzo, że... że potrafił nie tylko zabić, ale i... pożreć? W wiadomościach nie było powiedziane wprost, że okrzyknięty winnym praktykował kanibalizm. Na pewno ogłoszono go winnym śmierci starego dziada, i podobno miała

odpowiadać za to jego krwiożercza natura, ale... większość elementów tej układanki, którą policja wciskała ludziom przez media, jakoś się wykluczała. Nie trzeba było być mistrzem kryminalistyki, żeby zwątpić w winę Niepozornego.

Zastanawiający był fakt, że dziada jej brat nie „posmakował”, a innych ofiar już tak. Później uderzało czytelnika, iż nawet liczba tych „innych ofiar” została pominięta, a nazwiska nieujawnione. Tylko jego imię podano, rzekomego zbrodniarza, tłumacząc przy tym, że dopiero ustala się tożsamości martwych i zbiera dowody przeciwko zatrzymanemu mordercy. Właściwie niewiele więcej o tym wszystkim napisali, poza tym, że podejrzany przebywał na komisariacie, a został przeniesiony do szpitala, do budynku dla obłąkanych. Siostra, która nienawidziła swojego brata, ale jednocześnie go kochała, już obmyślała plan, który mógłby mu pomóc. Życie nauczyło ją, że o wszystko należy walczyć, bo tylko to zbliża nas do sukcesu – nieustanna walka.

Dziewczyna z pewnością odkryje, w którym pomieszczeniu przebywał jej brat, do tego z łatwością, a to dlatego, że... pracowała w tym ośrodku, w szpitalu – była tam sprzątaczką, zresztą świeżo upieczoną.

Nie mogła pozwolić, ażeby członek jej rodziny zgnił w więzieniu, kimkolwiek nie był w oczach świata. On sam miał się nieraz za jedną ze wschodzących gwiazd, ale ona wiedziała, że bliżej mu było do tych spadających.

W internetowych społecznościach głośno było o rozwikłaniu okropnej tajemnicy, ale według niej to zwykłe kłamstwo, mydlenie oczu publice. Uprzejme wpychanie im pod nos sprawcy, który najlepiej, żeby pasował do wszystkich ostatnich zbrodni, niezdarzających się tu często. Podobno było to najbezpieczniejsze miejsce na ziemi, takie niebo, „Paradís”. Takie złowrogie akty mordu i bezprawia były tu... cóż, niejaką nowością.

Zapewne funkcjonariuszy (i pozostałych śmiertelników także) przerażał fakt, że w tak krótkim czasie mogło się namnożyć na wyspie tyle skrajnej patologii, toteż żeby utrzymać opinię mieszkającej tam masy w ryzach, znaleźli pierwszego lepszego „mrocznego księcia” i zapuszkowali go. Dziewczyna próbowała zliczyć, o ilu zaginionych bądź martwych osobach ostatnio słyszała, ale straciła rachubę. Nie miała przecucia, że w artykułach nie pisali o wszystkim, była zwyczajnie pewna, że pomijali cały stek szczegółów. Sama musiała ich dociekać, tylko jeszcze nie wiedziała jak. Na razie tylko obmyślała plan...

TRAWIENIE

Głód nie czyni cudów.

Odkąd trwają – trwa wojna, trwa piekło, trwa walka o byt, światowa walka międzybytowa.

Trwają, dopóki coś ich nie pożre, trwają przerwanie, walczą o przetrwanie, trwają aż do przerwy, aż ktoś ich byt przerwie, a potem strawi.

Trwają wytrwale, każdy od swojego początku – jedni według jakiegoś porządku, inni chaotycznie, nieporządnie wcale.

Trawią niewytrwałych, żegnając ich wytrawnie. Co niestrawione zostanie – zgnije w glebie, zginie w trawie – resztki po strawie strawionej sprawnie.

Trawią stadnie, głodnym trwać być nie chce byt żaden. Razem jedną mają sprawę – jak najwięcej zjeść i strawić.

Odkąd trwają, włączeni są w tę zabawę: zwabić, zabić, zjeść, wypełnić pustkę i uwierzyć, że jej pełnia może zbawić.

Trwają byty w tej zabawie, trwale głodne, trwale więcej jeść ciekawe. Z apetytem każdy goni, czego głodny – ktoś dziko gna, ktoś kroczy gładko – nikt się za to nie stara godnie.

Wszyscy zgodnie chcą jeść ciągle, póki duch im cielska ciągnie.

Każdy wciąga, ile może, co nie może, schowa w spodnie.

Wszyscy chcą się najeść dobrze, tak powinno być w naturze.
Ale nie jest – jedni żebrzą, żeby potem w głodzie umrzeć.
Ci się w własnej biedzie babrzą, opinie są o nich różne.
Jedni podle o nich szemrzą, jeszcze inni jeszcze gorzej.
Gdy te osobniki zemrą, nikt na pogrzeb ich nie chodzi.
Poza sforą im podobną, ludzkich zwierząt wiecznie głodnych.
Jednak ostatnio podobno nawet nie dano im grobów.
A nabożeństwa żałobne grane były w wąskich gronach.
Tylko najbliższe osoby oraz jeden ksiądz z kościoła.
Ksiądz ten słał duszę ku Bogu, chociaż brakowało ciała.
Czy tak duszę zbawić można, czy ta dusza go słyszała?
Czy ta dusza szczególnie w próżni, bo się zapodziało ciało?
Opinie są o tym różne, a wiadomo o tym mało.
Równie mało, co o groźnych zaginięciach wśród mieszkańców.
Jak i o istocie sprośnej, co w ciałach zasmakowała.
Powinno być o tym głośno, ale więcej się milczało.
Mniej był wtedy straszny horror, tak przynajmniej się zdawało.
Póki biednych trafiał pogrom, świat się przecież nie zawali.
Oby nie trafiło kogoś, kto był co najmniej normalny.
Niech los strzeże ich od złego, niech zabiera dalej tamtych.
Albo niech znajdą winnego, co grasuje nienazarty.
To pewno jeden z kolegów, co są wszyscy siebie warci.
Jeden z ulicznych meneli, jeden z brudasów obdartych.
Nigdy nie było ich wielu, teraz kolejni znikali.
W biedzie tylko przyjaciele, po odeszłych nie płakano.
Bezdomni muszą być dzielni, zwłaszcza tak dziesiątkowani.
Chociaż żywot pędzą mierny, kurczowo się go trzymają.

Chociaż żywią się mizernie, sami nie chcąc być... zjadani.

W nocnym Słońcu gdzieś zniknęła pewna dziwna, starsza pani.
Odkrył to jej sąsiad z góry, rano, kiedy szedł po pranie.
Najpierw odkrył drzwi otwarte do piwnicznego mieszkania.
Krew mu mroziła świadomość, że może ją w nim zastanie.
Bał się tej starszej kobiety, słyszał przecież o jej manii.
Bał się jejże jeszcze bardziej, wspomniawszy jej zachowanie.
Bał się, bo nie wiedział przecież, co tam w nocy było grane.
I wszystko się zdało nagle jemu bardzo podejrzanе.
Ale musiał iść, więc poszedł, i wnet ujrzał węgle czarne.
Węgłe czarne oczu martwych lalki na podłodze marnej.
Te raziły swą pustością, oczy czarne, oczy straszne.
Jakby zamarły ze strachu także, jakby przez strach zgasły.
Cerę bladą lalka miała, chyba z porcelany jasnej.
Milczała, lecz wyglądała, jakby chciała głośno wrzasnąć.
Włosy czarne, potargane – jakby lalkę piorun trzasnął.
W takiej pozie ożywionej chłopak lalkę martwą zastał.
Wartkim wzrokiem po niej pląsał, a lęk jego wciąż narastał.
To przez plamy na tej lalce, przez okropne krwiste kleksy.
Wokół lalki kleksy także, a do tego większe jeszcze.
Wszystko w bladym, sztucznym świetle, które brzęczało złowieszczo.
I wszystko w piwnicznym chłodzie, który tam przeciągiem świszczął.
Chłopak rzeczywiście marzył tam, bo ktoś szybę w oknie zniszczył.
Przez okno szczerbate mroźny wiatr sam się do środka wpuszczał.
Jak nie liczyć martwej lalki, w środku było chyba pusto.

Poza krwią wokół rozlaną – było także względnie czysto.
Wszedł tam z pochyloną głową, sufit był tam bardzo nisko.
Deptał tam klapkami po szkle, kiedy był już lalki blisko.
W dziwnym stanie w tym mieszkaniu było chyba prawie wszystko.
Ale najdziwniejsza była pełna krwi głęboka miska.
Miska ta była na stole, a ktoś jakby krwią w nią tryskał.
W krwi pływały jak w rosole ze zbitej szyby odpryski.
Stąd może te krzyki nocne; to gnębionej Duszy piski?
Ale ta się darła zawsze, często słychać było wrzaski.
Może co noc ktoś ją gnębił, a tym razem dopadł właśnie?
Jakie лихо ją dosięgło? Nie sposób było wyjaśnić.
Może to zwykły przypadek zwyczajnej, ludzkiej napaści?
Lepsze by to chyba było od kolejnych mrocznych wieści.
Lepsze niż w sercu świadomość kolejnej niepewnej śmierci.
A cały się świat wydawał wokół tego tylko kręcić.
Jakby na ich życiach diabeł piekielne swe pokładł pięści.
Jakby chciał zgasić w nich ducha, oplatając coraz wężej.
Chciałoby się stamtąd uciec, na koniec świata popędzić.
Ale uciec się nie dało; zresztą... nie było pieniędzy.
On przecież nie skąpił sobie, kończąc na granicy nędzy.
Może taki już w nim Duch był, co ścigał nieszczęście wszędzie.
Może taki los jest biednych, niezależnie od ich chęci.
Choć rano, to ciemno było. Co to będzie, co to będzie?

MARTWA LALKA

Bardziej wymowne niż milczenie zmarłych jest milczenie zaginionych.

Jeden z Niepozornych Narkomanów wierzył w duchy. Drugi nie mógł uwierzyć w to, co zastał w mieszkaniu starej wariatki. Nie mógł uwierzyć, że znowu Zło zapukało do jego życia, żeby wedrzeć się w nie niewłaściwymi drzwiami, żeby porwać... niewłaściwą osobę? Zerknął na zachlapaną krwią, zimną lalkę, której zaginiona właścicielka pochodziła z jakichś gorących krajów. Oblał go chłodny pot, a potem przyszło mu do głowy, że może żył jeszcze tylko dlatego, że bronił go jakoś opiekuńczy duszek, anioł stróż. Zaczął nawet modlić się do tego obrońcy modlitwą, którą znał od małego. Nie skończył jej, albowiem jakieś nowe zjawisko zaraz mu przerwało. Był to stary kocur jego lokatora, który wskoczył do mieszkania schizofreniczki przez wybitą szybę. Czarny sierściuch miauczał głośno swoje herezje, jakby na złość paciorkom Niepozornego. Mężczyznę przeszły dreszcze i żałował, że nie miał pod ręką krzyża czy Biblii – jeśli sam widok tego nie odstraszyłby kota, to przynajmniej miałby go czym trzasnąć w skrzeczący łeb. Zwierzak w ogóle nie uszanował miejsca akcji czy zbrodni – łaził wszędzie, obwąchując zastygnięte plamy krwi. W końcu zaczął po nich deptać, chociaż z początku miał jakieś swoje kocie wątpliwości. Pokonywał kleks za kleksem, żeby dotrzeć do miski, z której zaczął cichutko i spokojnie siorbać juchę, najprawdopodobniej ludzką. Obojętna natura tego małego drapieżnika wywołała na twarzy Niepozornego Narkomana grymas obrzydzenia. Musiał przyznać, że to

wszystko nie było na jego nerwy, musiał się wycofać, zanim zacznie rzygać. Chciał wyjść z tej piwnicy, z tego popapranego świata, tak negatywnego i pełnego takiej obojętności, jaką przepełniony był ten chłepczący krew kocur. Nic dziwnego, że Bóg mieszkał w niebie, tutaj nie było miejsca na boskość. Nic podobnego – tylko brutalny żywot istot mniej i bardziej żywych, ale zawsze tak samo podle śmiertelnych. Całe życie było jedną wielką bracią, wiedzioną tymi samymi instynktami – wprost ku wiecznemu zatraceniu.

Zaprzątnięty tymi myślami, Niepozorny zostawił swojego czworonożnego kamrata, cofając się pod schody prowadzące do góry. Licznik jego wrażeń wybił poza skalę. Mężczyzna zaczął pluć na podłogę, walcząc ze sobą, żeby nie wydalić ustami treści swojego żołądka. We łbie miał bałagan i kręciło mu się w nim jak... jak w pralce. To skojarzenie trochę przejaśniło jego podenerwowany umysł – już przypomniawszy sobie, po co w ogóle zlął w te piekielne czeluści. Poszedł więc po pranie – niby jakby nigdy nic, żeby oczyścić myśli. Ale jego ręce drżały, a na wypranych ubraniach widział niepokojące wzory, głównie szkarłatne, jakby wszystko, wszystko wokół brudne było od krwi. Miał coraz większe, ogromne problemy z uspokojeniem się, przeciwnie do swojego pierwotnego zamiaru. Do pralni przyszedł za nim kot, gapiąc się na niego prześmiewczo i wyzywająco, szczerząc w leniwym uśmiechu umazaną straszliwie mordkę. Zbieranie prania zakończyło się porażką, nie było już różnicy, co robił Niepozorny – wszystko przywodziło mu na myśl pokój, z którego niedawno wyszedł. Chciał uciec i z pralni, w dodatku bez prania, ale między nim a wyjściem stał ten kot, jakby nie zamierzał go wypuścić.

W tym samym czasie jego pokojowa współlokatorka z wojennym nastawieniem schodziła piwnicznymi schodami, nijak nie pojmując, ile

czasu może komuś zejść na zebraniu durnych ciuchów. Została jednak w ich połowie, kiedy usłyszała głos Niepozornego, który wrzasnął:

– Wypierdalaj, powiedziałem!

Nie wiedziała, czy to było do niej, czy do kogo? Tak czy siak – oburzyła się niezmiernie, aż prawie się poślizgnęła, prawie z tych schodów zleciała. Nikt nie irytował jej jak ten człowiek, jakby mało miała problemów! Zbierała się w niej cała esencja emocji, które nagromadziły się w niej w ciągu ostatnich dni. Miała ochotę wrzeszczeć wziemiogłose, odpowiedzieć coś temu ćpunowi, ale przerwał jej kot, który prawie na nią wpadł, czmychając z piwnicy. Złość prędko ustąpiła miejsca odruchowym reakcjom lękowym – dziewczyna odskoczyła w bok, znowu prawie spadając ze schodów. Kiedy ochłonęła, zaczęła niewyraźnie mamrotać pod nosem wszelkie klątwy na tego idiotę, który przeganiał od siebie nawet takie milusińskie czterołapy. Sympatia, którą darzyła tego mężczyznę, zaczęła ustępować miejsca czemuś nieopisywalnemu, ale zgoła odwrotnemu.

Czarnowłosa nie posiadała tej strasznej wiedzy, którą nabył jej współlokator. W głowie deliberowała przede wszystkim nad losem swojego kochanego i znieawidzonego braciszka, mijając mieszkanie chorej na umyśle bez patrzenia w tamtą stronę. Nie wiedziała, co zastał tam Niepozorny, toteż w ogóle nie rozumiała przejęcia, którym ten był zdjęty. Niezdefiniowany lęk na jego lekko pucołowatej, włochatej gębie raczej ją rozbawił, niż wzbudził jej sympatię. Ten chciał zabrać się do opisanja jej tej całej grozy, ale dziewczyna pierwsza rzuciła w jego stronę kąśliwą uwagę:

– Nie może być, taki duży chłop wystraszył się małej kici?

Na to nedorzeczne pytanie mężczyzna obrzucił ją dość specyficznym spojrzeniem. Już wcześniej miał ją za swoiste indywiduum, ale żeby

reagować głupimi żartami w takiej sytuacji? Nawet on tego nie rozumiał, a żartownisiem był zapalonym.

- W ogóle cię to nie rusza?
- Mam być poruszona przez kota?
- Żadnego kota, co ty!
- To mów, głąbie, bo nie mam czasu!
- Nie widziałaś, co się stało w... tamtym miejscu?

I Niepozorny wskazał to miejsce – za jej plecami. Jego ręka drżała, a skierowana była w stronę nory, w której wegetowało szurnięte babsko. Albo mu odbiło, albo... Odwróciła się, żeby zobaczyć, że drzwi do mieszkania są otwarte, po czym spytała łamiącym się głosem:

- O-ona tam jest?

Odpowiedział jej tajemniczo:

- W tym rzecz, że jej tam nie ma...

Śmiertelna powaga w jego głosie sprawiła, że serce podeszło jej do gardła. Intuicja podpowiadała jej, że zaraz usłyszy o kolejnej makabrze. Powinna już chyba zacząć się do tego przyzwyczajać, nic innego nie spotykało jej na tej przeklętej wyspie. Gorzej trafić nie mogła...

– Chodź, sama zobaczysz... – Niepozorny ją minął, prosząc w duchu o wstawiennictwo wszystkich świętych, żeby nie zastać tam czegoś jeszcze bardziej przeklętego niż to, co już tam zastał... Dziewczyna chciała mu odmówić, ale posłusznie poszła za nim, nie była bowiem w stanie wyrzec słowa ni zaprotestować. Wszystko działo się za szybko, zachodziło za daleko... Dlaczego to musiało dotyczyć akurat ją? Nie potrafiła znaleźć na to żadnej sensownej odpowiedzi. Chociaż nasuwały się jej myśli, iż może to być na przykład kara za grzechy. Tylko za jakie, za czyje?

Pierwsze, co ją uderzyło, to smród – smród krwi, który dobrze już zapamiętała ze szpitala. A w drugiej chwili – nastąpiło w jej duszy światło –

promyczek nadziei, kiedy w końcu zobaczyła... Głośno wyznała przed współlokatorem, że ten widok ją ucieszył, chociaż oczywiście – i to przede wszystkim – przeraził. Wspomniała mu prędko o świetle w jej duszy i nadziei dla jej brata. On nie rozumiał, o czym mówiła dziewczyna ani jak ten przypadek w ogóle wiązał się z drugim Niepozornym Narkomanem. Gdzie istniał związek między jednym a drugim? Ten jednak w istocie istniał i był dla Czarnowłosej oczywisty. Morderca – anioł śmierci – mógł być dla jej brata aniołem zbawienia, jedyną drogą ku oczyszczeniu i wolności. Ten słoneczny przebłysk w jej wnętrzu pchnął ją do niezwłocznego działania. Złapała swojego towarzysza za rękę i pociągnęła za sobą, czego on w ogóle nie mógł pojąć. Ciemności w jego duchu dziewczyna rozwieje po drodze, drodze do szpitala...

NIEPOZORNY NARKOMAN

Pozory mylą, dopóki ktoś się z nimi nie zdradzi. Wówczas już tylko utwierdzają w przekonaniu.

Majstersztyk, którym jest nasz świat, to twór niepewny, niestały. I ludzie są w nim nietrwali, jako te kwiaty czy źdźbła na wietrze. Niezależnie od tego, jaką pędzą egzystencję, dokąd pędzą. Oni pędzili z nadzieją – Niepozorny Narkoman i jego współlokatorka. W świecie kruchych ciał i płynnych emocji, gdzie nic nie dało się udowodnić – ona znalazła swoją stałość. Swój środek. I było jej z tym dobrze, przynajmniej na razie. Wskakiwała po schodach wyżej i wyżej, zapominając o praniu i żyjąc niczym innym – tylko nadzieją. Jej towarzysz, ciągnięty za nią, zjednoczył się z nią w tym uniesieniu, chociaż wciąż go nie rozumiał. Ledwo łapał oddech, kiedy wylądowali z powrotem w swoim mieszkaniu, a ta już kazała mu się ubierać i wychodzić. Chciał zaprotestować, ale dała mu jasno do zrozumienia, że nie był to czas na żadne dyskusje. I cóż mógł na to poradzić? Żeby pozostać w jej duchowym mikrokosmosie, musiał wykonywać jej polecenia. Jeśli chciał zostać w jej małym świecie i zrozumieć jej ożywienie, musiał za nią podążać. Tak myślał, tak pragnął, a przede wszystkim – nie wyobrażał sobie zostać teraz sam. Więc trwał przy niej, kiedy ubierali się, kiedy ta mamrotała coś o swoim bracie.

Pierwsze, co usłyszał to, że idą do szpitala, do jej roboty. Ale zaraz przestał jej słuchać, kiedy pod nogi przypałała mu się ta piekielna istota. To tylko kot! – pomyślał, ale i tak prychnął na niego, próbując go

odstraszyć. Zwierzak chyba miał jeszcze kilka żyć w zanadru, bo w ogóle się o siebie nie bał ani nie przejął się zabiegami Narkomana. Ignorował go, wyglądając przy tym nawet bardziej rozumnie niż sam ignorowany, dwunożny olbrzym. W końcu poszedł dalej, kiedy dziewczyna, oburzona, że Niepozorny przestał jej słuchać, zwróciła mu uwagę. Kazała mu zostawić zwierzątko w spokoju i skupić się na tym, co było istotne. Na ludzkim życiu i śmierci, przede wszystkim na śmierci. Właściwie na śmierciach, tych ostatnich. Tych tajemniczych, o których trochę dyskutowali zeszłej nocy. Ale on dalej nie pojmował, do czego ta dążyła. Próbował, ale brakowało mu tej wiedzy, którą Czarnowłosa nabyła tego ranka, kiedy on zszedł po pranie. Wspomniała mu o człowieku, którego schwytała policja. O kreaturze, która zabijała. O niedystyngowanym potworze, który stał za wszystkimi zabójstwami, które wydarzyły się ostatnio na wyspie. O nieczułym kanibalu. O bezrozumnej bestii. O tym, co widziała na ten temat w wiadomościach. O pustym, zakrwawionym pokoju wariatki, którego nie widział jeszcze nikt poza ich dwójką. I zaczęła opisywać Niepozornemu mordercę... I wtedy niejasne zaczęło się powoli rozjaśniać... Zaczynał rozumieć, jaką kontrowersją okaże się fakt, że mimo rzekomego pojmania zbrodniarza, zbrodnie (najwyraźniej) nie ustały... Za jednym zamachem śledczy chcieli zamknąć wszystkie rozdziały tej mrocznej historii. Ale „biznes” wciąż się kręcił, ktoś lub coś wciąż zjadało bezdomnych. Ludzie w każdym razie nadal znikali. Prawdopodobnie policjanci zatrzymali byle kogo, jak zawsze. Z mistycznego opisu mordercy przedstawionego Niepozornemu Narkomanowi przez Czarnowłosą wychodziło na to, że sprawcą uznano... Niepozornego Narkomana...

DROGA DO SZPITALA

Takich, których się nie chce pamiętać – najłatwiej jest zapomnieć.

Teraz odnośnie do spraw niematerialnych: po drodze do szpitala do umysłu Niepozornego Narkomana wszedł duch, przypomniał mu się nagle. Gapił się na dziewczynę obok i nie widział jej. Szedł tuż obok, ale zachodził myślami tylko tam, do odległego parkingu, do niepokojących wizerunków, do niewygodnych wspomnień... Wolno płynął mu czas, wolno wędrowały myśli, a nogi niosły się same, chociaż trzęsły się, chociaż drżały. Kiedyś, w tamtym miejscu, zostawił dziewczynę z dziadem, teraz zostawił za sobą martwą lalkę i puste mieszkanie. Swoim pokraczonym krokiem pełzył dalej. Żył, poruszony tym tak dogłębnie, że aż, zdawałoby się, obojętny. Pojął już do pełnej cyrkumferencji, co chciała wpoić mu ciemnowłosa. Kiwał ze zrozumieniem głową, rozglądając się nieraz dookoła, jakby spodziewał się znaleźć albo ducha, który go nawiedzał, albo... ciało... wariatki? Chciał rozwikłać sprawę znikających ludzi, jak i chciał uniewinnić Niepozornego. Wokół miejsca jego zamieszkania musiały być jakieś wskazówki – i były. Były powszechne, przez całą drogę do szpitala, może dlatego takie niewyraźne. Wszechobecne plamki krwi, odłamki szkła, drobny bałagan na schodach, na chodniku, na trawniku. Ani razu przez całą drogę nie pomyślał, że powinni wezwać policję, a przecież był świadkiem zbrodni... znowu? Co wydarzyło się przedtem, co wydarzyło się teraz?

Niepozorny Narkoman nie był aniołem; czy jednak mógł być diabłem?

Na dworze, z zewnątrz, wybite okno wyglądało nie mniej widowiskowo. Wszędzie tylko szkło i krew, krew i szkło. Kto mógł tego dokonać? Mężczyzna czuł, jak nabierał dystansu do siebie i do każdego, we wszystkich widząc podejrzanych. Bo to przecież mógł być każdy – do tego zdolni są właśnie ludzie. Czy ktoś mówi prawdę, kiedy zarzeka się, że nigdy nikogo by nie zabił? Jakaś istota zabijała, zjadała, w najbardziej bestialski sposób – po ludzku, nieporządnie i tak obrzydliwie, bo nie wiadomo – czy przeciw naturze czy... tak z nią w zgodzie? Do Niepozornego Narkomana przychodził duch i pytał go, czy łatwiej jest zjeść czy zgwałcić, czy żyć ze świadomością, czy umrzeć z nią już na zawsze?

Szli w podksiężycowy, mroźny dzień, kiedy słońce leniło się ze wstawaniem. Po drodze kolejne rzeczy wskazywały na obecność zła, tak wydawało się Niepozornemu Narkomanowi. Szli ku chwale sprawiedliwości, o którą chcieli zawalczyć, szli po niewyraźnych śladach masakry, o której tak mało wiedzieli... A i tak o wszystkim jakby głównie oni... Czy o wszystkim powiedzą, komu należało? Kto z zewnątrz uwierzy w to wszystko – i to z takiej perspektywy? Zaplątane w to najbardziej osoby już były dziwne. Bezdomne kreatury, nie tylko zresztą. Krew dziwadeł była daniną dla sił zła, które atakowały najsłabsze ogniwa – tak to w praktyce wyglądało. Ludzie z „innego świata”, z innej Islandii – czytali o tym, żyli tym, ale od tego nie umierali, nie byli zjadani. Czy był w tym jakiś sens? Może takich ludzi łatwiej było pożerać? Może mniej ich było szkoda? Zaniedbani, o których nikt nie dbał – może takich było najłatwiej dopaść? Takich, których się nie chce pamiętać – najłatwiej jest zapomnieć. Po co prowokować rodziny czy społeczności, kiedy można „wrywać chwasty” ze społecznościowych marginesów? Kogo bardziej się żałuje – ojca rodziny czy menela, dziecka czy bezdomnego? Co niszczałe, tego niech nie naprawia, niech odejdzie z tym precz i zabierze w diabli.

Oto był jeden świat, w którym drogi niektórych ludzi nierzadko się nie krzyżowały. Oto był świat tych wierzących w zbrodnie opisywane w gazetach i świat tych, którzy nie mogli w nie uwierzyć, bo działały się za blisko...

Na przykład Niepozorny Narkoman w drodze do szpitala szedł coś udowodnić jednemu z tych światów. Wiecznie wplątany w akcje, które nie pozwalały jego psychice dobrze podzielić ich na prawdziwe i... i na te prawdziwsze. Ciągłe w jakichś tarapatach, wciągający się w kłopoty pod pretekstem wyciągania z nich innych. Niejedni pytali go:

– Po co to, na co to?

Nie umiał wyjaśnić – tak jak bezdomni nie umieli każdemu wyjaśnić swojej bezdomności. Albo było się tym, który rozumiał zawsze, albo nie rozumiał nigdy. Najgorzej było trafić gdzieś pomiędzy – to nie prowadziło ani w górę, ani w dół, tylko toczyło się w miejscu, przez lata, tą samą drogą. I teraz to była droga do szpitala.

Coś szło tą drogą, nie tylko Niepozorny Narkoman. Nie chodziło o tę pieszą, która nadchodziła z przeciwnej strony; coś szło tą drogą wcześniej. Ciarki od tego czegoś przechodziły Niepozornemu po skórze. Istniało coś, co porywało ludzi, być może ich pożerało, a on stąpał po tego świeżych śladach... Jak różny od niego był morderca, jak różny od Niepozornego Narkomana? Czy zdolność do zabójstwa nie była śmiertelną boskością – jak w tej zbrodni czy karze? Kto to miał oceniać i na jakiej podstawie? Czy ten, kto zjadał inne istoty, nie udowodniał swojej wyższości nad nimi? A może przeciwnie – ofiara zostaje uświęcona? Poświęcając się w dobrej wierze, można zostać kimś, tak mówią. A czym można zostać, kiedy pożre nas bestia, jeśli nie jej życiową esencją?

DROGA DO SZPITALA

Takich, których się nie chce pamiętać – najtrudniej jest zapomnieć.

A teraz odnośnie do tej samej sprawy: po drodze do szpitala zmysły Niepozornego Narkomana zmałyły jego ducha, dobijając go nagle. Czuł innego ducha – zaginionej dziewczyny – tuż obok... i nie widział jej. Szła tuż obok niego, zachodząc mu w myśli jak tam, na odległym parkingu, niepokojąc go nocami i niewygodnymi wspomnieniami... Nie wiedział, jak wolno płynął mu czas ani dokąd wędrowały myśli, kiedy nogi niosły się same, drżące i roztrzęsione. Kiedyś, w pewnym miejscu, napotkał dziewczynę jak diablę, teraz uciekał przed duchem jej i jej dziada. Swoim pokraczonym krokiem pełzył dalej. Ledwo żył, obojętny i jakby zupełnie nieporuszony tym, co mu zarzucano. Nie pojmował tego cyrkumferencją swojej świadomości. Nie rozumiał świata wokół, rozglądając się w nim dookoła, jakby spodziewał się znaleźć kogoś, kto go wysłucha albo... kogoś, kto... za tym wszystkim stał? Nie chciał rozwikłać sprawy znikających ludzi, chciał się uspokoić, uniewinnić... Szedł do miejsca zamieszkania Niepozornego Narkomana, do swojej ciemnowłosej siostry – po wskazówki. Przez całą drogę do szpitala natrafiał na różne, malujące mu się niewyraźnie ślady. Wszechobecne były plamki krwi, odłamki szkła, drobny bałagan na chodniku, na trawniku, w końcu na schodach przed mieszkaniem. Na miejscu była też policja, rozkładali wszędzie taśmy i rozmawiali ze świadkami... zbrodni. Znowu? Co wydarzyło się przedtem, co działo się teraz?

Niepozorny Narkoman nie był diabłem. Może to chcą udowodnić te umundurowane anioły? Stał z boku, obserwując z zewnątrz wybite okno i całe to inwestygacyjne widowisko. Wszędzie tylko szkło i krew, krew i szkło. Kto mógł tego dokonać? Mężczyzna spoglądał na wszystko z dystansu, bał się, że znowu ktoś zobaczy w nim podejrzanego. Bo to przecież mógł być on – był do tego zdolny, jak i wielu innych ludzi. Czy mówił prawdę, kiedy zarzekał się, że nigdy nikogo by nie zabił? Wszyscy zabijali, wszyscy zjadali, w najbardziej bestialski sposób – po ludzku, nieporządnie i tak obrzydliwie, bo nie wiadomo – czy przeciw naturze, czy... tak z nią w zgodzie? Do Niepozornego Narkomana dochodziło w duchu to, o co go oskarżano, i słyszał powtarzane w głowie pytania: czy chciał zjeść, czy zgwałcić, czy był świadomy, że ten ktoś był już martwy? Szedł w podksiężycowy, mroźny dzień, wstał długo przed leniwym słońcem. Po drodze kolejne rzeczy przypominały mu zło, jakiego podobno sam dokonał. Szedł, uciekając przed sprawiedliwością, którą chcieli mu narzucić, wspominał niewyraźne ślady masakry, z której tak mało zapamiętał... Dlaczego o wszystko inne też oskarżali głównie jego? Komu miał powiedzieć o tym, co się stało? Nikt z zewnątrz nie uwierzy w to wszystko – albo nikt nie zechce z jego perspektywy. Był przecież w to wszystko zaplątany. Bezdomna kreatura, nie tylko zresztą. Dziwadło w siłach zła, którym opętany atakował wtedy, kiedy był najsłabszy – tak to w praktyce wyglądało. Inni z „ludzkiego świata”, z „ludzkiej” Islandii – czy mieli o nim pojęcie, czy żyli nim, czy umierali w spokoju z dala od niego, zawsze spełnieni i najedzeni? Czy w ich świecie Niepozorny Narkoman miał jakiś sens? Takich ludzi nikt nie pożerał, więc może ich było bardziej szkoda? Tylko zaniedbanych, którzy sami ledwo o sobie dbali, których łatwo było dopaść, bo nie mieli gdzie się podziać. Takich, których nie chce się pamiętać, a najtrudniej jest zapomnieć. Raczej wyrzutków spośród

rodzin czy społeczności, może chwasty społecznościowych marginesów? Takich się nie żałuje – ojciec rodziny, który został menelem, samotny dzieciak, który wyrósł na bezdomnego. Co zniszczałe, tego niech nie naprawia, niech odejdzie z tym precz i zabierze w diabli.

Oto był świat, w którym drogi mniej ważnych ludzi nierzadko się uciwały. Oto był świat tych śledzących zbrodnie w wygodnych fotelach, w sieciowych gazetach oraz koniec świata tym, którzy się kręcili za blisko dna...

Jak Niepozorny Narkoman na drodze do szpitala; jego kolejni znajomi musieli trafić już do zaświatów. Na ile sam był wplątany w tę akcję, której składowych nie mógł dobrze podzielić na prawdziwe i na te prawdziwsze? To nie był koniec jego tarapatów, czuł kłopoty, które ciągnęły ku niemu i innym. I skąd to, na co to, po co? Nie umiał wyjaśnić – tak jak nie umiał wyjaśnić nikomu swojej bezdomności. Albo który rozumiał to zawsze, albo nie rozumiał nigdy. Ale z tą sprawą było gorzej – utykało się gdzieś pomiędzy, nie wiedząc, czy posuwało się choć o krok w górę czy chociaż w dół, czy może toczyło się w miejscu, w pułapce, w błędnej drodze bez powrotu. W drodze... do szpitala?

Coś być może szło tą drogą, nie tylko Niepozorny Narkoman. Coś przeciwnego jemu, jego życiu, coś, co napotkał na swej drodze już wcześniej. Ciarki od tego czegoś przechodziły Niepozornemu po skórze. Istniało coś, co porywało ludzi, pożerało ich – a on nosił w sobie tego ślady, świeże ślady... Czy w ogóle różnił się od mordercy? Jak różny był od potwora? Czy oskarżony o zabójstwo został już śmiertelnie boski? Czy popełnił zbrodnię, czy tylko karał? Jak to miał oceniać, na jakiej podstawie? Czy znowu ktoś zjadł kolejną istotę, udowadniając swoją wyższość nad całym zespołem śledczych? Kim była kolejna ofiara? Podśledzał

zebranych – mówili coś o jakiejś wariatce... Nie chodziło chyba o jego siostrę?

KRZYWOGĘBY

We śnie prześladować może widmo człowieka, którego jeden jedyny raz się spotkało gdzieś na ścieżce swego losu. W setkach koszmarów, bo tak zapisał się w pamięci.

Zamknięty w ścianach swego ciała, Niepozorny nie istniał w czterech ścianach szpitala. Trudno było określić, czy w ogóle został tam uwięziony. Nic nie dało się ustalić ze szpitalnym personelem. Narkoman jakby obrócił się w popiół i został zdmuchnięty z dymem – po prostu zniknął. Brakowało jego ciała w czterech ścianach szpitala. Gdyby tylko siostra zguby nie zaczynała właśnie zmiany! Może ona wydarłaby prawdę z rąk, dokumentów czy umysłów pracowników. Innego wyjścia drugi Niepozorny Narkoman nie widział. Nikt nie chciał udzielić mu informacji, więc wyszedł rozeźlony z budynku, zapalił zioło. Czuł, jak Maria trawiła jego mózg, uspokajając niedowładne nerwy. Przez to wszystko zapominał ostatnio o swoich kochanych nałogach, o sobie!

Nie wiedział, co dalej, ale palił z ulgą. Zaczął krążyć wokół śmietnika na kiepy, dopóki nie nadepnął na, jak z obrzydzeniem zauważył, nadpsutego zęba. Zaczął się mu przyglądać ze wstrętem, zastanawiając się, czy kanibalom te wypadają częściej niż innym. Jak można w ogóle odróżnić takiego pożeracza ciał? Co szczególnego mieli w sobie ludzie, którzy zjadali ludzi? Pomyślał to o wypadaniu zębów, to znowu o gębie Krzywogębego, która była jakby alegorią antropofagii. Może mordą ten facet pasował do ludożercy, ale czy prawdą mogło być, żeby to był on?

Albo drugi Niepozorny Narkoman – czy chuchro o powykręcanych ciele wyglądało na krwiożerczego zabójcę? Owszem, nawet jego wychudzony ryj był właściwie parszywy, a jednak ten Niepozorny wątpił w winę tamtego Niepozornego. Widziało się zaskakujące ramy tych wszystkich włóczęgów i wręcz chciało się, żeby oni byli winni. Kto wyglądał, jakby wylazł z wrogiego, piekielnego okopu – najlepiej, żeby już był tym potworem. Łatwiej się wtedy go nienawidziło, łatwiej podpisywało wyrok i sądziło, skazując takiego wraz z jego brzydotą na wieczne potępienie. Łatwiej było usprawiedliwić siebie i niechęć, jaką się czuło wobec takich półludzi...

Naprawdę nie wiedział, co dalej. Gdzieś usłyszał głos, który go wołał, całkiem dosłownie. Usłyszał swoje imię i jego dusza zatoczyła metempsychozę, reagując na znajome zawołanie, znajomy ton... Z początku zdało mu się to niemożliwe i rozejrzał się półprzytomnie wokół. Jego dusza i świadomość migrowały w ślad za jego spojrzeniem, nie odnajdując zrazu źródła głosu. Ale ktoś jeszcze raz go zawołał, nakierowując ku sobie prostym:

– Tutaj!

Tym „tutaj” był balkon. Na najniższym piętrze, niedaleko. Głos był jak najbardziej prawdziwy, ale balkon pusty. Niepozorny szukał wzrokiem ludzkiej bestii, aż w końcu wypatrył jej sylwetkę. Figura wyglądała jak śmierć, a czaiła się w oknie, za opuszczonymi, tandetnymi żaluzjami. Skąd akurat on wziął się akurat tam? Zmaterializował się? Pełno sprzeczności rodziło się w głowie Narkomana, kiedy pomyślał o zepsutym brzydału, o którym słuch niedawno zaginął. Krzywogęby, który czasem wydawał się w ogóle nie istnieć. Widać śmierć i jego ominęła, a los zamknął na oddziale psychiatrycznym. Jakim cudem ten oprych wypatrył go akurat tu, kiedy ten o nim pomyślał? Znowu nie chciało się wierzyć w jego egzystencję,

w mrożące krew wyczucie, z którym pojawiał się i znikał, zostawiając po sobie ślady w myślach... Ciekawe, dlaczego go zamknęli i czy kiedykolwiek go stamtąd wypuszczą...

Dziwak śmiał się jak opętany, prosząc teraz Narkomana o papierosy. Niepozorny wyobrażał sobie nieprzyjemną aparycję Krzywogębego i jego drapieżne odruchy. Jak taka osoba mogła przetrwać w zamknięciu? Niespokojny niczym diabli, musiał pewnie być czymś nafaszerowany, żeby nie zrobić krzywdy sobie i wszystkim wokół. Jego złośliwy śmiech rozbrzmiał jeszcze hałaśliwiej, kiedy Niepozorny wdrapał się na balkon i podał mu przez szparę w oknie dwa papierosy. Krew na tę radość zastygała... Było coś nikczemnego w satysfakcji tego osobnika. Nie zarażał on swoim szczęściem innych, raczej zaszczepiał w nich niepokój. Wkradał się w serce i ścisnął je, jakby... jakby chciał je pożreć... Jakby był bezzębnym, Krzywogębym zombie, który właśnie wyszedł głodny z grobu. Zawsze samotny – czy czuł się taki teraz? Jak często miał okazję porozmawiać z ludźmi z zewnątrz, ktoś go w ogóle odwiedzał? Niepozorny Narkoman podejrzewał, że takie ośrodki były dla wielu żywymi cmentarzami, gdzie ludzie zaglądali, jak przycisnęło ich sumienie i obowiązek wobec bliskich. Krzywogęby musiał być tu zaszufadkowany jak szczątki w kostnicy, których nie potrafi się zidentyfikować. Nie miał tu nikogo, a z kościoła włóczęgów i kręgu biedy, w jakim się obracał, nikomu raczej nie przyszłoby do głowy wpaść z wizytą do szajbusa w psychiatryku. Niepozorny zapytał go o sypialnię, jedzenie i inne pierdoły. Nawet go nie słuchał, a po paru chwilach uciekł przed tym diabłem, ciesząc się, że tamten nie mógł pójść za nim, zamknięty za kratami wariatkowa...

W ZIEMI UMARŁYCH

Adam, quid fecisti, Adam?

Co nim zawładnęło, że zrobił coś takiego?! Człowieku, *quid fecisti* człowiekowi?

Nie był ściśle powiązany z całym tym zamieszaniem, ale podobno spróbował człowieka! Należał do wąskiego grona osób, które przekroczyły tę granicę, świadomie czy nie... Ale nie zabił, nie pozbawił życia, nie pamiętał tego. Pamiętał własne konwulsje i wstrząsy, i wydawało mu się, że pamiętał jeszcze ją, bladą i prawdziwą jak śmierć... Strach, horror mieszały się z obrzydzeniem, wymiotami, niekontrolowanymi wybuchami radości. Pamiętał czyjeś wnętrzności, pamiętał krew, pamiętał krew na jej bladej skórze – ale nie wspomniał o niej. A może mówił im, że ją widział? Obudził się w szpitalu, pamiętał szkielet, który nie był prawdziwy. Pamiętał zwłoki i oślepiające światło, zanim zasnął. I szedł teraz tam, gdzie zwłoki, jak jakaś bestyja, jak jakaś vespija. Ponury jak grabarz, jak kosiarz – błąkał się w stronę cmentarza. Czuł, że wiedział w tej sprawie więcej niż wszyscy, a jednocześnie czuł się taki głupi! Jak śmiertelnik z mózgiem przesiąkniętym jadem trupim. Przeżył te wszystkie okropności i nawet go wypuścili – ale czuł się martwy, czuł się inny. Popadł w pewne ekstremum psychiczne, które kontemplował na okrągło w błędnym szale, nie potrafiąc dojść do żadnych wniosków. Nie odważył się pomyśleć, że to był szok i zjazd, że był za czysty, żeby myśleć trzeźwo. I biegł tak bezmyślnie na

cmentarz, jak zdeterminowany chrześcijanin, uciekając tak naprawdę przed zmorami ze wszystkich jego wczoraj.

Uciekał przed rodzicami, których nienawidził, a których nie widział już lata. Uciekał przed diabłem, który dzielił z nim dziś szpital, a którego nie mógł znieść. Przybiegł na cmentarz, bo już nie bał się martwych ludzi, bo przerażali go tylko żywi. Kiedy ich spotykał, nie wiedział – czy sam jest nieprawdziwy, czy to oni nigdy się nie wydarzyli? Ledwo teraz łapał powietrze na cmentarzu, a jeszcze próbował je wstrzymać, jakby chcąc sprawdzić może, czy nie zniknie albo czy się chociaż nie udusi... Żegnał się ze sobą w myślach, krztusił, siniał – i w końcu nabierał powietrza, choć jako jeden z niewielu na cmentarzu. Chciał poczuć się nikim przez moment – a potrafił tylko czuć się gorzej... Oddychał wciąż tym samym powietrzem, w którym jawiła mu się dzisiaj kolejna zmora. Nie potrafił przestać...

Uciekał dalej, zataczając po cmentarzu kółka, nie mogąc uwolnić się od wstrętnego widoku. Wiedział, że to, co robił, nie było rozsądne, czuł, że nikt go nie śledził, a i tak czał się i czmychał – z jednego końca uświęconej ziemi na drugi. W końcu potknął się o kawałek jakiegoś grobu, wpadając na drugi. Grzmotnął w wygrawerowany w nagrobku napis informujący o śmierci, zalał ten napis krwią ze swojego łuku brwiowego. Żeby było jeszcze żałośniej, stłukł stare okulary, które wpadły gdzieś w ten mały, grobowy ogródeczek, porośnięty trawskiem. Miał nadzieję prędko je znaleźć, zaczął więc macać ziemię pod sobą, czując, jak jucha już zalewała mu oko i tym bardziej utrudniała widzenie. Wciąż oddychał ciężko, już nie tylko zmęczony i poschizowany, a także rozeźlony, kiedy pierwsze jego wysiłki okazały się próżne. Obwinił tego diabła, wzywając go, żeby ukazał mu się teraz i zabił go, nawet trochę tego pragnął, coraz bardziej zdołowany swoją beznadziejnością. Przeżył już w życiu takie gówniane chwile, że

gdyby pojawił się teraz przed nim taki Krzywogęby czy inny potwór, sam rzuciłby mu się do paszczy, żeby zostać pożartym. Czuł się taki nikczemny, jeszcze teraz, grzebiąc się sam w cmentarnej ziemi, jakby chciał dokopać się do leżących w niej trupów i udawać przed nimi zombie ze świata żywych. Wciąż utrzymywał, że znajdzie okulary, tylko dlaczego przebierał łapskami grudy ziemi? Chyba nie do końca nad tym myślał, chyba po to, żeby natrafić w tej zimnej, brunatnej glebie na coś innego. Otóż wykopał zaraz przypadkiem pewne znalezisko – bardzo ludzkie, ale niespecjalnie doniosłe. Uścisnął w palcach małe coś, podstawił sobie pod nos, z którego skapywały w ziemię pot i krew. Zrozumiał, że ma w ręku kość, a właściwie zęba, nad którym najpierw się ponuro zamyślił, a przez który zaraz zamarł... Miał wrażenie, że znał tego zęba, że znał człowieka, do którego ten należał. Z przerażeniem podejrzewał, że to on był tym człowiekiem i właśnie wykopał kawałek siebie z grobu... Z tego wszystkiego zakręciło mu się w głowie i drugą dłoń oparł o... swoje potłuczone okulary. Wziął je w rękę, obejrzał. Tylko jeden okular był poszarpany, mogło być gorzej.

Przystawił szkiełka do oczu i przeczytał napis na nagrobku, w który przyrznął, żeby poczuć się jak poganin bezczeszczący swoje własne pomniki i bożki. Jednocześnie zdumiał się i wystraszył, nie trafił bowiem pod byle jaki grób. Jakby uciekał specjalnie do niego – do mogiły zmarłego, z którym wymyślił sobie kiedyś fikcyjną więź. Lubił wierzyć, że tamten żył teraz w nim, dopóki nie przyszedł na cmentarz pewnego razu z Krzywogębą... I z beznadziejną trwogą przypomniał sobie, jak tamten „zasadził” wówczas jego zęba w ziemi umarłych...

MŁODE CIAŁA NA STARYM CMENTARZU

Łączyła was dusza, połączy was też ciało.

„Zmarł w wieku 30 lat”.

Niepozorny miał właśnie tyle, ale nie czuł się w sile wieku. Liczył się z tym, że długo już nie pociągnie; podejrzewał się o różne, panujące teraz wszędzie choroby, które skutecznie mu w tym pomogą. Nie chciał być starszy, czasem próbował nawet sobie wmówić, że wystarczy mu już życia, że pora była na samobójstwo. Kiedyś już siostrze wspomniał, że nie chce żyć. Że nie chce się poruszać. Że nie chce być. Że nie chce podejmować żadnych akcji. Nie tylko jej to powtarzał. Zwykle złośliwie, bo w takich chwilach jak ta czuł, że jednak coś się w nim tliło i nie miał odwagi tego zgasić... Najprawdziwsza groza potrafiła nieraz zamroczyć zmysły albo... przywołać do rozsądku. Jakby strach był mu teraz matką i karmił go za bzdurne myśli o samounicestwieniu. Ale nie teraz, teraz strach raził go chaosem, chaosem w tym nieskładnym chaosie wokół. Czuł się, jakby spał i chciał powstać spomiędzy tych grobów, wybudzić się, może nawet nie jako Niepozorny Narkoman, ale jako „zmarły w wieku 30 lat”.

Może w tamtym innym świecie miał lżej, nie był śmierdzącym bezdomnym, który przychodził na cmentarz, kiedy nie miał dokąd. Może w tamtym świecie, kiedy umierał, wchodząc w trzydziestkę, odchodził jako odznaczony, spełniony człowiek, który czegoś dokonał i za którym ktokolwiek będzie tęsknić. Ten niejasny świat zdał mu się spalony – godny tego, żeby wszyscy zostali w nim pożarci bez skrpułów przez siebie

nawzajem. W tym krótkim czasie, jakim jest ludzka egzystencja, większość i tak tylko się plugawi jak te pluskwy, obżerające się zwłokami w czarnej glebie po wszystkich cmentarzach tej starej planety. Niech księżyc zagaśnie wszystkim, niech nastanie noc czarna – trwająca już zawsze – w brzuszyskach pożeraczy ludzi. Niech pożrą wszystkich ich bracia, potworne istoty, które wychowywały się ze swoimi ofiarami pod jednym dachem. Ludzkość i tak jest bez życia, wszyscy toczą się jak bezdomni po ulicach. Ludzkość i tak już nic nie czuje, poza zimnem technologii i morowym wiatrem, którym ciągle się wszystkich zastrasza. Ludzkość i tak już nie rozumie, że życie najbardziej warte jest przeżycia, a nie przepracowania czy przeboleń. Ludzkość już nie ma siły na podejmowanie akcji, wszyscy tylko udają jakieś manifestacje, zapominając nadać im prawdziwe znaczenie. Nie było lepszej okazji, niż pożreć ich wszystkich teraz, a jednak ludzkość dalej trwała, trwała w cholerę. Zakorzeniła się na ziemi, tej ziemi, i wysysała ją, nie poddając się nawet najbrutalniejszym wojnom czy najzaraźliwszym chorobom. Należała do niej scena świata, którą przez dzieje sumiennie zaniechano. Może dlatego narodziła się tutaj bestia, która pożerała? Może to następstwo miliardów ludzkich akcji, które doprowadziły do kolejnych wynaturzeń? Może wszyscy byli częścią tej wielkiej potwory, przykładając się w jakiś niejasny sposób do zjadania bezdomnych? Może to było dopełnienie starych prorocत्व, które dotykało najpierw tych prostych, maluczkich? Może drugorzędne istoty zostały tak haniebnie pożerane w tym świecie, żeby dostąpić zbawienia tam, na łonie Odyna? Tak jakby Niepozorny Narkoman w ogóle w to wierzył... Wierzył w duszę i w zgniliznę ciała, w coś, co zjada bezdomnych, Krzywogębego, duchy i zjebane przeznaczenie. I wierzył, że świat, który zastał, był ostatnim, do którego pasował. To nie to, marnował się tutaj i marnował ten świat – jak każdy prawdziwy bezdomny. Tak jak

oni – nigdy nie odnalazł tu swojego miejsca, pewnie zabraknie mu go nawet na cmentarzu. Nie każdy ma swoje „ubi”, niektórych nigdzie się nie chce, niektórych nigdzie się nie lubi.

Nie każdy się w tym rozeznawał, ale Niepozorny Narkoman aż za dobrze. Dlatego uniósł się egzaltacją, kiedy ktoś nie ominął go obojętnie na cmentarzu i zapytał, czy nic mu nie jest. Na początku w ogóle nie był pewien, czy ktoś cokolwiek mówił, bo nauczył się już nie wierzyć swoim zmysłom, nie podniósł więc nawet głowy. Zaraz jego wiara znalazła potwierdzenie w czynie, który pochodził ze źródła głosu – ktoś właśnie pomagał mu wstać. Przez zniszczone okulary i rażąco trzeźwe zmysły Niepozorny widział niejasno, ale jego zbawiciel wydawał się stosunkowo młody. I nie był sam – stało z nim kilka innych młodych ciał.

– Jak mnie tu znaleźliście?

– Skręciliśmy tu, jak skręciliśmy skręta, przypadkiem.

– Dobrze zrobiliście, dacie zapalić?

– Pal, nie zastanawiaj się!

– To jest coś, dobry buch!

Niepozorny Narkoman kojarzył już tych młodych ludzi, odkrył jednak teraz, że warto się było z nimi zadawać – dali mu zapalić i dali mu na chwilę zapomnieć o całym dziwactwie, które przed chwilą roiło się w jego biednej głowie i poza nią...

BRAK BRATA

Nieważne, jak się starało – jak się zawodzi, to zawsze tak samo.

Niepozorny Narkoman wstydził się, że zawiódł swoją współlokatorkę. Nie było też mowy o tym, by ją teraz uspokoić. Trochę od niego młodsza, dziewczyna skakała do niego jak do równego sobie. Przywędrowała do niego zaraz po pracy, z której wypuszczono ją dziś wcześniej. Umówił się z nią gdzieś w publicznym miejscu, gdzie znieważała go właśnie za jego porażkę. Nie była to wzmacniająca krytyka czy konstruktywne wytykanie błędów, skądże! Niepozorny skromnie znosił irytację i gniew, który wyładowywała na nim Czarnowłosa. Te jej wybuchy to, jak się okazywało, nie była rzadkość, coś łączyło ją z bratem. I, prawdę mówiąc, to odpychało trochę współlokatora od jej osoby. Nie chodziło o to, że się bał dziewczyny, bardziej niepokoiła go jej postawa, którą też nie do końca rozumiał. Tą postawą i obelgami potrafiła go zawstydzić, ale nie złamać. Natura tego Narkomana, z natury wrażliwa, też niezgorzej znała się na złościwości, przez co niełatwo było okryć go peleryną hańby. Odpowiadał więc jej nie mniej szpetnym językiem niż jej własny. Klócili się jak mąż z żoną albo psychopatka z socjopatą. Prawie do siebie startowali; a co było przyczyną?

Dziwna ta bestia – w szpitalu na swoim miejscu nieobecna – Niepozorny Narkoman, ten drugi. I druga bestia, która, jak ten tutaj Niepozorny Narkoman zarzekał się, zerowała teraz po psychiatryku – Krzywogęby.

Wiadomość, że mężczyzna nie odnalazł drugiego, a drugi go odnalazł – wywołała istną burzę. Ona potwierdziła, że także nie napotkała brata – co tłumaczyła brakiem czasu. Zaprzeczyła jednak, żeby gdzieś tam był Krzywogęby – nie umknąłby jej niezauważony, jeżeli jej współlokator dobrze opisał jej miejsce, z którego ten ponoć go nawoływał. Zwróciła przy tym uwagę, że marny był z jej towarzysza świadek i pomocnik – był wyraźnie naćpany, co bezlitośnie też mu wytknęła! Zastanawiała się głośno (stanowczo za głośno), gdzie niby mógł być jej brat, jeśli nie w szpitalu, skoro tak podają wszystkie pierdolone wiadomości! Popłakała się z nerwów, szarpiąc półprzytomnego ćpuna za rozpiętą kurtkę. Próżno było takiemu dzbanowi prawić jakiegokolwiek wykłady, a także najwyraźniej zlecać jakiegokolwiek zadania – był do niczego! Miała go dość. Tego było już za wiele!

Sama miała wrócić się do szpitala, do części, gdzie powinna odnaleźć niepoczytalnego członka swojej rodziny. Zapytała jeszcze patałacha o policję, ale ten nie zrozumiał, że rozchodziło się o piwnicę pod ich mieszkaniem, i tylko się wystraszył, wybałuszając na nią gały. Widząc ten strach, zamiast wyprowadzić jego myśli na prostą, kazała mu strzec się policji i nie tylko, i żałować za swoje bezbożne uczynki. Dopiero znowu depcząc jego umysł jak robaka, poczuła się lepiej i przestała płakać; wtedy też rozeszli się.

KRUK (POKOJOWE SPACERY)

Umiera się i nie wiadomo, co dalej – oto, co pewne jest po śmierci.

Poszukiwania brata okazały się, jak dotąd, bezowocne. Gdzieś był, gdzieś musiał być; tylko gdzie? Jego siostra niezwykle to wszystko przeżywała, pędząc do domu, skłócona ze swoim współlokatorem. Szkoda, że ze wszystkich meneli akurat tego idiotę śmierć łaskawie omijała!

Tak, błędem było prosić Niepozornych Narkomanów nawet o proste przysługi, w ogóle facetów! Żaden z nich nie był wart ni godzien litości. Jeden tym samym mógł choćby przepaść, ale drugi... ciągle był jej bratem – i już na zawsze zostanie... Martwiła się teraz o niego bez przerwy, zbliżając się do swojego domostwa. Ktoś, najpewniej policja, musiał się już tam rozejrzeć. Ale dziewczyna nie łudziła się, żeby gliniarze podeszli do sprawy ambitnie, a jeśli nawet – mogło to nie wystarczyć, żeby nadrobić inne braki, zawsze towarzyszące głąbom w niebieskich mundurach. Czarnowłosa widziała wszędzie podeptaną trawę, bujające się z wiatrem taśmy z miejsca ewidencji czy zabezpieczone ślady zbrodni – i pragnęła tylko zamknąć oczy, żeby otworzywszy je, przekonać się, że to wszystko to tylko jakiś urojony fałsz.

Wchodząc do mieszkania, zastanawiała się nawet, czy śmierć nie przyniosłaby jej upragnionej ulgi, ale pewności nie miała. Nikt nie powiedział, że monumentalne problemy skończą się wraz z żywotem, nikt nawet nie dawał gwarancji, że człowiek uwolni się od tych małych. Różne historie, różne tradycje podawały różne opcje, wszystkie siebie warte – od

wyłącznego zgnicia w glebie, przez prażenie się w piekle czy odradzanie jako kwiatki czy żuczki na łące – bo wszystkie były jednakowo pewne. „Zmarła i nie wiadomo, co z nią dalej” – takie powinna mieć epitafium chociażby ta wariatka z dołu, nieważne, czy i jak zdechła. Dziewczyna rozmyślała dalej o swoim zgonie, rozbierając się w swoim pokoju i, kiedy była już półnaga, ktoś zapukał do jej drzwi.

– Już, chwila! – zawołała ze słyszalnym niezadowoleniem.

Jeśli ktokolwiek chciał wejść do jej pokoju bez pytania, to najlepiej by było, żeby miał już spisany testament, serio. Czarnowłosa nikomu nie pozwalała oglądać się od pasa w górę, poza naprawdę, naprawdę bliskimi jej osobami.

Pukanie powtórzyło się, więc, zasłoniwszy się bluzką, podeszła do drzwi i odkryła je przed, jak się okazało, Paradís. Ta w rękach trzymała dzieciątko o grobowej cerze – lalkę z piwnicy... Porcelanowa dziewczynka wyglądała jak niepogrzebane zwłoki, które jej lokatorka... uznała za jej własność.

Przyznała, że znaleźli to z chłopakiem pod drzwiami swojego pokoju i sądzili, że może należeć do niej lub Niepozornego Narkomana. Czarnowłosa nie była naiwna i nie chciała przyjąć do swojego pokoju przerażającej zabawki, więc grzecznie próbowała spławić „koleżankę”, dopóki zza pleców Islandki nie wychynął chłopak tamtej. Zobaczywszy skrawek bladej skóry, zaraz podszedł bliżej, a speszona dziewczyna wzięła prędko lalkę od Paradís, warcząc krótkie:

– Dawaj to! – I zniknęła w swoim pokoju.

Nim odłożyła przedmiot w pierwsze lepsze miejsce, zauważyła na parapecie wielkiego, czarnego kruka, który przyglądał się jej zza szyby. Ten stuknął dziobem w szkło, krusząc je, a następnie odleciał, a zaraz przezroczą powierzchnię zalały łzy nadchodzącego sztormu.

W różne rzeczy wierzyła Czarnowłosa, od astrologii, czasem nawet po Boga, ale to, co teraz się działo... Nigdy nie przeżyła czegoś podobnego, tutaj jedna niewiadoma zwiastowała kolejną, a wszystkie zebrane razem na nic nie wskazywały. A w co wpatrywał się kruk, czego szukał w jej mieszkaniu? Puls zabił jej szybciej na myśl o tym, że ptaszysko zwiastowało nieszczęście... Nie wiedziała teraz, czego oczekiwać i zaczynała się coraz bardziej niepokoić. Zbladła, zrobiła się prawie tak popielata jak stara porcelanowa lalka, którą ciągle nosiła w swych ramionach. Nerwowo owinęła ją we własną koszulkę, sama ciągle pozostając półnaga, jakby zły omen poderwał jej świadomość gdzieś wysoko ponad twarde gruntu. Kiedy sama się tak zaraz zastała, poczuła się jeszcze większą wariatką niż ta z dołu, mianując się w myślach królową wszystkich wariatek! Czowała się, jakby nie do końca była sobą i obwinięła za to martwe zawiniątko w swoich rękach. Odrzuciła więc lalkę razem z bluzką na leże współlokatora, nie doznając jednak jakiejś wielkiej ulgi. Wokół działo się zbyt wiele, żeby mogła funkcjonować normalnie. Chciała na przykład oderwać już myśli od niechcianego nabytku, ale wtedy przychodził jej do głowy zaginiony gdzieś brat... Zamartwiając się jego losem, drążyła w zmęczonym umyśle te same ścieżki, które wiodły przez bezdomnych do morderstw, tej wariatki, żeby w końcu wrócić do niej – do martwej, cichej, leżącej obok i obojętnej lalki...

Czarnowłosa raz po raz zataczała więc w głowie błędne koło, trzęsąc się zawsze, kiedy wracała wyobraźnią do nieprawdziwej dziewczynki, dzielącej teraz z nią pokój... Rzucała jej nienawistne spojrzenia, za każdym razem dostrzegając ją wyraźniej – ciągle poplamioną krwią, potarganą, ale zupełnie niemą, statyczną. To było traumatyczne, tak bardzo, że dziewczyna zaczęła krążyć po pokoju, szepcząc, żeby lalka raczej wybrała jej lokatora niż ją, cokolwiek to miało znaczyć. Z boku mogło wyglądać to

nieważnie, ale Czarnowłosej nie było do śmiechu, była ze sobą śmiertelnie poważna i nie mogła doczekać się powrotu Niepozornego, żeby jakoś przenieść klątwę na niego. Z surowym obliczem powtarzała swoje mantry i „pokojoye spacery” jeszcze przez wiele godzin – rzeczywiście, zupełnie jak zwykła wariatka...

BASEN

Gehenno tegitur qui non habet urnam.

Czasami nie ma dokąd uciec z ziemskiego piekła. W takich chwilach jeden z Niepozornych Narkomanów szedł na basen, choć, jak przyznawał, nie do końca przepadał za tym miejscem. Pragnął ojczystych jezior, ale korzystał z termalnych dobrodziejstw obcej ziemi. Wchodził do za ciepłej wody, pozwalał jej się unosić i wyobrażał sobie, że był martwy. Jednakże nie było to takie proste, myśli walczyły w głowie o jego uwagę. Nurzał się w ich szarości zmysłami niczym cielskiem w błękicie rafinowanej wody. Wszelkie wspomnienia były uporczywe i niepożądane, jak ludzie tłoczący się wokół – nadzy, słabi i niepotrzebni, wyłącznie irytujący. Świat tonął w jego myślach, a on brnął jak najdalej, jak najgłębiej pod wodę, żeby je zagłuszyć. Ale nie wytrzymał za długo i wypływał, wzywała go powierzchnia i zimny, życiodajny, bezlitosny tlen. Cudownie. Pora było już wybiec z tej wody, robiło się zbyt ciasno, zbyt tłoczno.

Miał dziś jeszcze nadzieję znaleźć drugiego Niepozornego Narkomana. Obmył się już w różnych brudach, myśląc o swoich grzechach, więc teraz ruszył na spacer przez to senne miasto. I zastał on, stary Metúsalem, młodzież na swojej drodze.

Sprostował z nimi swoje ścieżki. Ich skrzywione natury odbijały się na ich upalonych gębach. Złe nawyki nie przebierały, uderzały w bogatych i biednych, starych i młodych, nie tylko w bezdomnych. Chorzy na to samo, ci młodzi ludzie dogadywali się z Niepozornym Narkomanem, jednym

i drugim. Różnica wieku zacierała się, kiedy kruszyły się w papierkach różne specyfiki. Grzechy łączyły we wspólnocie, nikt nie chciał tam łączyć się w cnotę. Zgrzeszyli więc wspólnie, zatrzymując się na chwilę przed papierosowym.

Popęlniwszy wspólnie jeden i drugi uczynek, zgromadzeni zaczęli oplatać się luźnymi pogawędkami. Te same frazesy i uwagi co zwykle, ale z paroma nowymi alternatywami, żeby się nie znudziło. Niepozorny zapytał, w jakich okolicznościach znajdowali się wcześniej młodzi i niepokorni. Powiedzieli, że minęło jakieś czterdzieści minut, odkąd wrócili z cmentarza. Zadziwiająca myśl napuchła w mózgowicy Narkomana i ten zaczął wypytywać o cmentarz. Swoim złym nawykiem odpalił papierosa, częstując też nimi wszystkich wokół. Wyraził przy tym pretensję, że go nie zabrali, albowiem lubił to miejsce – było nawet bardziej bezładne niż basen. Chętnie i tam by zgrzeszył, ku pamięci nieznanych, cudzych przodków. Ci za to wyznali, że i oni coś tam popełnili, i to w towarzystwie. Był z nimi drugi Niepozorny Narkoman, jakiś zły i inny, inny niż ten pierwszy. Ten pierwszy zaś sprawdził czas, chociaż zebrani dopiero powiedzieli mu, kiedy opuścili grobowisko. Nie mógł się na nich złościć ani winić ich za to, że nie wiedzieli, że w jego rzeczywistości Niepozorny Narkoman zaginął i on pragnął go odnaleźć. Kontynuował rozmowę z nimi, zadając o niego jeszcze parę pytań. Podobno znaleźli tam jego nieprzytomną figurę przy jednym z grobów, ale nie przejęli się zbytnio jego stanem. Wiele razy przedtem spotykali go w gorszym. Żył i to wystarczyło. I dla niego samego, i dla młodzieży, i nawet dla Niepozornego Narkomana – przynajmniej na razie. Minęło może jeszcze pół godziny, nim młodzi zaczęli się rozchodzić. On ostatni postanowił wyruszyć na miejski szlak. Uniósł się powoli, by ruszyć przez kolorową ziemię, która miała urozmaicić szarość tutejszej egzystencji, chyba. Szło mu się dobrze.

Zmartwienia, chociaż nie zniknęły, przestały mu ciążyć. Zawsze mogło być gorzej, jeszcze żył, jeszcze nie zaginał, jeszcze nie został zjedzony, zeżarty. Czy mogło być lepiej? Może, gdyby się postarać, ale po co? Beztroska młodości nie była przywarą, a błogosławieństwem, podobnie jak niektóre grzechy. Popęlniwszy swoje, Niepozorny błąkał się niby w stronę cmentarza, utykając na środku tęczy. Siadł tam na ławce jak dziecko i wymyślił, że będzie pisał.

Spostrzegł na ścianie jakiś obraz, jakiś mural. Potrzebował jeszcze bardziej odciąć się od teraz, więc to na nim spróbował skupić swoje narkomańskie zmysły...

OPIS OBRAZU

– *Nie umiesz tworzyć bohaterów, twoje postacie nie mają duszy.*

– *To prawda, bohaterowie tej opowieści raczej ich nie mają.*

Czy to dobrze, że tańczę, jak mi ptaki zaćwierkają?

Miałem opisywać obraz

A w wyobraźni śpiewałem tylko sobie

Já-ú!

Ne-i!

Wolę tańczyć niż zapisywać

Słuchać ptaków

One są muzyką

Jak wszystko

Trzask drzwi w barze obok

Tupot przechodnia

Turysty?

Dwie kobiety idą jak muzyka

Patrzę w oczy każdej

Druga odpowiedziała

Uśmiechnąłem się

Popiłem piwa

Niby już nie patrzyłem

Ale rozejrzałem się wokół

Drugie spojrzenie
Tej drugiej
Weszły do środka
Weszły do baru obok
Pod którym ja piję
Co sobie myślała?
Miałem opisywać zdjęcie
Nie opisuję nawet siebie
Słyszę tupot
To muzyka
Podnoszę głowę
Wychodzi słońce
Czasem zanika
Jest koniec kwietnia
Żadna Paktofonika
Tylko prosta nawijka
I znów się rozglądam
Gdzie te ptaki?
Gdzie ta piła hałaśliwa?
Czemu nie szanują poniedziałku robole
Poszły laski
Znowu słyszę ich głosy
Są muzyką jak piła
Która tnie gdzieś z wysoka
Piszcząc w uszach
Szumiąc w myślach
I odbijając się echem w myślach bez końca

Dochodzi wiatr, nie ma już słońca
Niedługo koniec miesiąca
Niedługo przeminą z wiatrem zmienne humory Islandii
Znow piję piwo
Na pewno nie ostatnie
Znowu coś wydam
Do wydawania z zasady jestem zdatny
Jebane papierosy
I zapalniczka w zgrabiałych rękach
I z tyłu piła
I za plecami stuk kopyt
Człowieka, co wszedł do baru
Turysty?
Pewnie tutejszy
Jak tamte
Podjeżdża tu ku mnie auto
Mówi o Belgii
Sloganem
A muzyką chręści mi gładko
Drzwi ktoś otwiera
I pędzi
Jemu się spieszy do pracy
Mnie się już kończy piwo
I papieros niedługo będzie
Słońce
Też wyszło za mną na piwo
Chociaż się waha

Bo mieszka przecież tak daleko
Miałem opisywać obraz
Auto było z czekoladą
Facet dowozi
Pracuje
Jest poniedziałek
A on go tak w pracy marnuje
Zimno mi w dłonie
Obie mi dawno zgrabiały
To wina słońca
Które trochę mnie oszukuje
Idę po piwo
Nie będę przecież palił bez końca
Kończę mój przekaz
Było mi bardzo miło

CISZA PRZED SZTORMEM

Żaden grób nie jest trwalszy od murów, które niektórzy stawiają wokół swoich dusz, żeby pochować je w wiecznej, żywej żałobie.

Życie toczyło się jeszcze, a oni wlekli się razem z nim. Bez żadnych wygórowanych wymagań, tylko ulgi pragnęli, a jednak to o nią było najtrudniej. Bez niej humor także potrafił dopisywać, a umysł działał jak naoliwiony, nawet jeśli podtopiło się go używkami. Nawet jak światła zaczynało brakować, a mróz i noc zaskakiwały wcześniej niż normalnie. Wlokło się i wtedy ze swoim życiem przez ten ziąb i mrok, bo nie było dokąd.

Tak robili Niepozorni Narkomani, kiedy inni prawowici mieszkańcy wyspy pluskali się przed snem w śmierdzącej siarką wodzie, żeby nie śmierdzieć ludzkim potem. Zdeterminowany, jeden z Narkomanów ruszył w końcu na poszukiwanie cmentarza i był pewien, że tam też w końcu trafił.

Wszedł za mury w ostatnich blaskach słońca, pod niebem, na którym zebrały się już gwiazdy, a zbierały się dopiero chmury. Trudno było określić, czy w takich warunkach znajdzie się, czego się szukało. Teren nie był duży, ale ciągłość rzeźb, które pokrywały całą jego powierzchnię, dekoncentrowała. Duchy rękodzieł nawoływały ku sobie, nie dając pamiętać o świecie wokół. Zapominało się nawet o sobie, dopóki któraś z figur nie okazywała się podobna obserwatorowi. Takie sekrety skrywało to miejsce, które Niepozorny człek wziął za cmentarz.

Ale to nie tutaj zmarł ten, który dożył trzydziestki. Ale był to tak samo martwy świat jak ten, który usłany jest zakopanymi, ludzkimi truchłami. Pełen twardych, solidnych, dobrze skomponowanych rzeźb, które przypominają o przemijaniu i wieczności. Ukończone dawno temu, trwały tu od lat, stróżując w ciszy. Niepozorny dotykał ich zimna i poczuł się, jakby sam dostał gorączki. Przed nim coś majaczyło, więc szedł w tego stronę. Tu zobaczył czyjąś dłoń, tam całą sylwetkę. Czyżby nie tylko on był w tym opuszczonym miejscu? W parku pełnym figur i cieni wszystko stawało się coraz bardziej niejasne z zapadającym zmrokiem i nadchodzącym sztormem. Noc rzeczywiście przyszła prędko, ale chmury nie zasłoniły jeszcze całych niebios. W mdłym świetle gwiazd i starych lamp widzialne wydawało się niewidzialne i odwrotnie. Niepozorny coraz bardziej był skłonny przyznać, że miał gdzieś tu towarzysza. A może tylko się mylił? Chciał coś powiedzieć, zawołać w głuszę, ale bał się. Wyciągnął dłonie ku niebu, jakby prosząc Boga o litość i wyjaśnienia, które nie nadchodziły. Nadchodził za to sztorm...

SZTORM I SZALEŃSTWO

Szaleństwo groźniejsze jest nieraz od grozy, od niej straszniejsze.

Tego dnia czas płynął wolno, wlokąc się strumieniami deszczu, który zalewał ten jałowy ląd. Szaleństwo jakby dopadało Czarnowłosa, która oglądała teraz okno odziobane przez kruka. Było całe, co znowu dziewczyna poczytywała jako bezbożny znak. Tylko jak miała go interpretować? Sekretów przybywało jak wody z deszczem, ale brakowało jakichkolwiek odpowiedzi. Aniołowie wraz z Bogiem milczeli, nie zstępowali, nie przybywali, podobnie jak Niepozorni Narkomani...

Po prostu doskonale albo raczej wcale! Od paru godzin Czarnowłosa czuła w pobliżu obecność diabła, nie mniej dotkliwie jak nieobecność brata i współlokatora. Coś obcego czaiło się gdzieś blisko, a jej brakowało wsparcia. Los z niej kpił, Niepozorni Narkomani też, zwłaszcza ten brodaty, specjalnie nie wracając do domu, na pewno jej na złość. Dopadła ją melancholia. Przeszłość ją dobijała, teraźniejszość niepokoiła, a przyszłość nie wróżyła niczego dobrego. Wiedziała, że niedługo nadejdzie mrok i wdrze się do środka skuteczniej niż tłukące szyby ptactwo, zaglądale obcym po oknach. Melancholia dopadła ją do tego stopnia, że dziewczyna przestała krążyć po pokoju, a usiadła i zapłakała. Gdyby była własną matką, ułożyłaby teraz tarota przy świecach i przynajmniej częściowo uspokoiła zszargane nerwy, ale ona nie miała takich zdolności ani nawet odpowiedniej talii czy chociażby świeczek. Nowy dom był pusty, obcy, zły i niegościny, wszystkiego tam brakowało.

Tego dnia czuła to bardziej niż zwykle, jakby wszystko wokół – nawet samo mieszkanie – wypowiadało jej wojnę. Tak to wyglądało, kiedy szaleństwo wyzierało z podejrzliwych oczu Czarnowłosej. Zagrożenie wydawało się jej wtedy takie prawdziwe, że prawie materialne, namacalne... I dlatego potrzebowała któregokolwiek z Niepozornych Narkomanów – żeby zweryfikować, co rzeczywiście jej groziło, a co nie, żeby bać się trochę mniej. Wyglądała za nimi za okno, gdzie wcześniej weszły księżyc i gwiazdy dawno już zostały przysłonięte sztormowymi chmurami. Wtedy zobaczyła, że ktoś skrada się za oknem jak złodziej. Czyżby to któryś z Narkomanów nadchodził?

To niejasne objawienie tuż za oknem najpierw wypełniło jej serce radością. Zaraz jednak rozum zaczął obliczać wszystko bardziej racjonalnie, na miarę swoich szalonych zdolności poznawczych. Jakaś jej część zdusiła swobodną radość, zaczęła brać w niej górę... Teraz ta większa część była przekonana, że jej oczy wypatrzyły za oknem antychrysta – najpewniej tego, co pożerał bezdomnych... To odkrycie, prawdziwe czy nie, wypełniło ją z kolei strachem. Komu innemu przypisać takie zachowanie, jeśli nie mordercy? Raz wywołane uczucie grozy nie opuszczało Czarnowłosej ani na krok. Nadchodził już jednak zupełny mrok, a ona, choć wiedziała, że będzie to trudne, postanowiła położyć się spać...

Przedtem wyszła jednak przed dom, by rozejrzeć się po tej pustce, czerni i ulewie, która zalewała świat, jakby zwiastując jego rychły koniec, jakiś cholerny potop. Nic dziwnego, że nic nigdzie nie zauważyła, nic dziwnego, że wcale nie przeszło jej uczucie strachu, które opętało jej duszę na dobre. Gdyby mogła, opuściłaby to miejsce, chociaż może wraz z ciałem – nie tylko opętaną duszą. Nie miała jednak dokąd uciec, nie dało się. Wróciła zatem prędko do środka, żeby całkiem nie przemoknąć. Kiedy to wszystko się skończy?

Kiedy wrócą Niepozorni Narkomani? Czy mordercą jest pan czy pani?

Czarnowłosa, położywszy się do łóżka, jęczała tak do siebie z niemocy.
Podobnie nocami pojękiwała sama do siebie zaginiona sąsiadka z dołu...

TRZĘSIENIE ZIEMI... I SZALEŃSTWO

Piekielne pomysły rodzą się w ludzkich, śmiertelnych umysłach.

Tego dnia jednak nie dało się spać. Ani nawet zasnąć – nie było sprawiedliwości na tym świecie, w tym życiu! Coś ciągle dręczyło Czarnowłosą, nie tylko sztorm szalejący za oknem. Chociaż był taki moment, w którym zamykały już się jej czarne oczy, wtedy jednak wszystko zaczęło dygotać, jakby ona sama była w jakiejś dorożce, która staczała się z jakiegoś wzgórza, po jakichś nierównościach. Cały świat trząsał się i drżał, a mieszkanie trzeszczało, jakby zaraz miało roztrzaskać się w drzazgi. Następnie wszystko ustało, tak po prostu.

Tego dnia nie tylko sztorm nawiedził tę przeklętą wyspę. Oto ląd ten ogarnęło trzęsienie ziemi, pierwsze w życiu Czarnowłosej, toteż nie od razu zdała ona sobie sprawę, czego była właśnie świadkiem. A czuła się, jakby wokół niej odgrywały się sceny z piekła rodem albo nawet z Biblii. Myślała, że nastąpiła wielka katastrofa, że wszystko zbiegało się ku ostatecznemu końcowi, dlatego... powstała z łóżka.

Wtedy mrok na zewnątrz rozświetliła błyskawica, co z kolei wydało się jej całkiem normalne, chociaż na Islandii takie nie było. W świetle gromu znowu wydało jej się, że znowu coś wypatrzyła, jakby czyjąś sylwetkę, jakby znowu była świadkiem jakiejś grozy.

...Figura wyglądała jak śmierć, a czaiła się w oknie, za opuszczonymi, tandetnymi żaluzjami... Podeszła bliżej, podenerwowana. Ponownie błysnęło, a ona zobaczyła na ścianie własny cień, od którego aż

podskoczyła. Zrobiło się jej nienaturalnie zimno, dlatego pobiegła po koc pozostawiony na legowisku Niepozornego. Prędko zabrała go stamtąd, żeby zaraz usłyszeć stukot na swojej drodze...

Znowu myślała, że to jakieś szatańskie sztuczki. Albo że to wyobraźnia płatała już jej figle przy każdym podejmowanym kroku. Zaraz jednak błysnęło kolejny raz, rozświetlając pokój, a wtedy dziewczyna spostrzegła na podłodze małą obrzydliwość – źródło hałasu... Przecież zostawiła ją na łóżku tego menela. Dziwne, że w ogóle zapomniała o jej obecności... Teraz sylwetkę lalki widziała w pokojowym półmroku – mały korpusik i bladą głowę, odstającą od reszty. Nie chciała dotykać tego bezbożnego przedmiotu ani siedzieć z nim po ciemku, dlatego podbiegła do drzwi, żeby zapalić światło. Tym samym odkryła, że to nie działało. Sztorm musiał wpłynąć na dostawę prądu. Czarnowłosa była skazana na mrok.

Jakie znaleźć rozwiązanie na takie okoliczności? Dziewczyna wpadła na piekielny pomysł. Odnalazła lalkę na podłodze i owinęła ją w jedno z ubrań Niepozornego, starając się jej nie dotykać. Matka zawsze powtarzała jej, że zdolności do czarownictwa obie mają wrodzone, Czarnowłosa postanowiła to dzisiaj sprawdzić. Postanowiła posłużyć się lalką, wyobraźnią, złością na lokatora i zaklęciami, które wypluje swojemi ustami... Zdecydowana, zaczęła krążyć po pokoju, trzymając w rękach zawiniątko tak, jakby trzymała w nich własne dziecko. Tak jakby miała tam kruche, ludzkie ciało, a nie kruchą, martwą porcelanę. Kusiło ją, żeby plwać teraz klątwy na Niepozornego, który zostawił ją sam na sam z przeklętą lalką, najpewniej jakimś dybukiem czy innym talizmanem. Nie mogła mu tego zapomnieć, więc... wkrótce rozpoczęła rytuał...

Jej duchem prędko zawładnęła podjęta przez nią akcja. Czuła się, jakby na nowo odżyła, jakby zmartwychwstała, odnajdując się w tym transie, w nim znajdując spokój. Obawy przeszły, a nadeszła błoga stabilność w jej

niestabilności. Z wysiłkiem, ale i wypisaną na twarzy satysfakcją Czarnowłosa Czarownica krążyła po pokoju, mając swoje klątwy. Robiła to bez przerwy, bujając się, rzadko kiedy w ogóle mrugając czy przełykając ślinę. Nawet lokatorzy ją usłyszeli, biorąc wpierw jej bełkot za klepanie jakichś religijnych paciorków. Dopiero chłopak Paradís, który podszedł pod drzwi, żeby podsłuchiwać, stwierdził, że to same bezbożne sformułowania. Ten bowiem, bystry niby jakiś Arystoteles czy inny Eurypides, rozumiał trochę skomplikowaną mowę ojczystą Czarnowłosej. Część z tych bluźnierstw przetłumaczył Paradís, która przyznała potem, że podobnych dziwactw dawno nie słyszała... Jej subtelne uszy niemal uwiędły po translacji, a serce ścisnęło się przez świadomość, że znowu ktoś niepoczytalny jest tuż obok i robi jakieś nieprzewidywalne rzeczy... Gdyby tylko wiedziała, że jej chłopak ściągnie im na głowy takie indywidua, nigdy by się na to nie zgodziła...

KLĄTWY CZARNOWŁOSEJ

ostatnie szepty...
ostatnie szepty... ostatnie tony...
ostatnie tony... wyniosłe wcale...
wyniosłe wcale... swą czułością...
swą czułością... chwytające serce...
chwytające serce... krwawe szpony...
krwawe szpony... rwące na wskroś...
rwące na wskroś... drącą się miłością...
drącą się miłością... rozdarcie...
rozdarcie... ten krzyk nieskończony...
ten krzyk nieskończony...

—

głuchy tą całą...
głuchy tą całą... nieskończonością...
nieskończonością... słyszaną ciągle...
słyszaną ciągle... przecież wcale...
przecież wcale... nieprzerywaną...
nieprzerywaną... w ciszy wiecznością...
w ciszy wiecznością... rozbrzmiewa ciągle...
rozbrzmiewa ciągle... wręcz doskonale...

wręcz doskonale... usłyszeć...
usłyszeć... wszystko zmysłowością...
wszystko zmysłowością...

—

może być zawsze...
może być zawsze... na chwilę w chwale...
na chwilę w chwale... blasku najczystsze...
blasku najczystsze... odbicia...
odbicia... prawdy niejasnej...
prawdy niejasnej... w szczerym kryształ...
w szczerym kryształ... zbite w całość kawałki...
zbite w całość kawałki... życia...
życia... o barwach tafli...
o barwach tafli... wodnistej fale...
wodnistej fale...

—

rwące rzeki...
rwące rzeki... zdatne do wypicia...
zdatne do wypicia... trucizny kielichy...
trucizny kielichy... na zdrowie...
na zdrowie... choroby niechcianej...
choroby niechcianej... chęci życia...
chęci życia... nie mieć...
nie mieć... w zdrowej chorobą głowie...

w zdrowej chorobą głowie... zepsutych myśli...

zepsutych myśli... myśli do gnicia...

myśli do gnicia...

—

myśli do gnicia...

Myśli zgniłe!

—

Myśli zgniłe ciałem zgniłe usta

Wypluwają chore i sine

Kawałki ich tłuste jak rozpusta

Skwaśniałe jak kiszona kapusta

I gorzkawej goryczy ślinę!

—

Ta myśl ze śliną z ust wyplunięta

Pryśła jak czar albo zaklęcie

Trupim jadem jakby przesiąknięta

Z czaszy jadu trupiego przekłeta

To zaczarowane przeklęcie!

—

Kiedy jad klątwy nabierze mocy

Zatruwając serca korzenie

Tak nagle jak zawał w środku nocy

Zerwą się z mroku dżumy prorocy
Prowadząc lud na zatracenie!

—

Serce strute jadem gorzko broczy
Sokami z zatrutych korzeni
Złe łyżę za łyżami złymi wciąż toczy
I w tym wszystkim duch się potem moczy...
Niewytrwali duchem straceni!

—

Niech będą straceni!
Niech będą straceni...

SZTORM I SZTORM

Niebiosa i diabli drwią z nas w każdą pogodę.

Teraz wszystko jeszcze mniej wyraźne było, jakby ktoś opatulił jego życie straszliwą klątwą. Czuł się w tym niebie jak w piekle, otoczony frapującymi figurami, samotny w nieubłaganej nawałnicy, która targała nim i wszystkim wokół. Nie mógł określić, czy rzeczywiście był na cmentarzu ani z kim tam był. Wydawało mu się, że ktoś gdzieś go tam odnalazł, między milczącymi odwiecznie rzeźbami. Wtem boskość ingerowała w jego jestestwo, zsyłając na ziemię błyskawicę, a samą ziemię wzruszając, trzęsąc nią straszliwie.

To, co dojrzał w świetle błysku z niebios, niemniej straszliwym mu się zdało. Był świadkiem czegoś trudnego do opisania – piorun przed nim trafił w czyjaś sylwetkę, niszcząc ją w jednej chwili. Niepozorny widział to własnymi oczami. Własnymi uszami usłyszał zaś okropny wrzask. Narkoman nic z tego nie rozumiał. I nie mógł dłużej tego znieść, musiał czym prędzej stamtąd zbiec!

Dopiero zachodziło słońce, dopiero opisywał obraz – teraz jakby mrok wschodził nad wyspą pełną gębą, pełnią swego majestatu. Nie był chryzolitem ni diamentem pomnik (czy osoba?) trafiony gromem, wraz padł pod straszliwej potęgi ogromem. Drogocenne kamienie i szlachetne metale w mgnieniu oka topiły się pod naporem brutalnych mocy rządzących tym światem od niepamiętnych czasów. Słaby Narkoman uciekał, bojąc się spojrzeć ku niebiosom, jakby tym samym miał ściągnąć na siebie kolejny piorun.

Biegł krótko czy długo, daleko czy blisko – nie wiedział. Jego dusza była zupełnie zagubiona, ciało także, wszędzie wokół był tylko sztorm. Zniknęły: szczęście, ulice, jasność i domy. Wszystko utonęło w kompletnym mroku i nieskończonej, rozszalałej ulewie. Niepozorny pragnął wrócić do domu, ale zapomniał, gdzie to było, był teraz bezdomnym. Dachem mu były niebiosy, tak samo niegościnne jak błotnista ziemia, która była mu podłogą. Zniknęły: radość, przyjaciele, wspomnienia, ciepło. Tylko deszcz się nie kończył, i droga, którą biegł bezdomny. Nienasycone pogodowe bóstwa dalej raziły świat śmiertelników wichurą i gromami, chociaż to drugie było na Islandii rzadkością, fenomenem. Może tak bożki manifestowały swoje niezadowolenie, karząc ludzkie robactwo za ludzką słabość, głupotę i brak szacunku wobec ich matki – natury? Rwały się niebiosy, chmury jak faliste bałwany pieniły się, siekając kolejnymi strugami wody i tak całkiem rozmiękła już glebę. Niepozorny utykał w tej glebie, tak jak utknął w burzowym, nieskończonym kręgu.

Gdziekolwiek wzrokiem nie sięgnął – błoto i chmury, groby lub figury. Jego ciało drżało z przemoczenia, kiedy ten taplał się w kolejnych kałużach, ślizgając się po brązowej, ziemistej mazi. Nie przestawał jednak brnąć dalej, nie poddał swojej ucieczki donikąd. Nie chciał pozostać w miejscu, przekonany, że wówczas od razu piorun go trzaśnie. Na pewno Stwórca u góry tylko na to czekał właśnie, żeby go trafić, żeby bezdomny na zawsze zasnął...

Wszyscy święci tego wyczekiwali na pewno z napięciem, bezdomny był o tym przekonany święcie. Każdy tam anioł czy diabeł – z góry czy z dołu – losy jego teraz śledził, śmiejąc się do łez – ciężkich, deszczowych łez. Każdy przypatrywał się temu bezdomnemu ciału, targanemu wiatrami sztormu, niesionemu ku zatraceniu. Niebo drwiło z niego, a on topił się w piekle, zziębnięty i wycieńczony.

Biegł coraz wolniej, nie było w nim niebiańskich sił ani piekielnego gniewu, które trzymałyby go na nogach, dodawały mu wigoru. Nie wydostał się poza sferę sztormu. Ani poza sferę cmentarną, gdzie wciąż szalała destrukcja. Zupełnie, jakby wszystko, wszystko to miało zostać zaraz zniszczone, doszczętnie. Tu i teraz, *bara hérna, bara núna*. Zatrzymał się, spojrzął w końcu ku niebu. I oślepił go kolejny błysk, a potem znowu wokół nastąpiła ciemność, nastąpiła pustka. Gdzie był Niepozorny Narkoman? Obecny gdzieś w swoim nigdzie, bezdomny jak wszyscy jego wątpliwi przyjaciele. Przecież oni też zniknęli – gdzieś w tym sztormie, a może i dużo wcześniej...

Ten bezdomny czuł się tu jak Mojżesz na pustyni – czuł niby czyjąś obecność, ale brakowało mu płonącego krzaka – tu ich było mało, więcej było kamieni, te wokół w większości ciosane. W tym sztormie, w tym absurdzie znowu ktoś mu się jawił, objawił. Skupił swoje oczy na niewyraźnym ciele, kołyszącym się przed nim w deszczu, pomiędzy grobami. Odnalazł jego czy nie był to on? Chciał opowiedzieć mu o sobie i o sztormie, i o prawdziwych straszliwościach, przed którymi uciekał. Chciał opowiedzieć o wszystkim – o swoim życiu, pełnym sprzeczności...

Chciał porozmawiać o piekle pod otwartymi, gniewnymi niebiosami, ze swoim bezdomnym sąsiadem, z którym to niebo i piekło od dawna dzielił. W tych ekstremalnych warunkach cieszył się z tego prostego sąsiedztwa i chciał wyjawić mu wszelkie ekstrema, o które ocierał się kiedyś, wczoraj i dziś. Chciał uraczyć go przypowieścią o sztormie i przestrzec przed złą siłą, która zjadała bezdomnych. Widział i w nim bowiem bezdomnego, Niepozornego Narkomana – cmentarnego Łazarza, który powstał gdzieś pomiędzy grobów, chociaż ciało jego już się rozkładało. Nie czuł jego odrażającego zapachu, bo był sztorm, a rażący wygląd stworzenia nie był zapewne różny od jego wyglądu. Patrzyli sobie w oczy. Każdy ze swojego

świata, ze swojej bezdomnej, narkomańskiej perspektywy. Zachowywali dystans, jeden z nich się modlił. Powtarzał w myślach modlitwę pewnego lekarza, w której uwielbiał Boga, a w którego ten drugi nie wierzył, chyba. Powtarzał tę modlitwę przez całą drogę, aż do teraz, dlatego wciąż milczał.

Dwa ciała, milczące wspólnie w jednej sferze. Jedna pustka, w której zebrali się dwaj bezdomni. Każdy będący niewolnikiem własnych słabości i własnych filozofii. Nie mogli się na siebie napatrzeć, jakby jeden sąsiad nie ufał drugiemu. Zamyśleni jak dwa medium, próbujące odgadnąć myśli ciała obok, które jako jedyne pozostawały im w tym sztormie widzialne. Jak dwa medium, chcące przekazać coś sobie w tej względnej ciszy, w tej hałaśliwej i nieustępliwej burzy, na głuchym i martwym cmentarzu. W świetle kolejnej błyskawicy odezwali się do siebie jednocześnie, błyskawicznie. Każdy wyznał, że musi podzielić się z drugim własną wizją.

– Muszę! – mówił jeden drugiemu, ale jeden drugiego nie słuchał. A oboje zaś mówili wszystko, co tylko roіło się w ich niepozornych, przeżartych sztormami przeszłości i terażniejszości umysłach...

(MODLITWA ŚWIECKIEGO THOMASA
BROWNE«A; 1643)

Oto modlitwa, którą powtarzał sobie w myślach Niepozorny Narkoman, zanim wdał się w żarliwy monolog z Niepozornym Narkomanem:

Jak kiedy pracowite Słońce drogę toruje sobie w końcu

W górę, na krańce karków szlachetnych Raków,

To pęka skuty lodem Okean i mroźny biegun

Się rozmarza pod wpływem ciepła Niebieskiego węgla,

Tak kiedy Ty absencją rażąc, zaczniesz Siebie rozdawać w końcu,

Żeby znów Przesilenie zdziałać na moim zamarzniętym sercu,

Mą zimę kończysz, zjawy me zstępują i śpiewają głośno,

I każda cząstka moja ożywia się wówczas na Wiosnę.

Lecz jeśli wartkich Twych promieni na chwilę mi odstępisz

I błogosławieństw światła ich Orbicie mej poskapisz,

Mroźny chłód zaskoczy wszystkie moje członki

I w Czerwcu jak w Grudniu będę czuł się zmarznięty.

Och, jakim przyzierność stanu poniżeniem

Szlachetnej jest Duszy, co w Pokornym trwać ma tym położeniu!

Której uskrzydłona natura zawsze aspiruje,

By pierwotnego swego ognia dosięgnąć spróbować.

Które to płomienie w sercu moim żyją,

Nie Twe to promienie, te z Piekła buchają.

Ugaś je wszystkie i rozświećl swoje Boskie światło
I bądź Słońcem na Orbicie mej skąpej.
I na Świętego swego Ducha te Płomienie przechrzćij,
Których doczesne dymy duszą me pobożne chęći*.

* Utwór (przetłumaczony przez autora) pochodzi z książki Sir Thomasa Browne'a *Religio Medici*, wydanej w 1643 roku [przyp. red.].

ŁAPACZ SNÓW

Piekiełło zaczyna się na ziemi.

Piekiełło na zewnątrz w końcu ustało, to zaś płonące we wnętrzu Czarnowłosej wciąż ją paliło. Dopadały ją skrajne dolegliwości, trawiła gorączka na ciele i duchu. Piekiełło jej sacrum miało już nigdy nie wygasnąć, a szaleństwo osiągało właśnie apogeum.

Słyszała hałasy i głosy z różnych stron, o różnej częstotliwości. W uszach raz jej dzwoniło, raz szeptało, wabiąc ją – najczęściej w stronę okna... Strach zaglądał przez nie do środka i odbijał się w jej oczach, kiedy dziewczyna ścisnęła w rękach podmieńca – lalkę udającą czyjeś dziecko... Stała i wpatrywała się w to samo miejsce, co wcześniej, widząc tam także to samo: figurę wyglądającą jak śmierć, która czaiła się w oknie, za opuszczonymi, tandetnymi żaluzjami... Przyszła po nią, żeby zabrać jej szczęście, podobnie jak przeklęta lalka, jak te cholerne łapacze snów. Czasem w niektórych przedmiotach zaklęta mogła być nieśmiertelna esencja, która emanowała magiczną energią. Trudno było to wytłumaczyć, ale czasem posiadanie pewnych tego typu amuletów mogło mocno wpłynąć na całą rzeczywistość wokół... Działo się tak, kiedy na przykład poprzedni właściciel przedmiotu nadał mu duszę i moc, niekoniecznie świadomie...

I działo się tak, kiedy ktoś nieostrożnie wchodził w posiadanie podobnych obiektów; wówczas życie nierzadko zamieniało się w ziemskie piekiełło, przynajmniej pod pewnymi względami. To jak powiesić sobie w pokoju łapacz snów, który ma chronić przed zjawami, a potem

doświadczając we śnie diabła, który przychodzi i drwi sobie z naszych zabiegów, paraliżując nas i dusząc nasze zmysły na własną prośbę. O tym opowiadają popularne historie o nawiedzonych zmarłych, które Czarnowłosa świetnie znała, była pasjonatką podobnych opowiadań. Teraz duchy przyszły nawiedzić ją, najpewniej za sprawą lalki – podmieńca.

Diabeł mieszkał teraz z nią, mieszkał w niej. Może dlatego rzucała swoje tragiczne klątwy bez ładu i składu. Czuła piekło w sobie i wokół siebie. Czuła klucie w piersiach, coś jak dotyk Lucyfera, zmorę atakującą na jawie. Czuła rodzący się w niej Legion i strach zdejmował ją przed nią samą, jak i przed piekielną rzeczywistością wokół.

Nie pomogły klątwy – inferno zacieśniało się wokół jej świadomości. Coraz więcej bodźców, nieważne, skąd pochodziły, raziło ją i paraliżowało. Diabły wołały, pukały do drzwi, w podłogę, przemawiały do niej przez lalkę i stały, czaiły się za oknem. Każdy diabeł był tak samo prawdziwy jak koszmarne mary – trwałe jak sama świadomość, dopóki nie wybudzi się ze snu. Wszystkie ją torturowały, osaczając ją w domu, którego nienawidziła od pierwszego przestąpienia jego progę. Czuła dotyk – raz zimna, raz gorąca – sunący po jej ciele, czuła ciepłotę martwej lalki i lodowaty chłód ścian i podłogi. Była przez to wszystko coraz bardziej rozkojarzona i dezorientowana, zaszczuta jak ofiara ścigana przez krwiożerczego mordercę. Z rąk wyślizgnęła jej się lalka, a w tym samym momencie ktoś zapukał i w okno, i do drzwi.

Diabelskie siły przyszły po nią, dobrały się do niej z każdej strony. Za całe to nieszczęście obwiniała teraz lalkę, z której klątwę chciała przenieść na swojego nieobecnego współlokatora. Czuła, że czeka ją cierpienie, jeżeli tylko duchy wedrą się do niej przez ostatnią barierę, która chroniła ją przed nimi – dom... Tylko nietrwale cztery ściany chroniły nieśmiertelną duszę

i śmiertelne ciało przed zagrożeniem, które bezczelnie pukało do jej życia,
żeby je na zawsze odebrać...

KUGLARSTWO PODMIENĆÓW

Nawet głusi słyszą głosy – kiedy mamroczą do siebie pod nosem.

– A więc to tak mi dziękujesz? – Usłyszała głos starej Czarownicy. Wspomniała nawet jej imię, ale skąd dobiegała mowa? Wystraszona Czarnowłosa stwierdziła, że tak mówiła postać za oknem, podłoga pod nią, leżąca na niej lalka, jak i ona sama... Zupełnie zbladła, kiedy w nerwach podniosła lalkę i zobaczyła, że jej porcelanowa głowa zupełnie się potłukła. Podniosła parę odłamków, przyłożyła do kikutka, który uśmiechał się do niej resztkami swojej martwej buźki, ale wiedziała, że to na nic – nie będzie potrafiła skleić i naprawić lalki. Wydawało jej się, że z przedmiotu uleciał jakby duch, a wciąż nie zapomniała historii Czarownicy z piwnicy, która niegdyś straciła dziecko, żeby pokochać to, co Czarnowłosa teraz zniszczyła... Oto nędzny zamiennik człowieka – podmieniec, sztuczna lalka – dokonał teraz swojego sztucznego żywota. Pozbawiony twarzy, wydarł też coś z wnętrza dziewczyny, wszystko za sprawą sztuczek i kuglarstwa – charakterystycznych cech podmieńców. Śmierć sparaliżowała Czarnowłosą i, jak ta była święcie przekonana, zwiastowała także jej rychły koniec. Każdemu przyjdzie odpowiedzieć kiedyś za jego grzechy, a ona odpowiedziała wtedy tylko:

– Przepraszam, to nie moja wina!

I znowu usłyszała swoje imię, a za oknem wydarzyła się jakaś akcja, coś się poruszyło. Dziewczyna ruszyła w tamtą stronę, przewycięzając

paraliżujący ją lęk. Zobaczyła, że sylwetka czająca się po drugiej stronie szyby nie zniknęła, więc wrzasnęła głośno:

– Nie boję się! – Gdyż tak bardzo się bała. Po chwili jednak dodała drżącym głosem: – Miej miłosierdzie i zabierz ją!

I wydała ostateczny sąd na lalkę i na szybę, wyrzucając jedną przez drugie. Podeszła do rozbitego okna, zmuszając się do tego ze wszystkich sił, wiało stamtąd zimnem wieczornego mroku. Wyjrzała za okno i chyba udało jej się zaradzić coś na czające się na zewnątrz zjawy – nikogo tam nie zobaczyła. Pewnie tylko chcieli ją sprowokować, i udało im się – uwierzyła, że wszystko wokół było przeklęte, z nią na czele. W popękanych odłamkach dostrzegła tylko własne odbicie – rzeczywiście przeklęte, przeklęte i niegodziwe. Tak jakby ktoś gwałtem wyrwał z niej wszelkie cnoty, zabił w niej człowieka, a duszę zastąpił złym demonem – podmieńcem.

Nie tylko ona była wystraszona, podobnie jej sąsiedzi, Paradís ze swoim chłopakiem. Zaczęli zaraz dobijać się do jej pokoju, ale dziewczyna bała się im otworzyć, przekonana, że to zmory po nią przyszły, by ją pożreć. Wolała już wybrać to pośmiertne piekło, niż dać się złapać innym podmieńcom, dlatego pozbierała z podłogi skrawki szkła i zaczęła się ciąć... I taką ją zastali, przykucniętą w rogu pokoju, podcinającą sobie żyły... Służba ratunkowa przyjechała wkrótce, a do tego czasu Paradís czuwała wraz z chłopakiem przy drzwiach, bojąc się zbliżyć do dziewczyny o przeklętym i niegodziwym spojrzeniu. Kiedy Paradís ją potem wspominała, żałowała jej, tak jak i wszystkich zniewolonych przez choroby i nałogi tego świata.

COŚ ZJADA BEZDOMNYCH

Każdy ma swój raj, niech każdy cierpi w nim po swojemu, w samotności.

„Coś zjada bezdomnych” – Paradís naprawdę niegdyś bawiło to zdanie. Dziś nie wypowiada go na głos, a trzyma głęboko w swojej duszy, gdzie chowa wszystkie lęki i urazy, którymi nie chce się dzielić z nikim. Nigdy nie przypuszczała, że jej życie kiedykolwiek będzie zamieszane w takie wydarzenia jak morderstwa, szaleństwa i cudze tragedie. Mogłaby wskazać palcem tych nieszczęśników, za których sprawą sama wylądowała w ośrodku na długie miesiące. Musiałaby jednak wskazać na pustkę, albowiem tych ludzi zabrakło już dawno, bo już wtedy. Generalnie chodziło o byle kogo – o bezdomnych, którzy niewiele wnosili w czyjekolwiek życie, raczej cokolwiek mogli z niego wynieść. W pewien szczególny sposób wpłynęli oni jednak na jej życie – i to, o dziwo, nawet w pozytywny sposób. Dziś nie miała więc uprzedzeń wobec podobnej hołoty, kiedy przychodziło pomóc im w najczarniejszych kryzysach. Okazywała im miłosierdzie, którego być może zabrakło dla ofiar z jej wspomnień. Wtedy nie wiedziała, że czasem warto okazać choć odrobinę wsparcia zupełnie obcemu człowiekowi. Wtedy uznała, że dość dźwigać jej krzyż własny i krzyże jej bliskich, żałowała dobroci dla postronnych. Każdy ma swój Paradís, swój raj, niech każdy cierpi w nim po swojemu, w samotności. Bez osądzania, ale i bez drogocennej empatii. Szkoda tracić własne szczęście na cudze nieszczęścia – człowiek tylko się staje ich częścią i biednieje. W efekcie wszyscy są biedni i nikt nie jest szczęśliwy – tak to niegdyś

jawilo się Paradís. Aż pojawiło się w jej życiu paru bezdomnych, tylko po to, żeby zaburzyć jej życie i zniknąć. I zniknęli, ale wcześniej, swoimi sekretnymi, okrutnymi sztuczkami tak zbełtali jej uczucia, że dziewczyna potrzebowała tego, czego tak bardzo innym żałowała, zwłaszcza im – empatii i zrozumienia.

Paradís dostała tego sporą, szczególną część – kilka dni po incydencie z Czarnowłosą. Ona, podobnie jak sąsiadka z dołu, także okazała się cierpieć na schizofrenię, dlatego z taką pasją rzucała klątwy, ciskała lalkami i raniła własne ciało. Dla Paradís nie było wtedy różnicy między chorobą a opętaniem – widziała w Czarnowłosej wyraźne wpływy sił nieczystych i do tej pory nie potrafiła porównać tego z niczym innym.

Bóg jednak zlitował się nad nią i pozwolił jej przeżyć. Zabrano ją tamtego dnia do szpitala, a kiedy tylko poczuła się lepiej – wyleciała z Islandii na zawsze. Może tak było dla niej najlepiej. Paradís nigdy więcej o niej nie wspominała ani nie słyszała. I chociaż wracała do niej nieraz myślami, to robiła to już ze spokojem – wszystko dzięki terapii. Terapii, którą jej chłopak uznał za absurdalną i na którą się wówczas nie zgodził.

Jakby nie ruszały go zaginięcia, morderstwa i cały ten galimatias – a przecież tak nie było. On tylko tak mówił – bał się terapii i przez to wkrótce się rozstali. Każdego z nich dopadało w tym czasie szaleństwo, którym zarazili się od swoich współlokatorów oraz bezdomnych. Stwierdzone później u niej zaburzenia wydały się jej wyrokiem, ale wkrótce, po paru miesiącach dobrego sprawowania Paradís poczuła zmiany. Znowu żyła, a nawet nie tylko żyła – podziwiała życie bardziej nawet niż przedtem, nim doszło do serii tragicznych incydentów.

I zastanawiała się też czasem: czy śmiertelne ofiary pokroju bezdomnych miały szansę przed zgonem na parę podobnie wzniosłych chwil? Czy śmierć była tylko ponurym dopełnieniem beznadziejności, na

którą sobie przez lata „zapracowali”? Może było to potępienie, które sami zsyłali na siebie jako błogosławieństwo – ucieczkę przed spaczoną doczesnością? Może sami swoje odejście widzieli nie stratą, a ulgą – dla siebie, dla świata? Tak jak ukrócenie nieszczęść widziało się na dnie butelki albo w brudnej strzykawce czy oblizanym niechlujnie skręcie. Tak jakby nie czuć się chorym, tylko czuć się chorobą, na którą lekarstwami były tylko trucizny i narzędzia mordy. Pewnie niektórzy nie wyobrażali sobie kary łaskawszej niż śmierć. Pewnie ich dusze codziennie próbowały zapomnieć, wołając o miłosierdzie do swoich bogów – uzależnień, biedy i ohydy. Pewnie ich dusze codziennie jęczały o sąd ostateczny – niezasłużoną łaskę śmierci, której sami nie potrafili sobie ofiarować... Może nie mieli w życiu nikogo, kto przypominałby im, że życie można nie tylko przeboleć, ale również podziwiać?

Ona nauczyła się je wręcz adorować... Honorem było żyć, łaską trwać. Uwielbiać w prosty i naiwny sposób rzeczy proste, po które wcale nie trzeba było sięgać daleko. Te ukryte były w naturze – tej skalistej, porośniętej mchami i lawendą, a także w tej ludzkiej, upstrzonej paletami wszelakiej różnorodności. Niezależnie od stanu i statusu każdy mógł sięgnąć tych prostych łask, każdy mógł się nimi dzielić z każdym. Jedynym warunkiem była obustronna akceptacja – a żeby do niej doszło, trzeba było przełamać jedną jedyną barierę, która chroniła nas zwykle przed ryzykiem... Wystarczyło zacząć – zacząć dzielić się swoimi myślami, uczuciami i zacząć interesować się myślami i uczuciami innych. Najlepiej reagowali na to ludzie zupełnie zagubieni i samotni – nierzadko właśnie biedni i bezdomni. Nie odmawiając im krótkiej wymiany zdań i wykazując najmniejsze zainteresowanie, można było ratować ich dusze. Dzięki temu uzyskiwali oni siłę, żeby walczyć z tym, co ich zjadało. Proste błogosławieństwa i przychylność były tarczą, która mogła trzymać z daleka

najwstrętniejsze zmy, przynajmniej na jakiś czas. Nieraz przypadkowe spotkania na ulicy kończą się nieciekawie, bo ludzie brzydzą się swoją wzajemną obcością – ale nie musi tak być! Paradís zresztą na tym nie kończyła – ona tylko od tego zaczynała, oddając się ostatecznie służbie potrzebującym jako pielęgniarka. Nic nie przynosiło jej więcej trudu, ale i więcej szczęścia w całym jej dotychczasowym życiu. Najważniejsze było dla niej zrozumienie, że każdy w pewnym stopniu zasługuje na swoją chwilę – moment, kiedy ktoś go wysłucha, poradzi mu albo po prostu go przytuli. Tego często najbardziej brakowało bezdomnym w całej skromności ich jestestwa.

I swoje poświęcenie Paradís dedykowała tym, których skromność zakończyła się na zawsze w te straszne dni, kiedy i ona była zupełnie zagubiona, przerażona i bez celu. Robiła wszystko, żeby inni uniknęli kary, żeby nigdy nie zostali zjedzeni. I nie chodziło jej o ratunek przed mordercami, których nigdy nie odnaleziono, chodziło jej o zmy ludzkich błędów i pochopnych działań, wyjadających człowieka latami, nieraz przez całe życie, całą śmiertelną wieczność. Chodziło o pożerające człowieka coraz dalej idące zmiany, które czyniły go bezdomnym, opustoszałym wrakiem, cieniem dawnej świetności. Bo nic, przez całą nieskończoność przykładów, bardziej nie zjada bezdomnych...

POCZĄTEK KOŃCA

Ten początek niepogodny, to wkroczenie niewygodne o ziarenku jest niezgody, którego są duchy głodne, zaszyte w ciałach niegodnych.

O to ziarenko nietrudno w warunkach przyziemnych, brudnych, gdzie o wszystko inne trudno, a o resztę jeszcze drożej.

Te ziarna kiełkują: w sforze, gdy jej składowe nieboże, i tam, gdzie chodzi się z nożem, gdzie się powinno uważać, gdzie, co się zdarza – przeraża...

PARK RZEŹB

Nie ma takiego miejsca, którego nie można wyobrazić sobie po swojemu.

Jest taki jeden smętarz stary, który
Zakuty jest cały w stare marmury.
Smętarz ten z cegieł mur stary okala,
Zerknąć do środka nijak nie pozwala.

Można tam przejść przez bramę starą, która
Stoi wyrwą pustą – to stara dziura.
Jak już się znajdzie kto za starym murem,
Ten zewsząd otoczony jest marmurem.

Dziwne i piękne te stare marmury,
Grzmiące majestatem, stare struktury.
Wszędzie na nich blizny i stare rany;
Smętarz marmurowy, czasem spękany.

Raz tam zaszedłem, samotnie, z wieczora,
Gwieździsta to była, samotna pora.
Siedziałem tam w ciszy. Samotnik, który
Słuchał jak zaklęte milczą marmury.

Tylko szum wiatru tamtego wieczora
Był inny... jakby to szeptała zmora...
Ten szum wiatru w ciszy... czy ten szept, który
Był ciszą? Wypełniał sobą marmury...

Ruszyłem przez ten smętarz stary, który
Z marmuru miał wszędy stare figury.
Wtem wypatrzyłem figurę człowieka;
Ta jakby zerkała na mnie z daleka.

Czy to ta figura, która tam stała
Ku mnie jak szum wiatru w ciszy szeptała?
Czy to właśnie posąg z marmuru, który
Zupełnie mnie przypominał z figury?

Dziwny ten smętarz, te stare marmury,
Czy słyszę kogoś? Czy to zwykłe bzdury?
Widzę blizny wszędy i stare rany...
Tylko ów posąg cały, niespękany.

Czy miałem omamy tamtego wieczora?
Czy to posąg tylko? Czy moja zmora?
Staliśmy w ciszy. Ja i posąg, który
Inny był... bliższy mi niż te marmury.

Wtem prosto w ten smętarz, między marmury

Trafił piorun straszny, gdzieś z ciemnej góry!
Z ciemnego nieba piorun jasny, który
Sprawił, że pękły figury marmury!

EPITAFIUM NARKOMANA

Nieważne, co i jak mówisz, ważne, że masz coś do powiedzenia ~ Kobra

Kto językami mówi, ten językami słyszy.
Jak często się zdarza, że to, co sobie wyobrażasz, się zdarza?
Jak popierdolone są Twoje scenariusze?
Mnie się wydaje, że przy moich to każdy wysiada,
Jebać sąsiada,
Przed nikim się tłumaczyć nie muszę.
Co to się nada albo nie nada?
Słyszę to i słyszę rady psujące ciszę.
Każdy chce gadać,
Ale się żaden na powagę nie pisze.
Napisz: „Wspomagam”,
Stukając z wyobraźnią w klawisze.
Ja puszcę pawia
I całą atmosferę zniszczę.
Nie musisz mnie namawiać,
Będzie mi z tym zajebiście.
Taka zabawa
Na każdej pierdolonej top liście
Sam biję brawa,
Dłońmi, w których szeleściły też liście.

Taka to sprawa,
Na ławie też wykurwiście
Nikt się nie stawia
Mnie zastanawia:
Po co Wy tu w ogóle przyszliście!
Nikt nie namawiał
To pewnie trawa tak głośno piszczy
Pizzę zamawiasz?
Ja nie jestem głodny, mistrzu
Chyba że stawiasz,
Może być z litrem, jeśli do bagażnika się zmieści.
Świruj jak pawian,
Bądź zakręcony jak tego przekazu treści.

Tańcz jak mała dla cudzych korzyści
Bądź cool jak bałwan
I pomóż sprawić, by właściwy plan się ziścił.

Czy chłop, czy baba, każdy może dostać po piździe
Bandytom chwała,
Choćby kosztowała życie
Kolejna fala
A kiedy wy się sprzymierzycie?
Po tym jak nas rozwalą?
Po złości na to pozwolicie?
To drwiąc, to chwając,

I brnąc tym torem na stację Nigdzie?

Jak pociąg paląc,
Zadowalając się powszechnym zgniciem.
Przyszłość nie zając,
Dlatego dzisiaj sobie leżycie,
Się napawając
Iluzją, w którą święcie wierzycie,
Póki wam grają,
To dupska przecież nie ruszycie.
I niech się pali
I niech się wali wszystko wokół na świecie
Choćby w tej chwili,
Choćbyście akurat byli w klozecie.
Jeśli nas minie,
To przeczytamy o tym w internecie.
Przeżycie uczcimy winem,
Bo trzeba uczcić należycie
Każdą godzinę,
Chyba że jutro do pracy musicie
To kiedy indziej,
Ale dzięki, że wpadliście.
A teraz idźcie,
Skądkolwiek do mnie przyszlście,
Już Was nie widzę!
Czemu znów mnie nawiedziliście?

Ja lepiej się już położę,
Bo Wam się pewnie to wszystko już w głowie nie mieści.

(Pierwej tylko Tobie przyłożę
I ostrzegam: nie będę się z Tobą pieścił!)

NARESZCIE

Słyszeć strzały na mieście, nareszcie, nareszcie!

Znał go przecież od zawsze; przychodził do niego

Nocą samotną zawsze. Nie wiedział, dlaczego

Przychodził on od zawsze akurat do niego.

Dlaczego nocą zawsze? Nie pytał dlaczego.

Jak cień jego własny czy jak bliźniak zrodzony

Z matki jego własnej, jak sobowtór wcielony.

Czy to z jego własnej wyobraźni zrodzony

Ten cień jego własny, niby bliźniak wcielony?

Wszystko było niejasne w tamte ciemne noce;

Tylko księżyc był jasny. W jego blasku moce

Działy niejasne, ciemne jak tamte noce.

Tylko księżyc blask jasny i ciemne moce...

Tej nocy czuł, że nie zaśnie; noc księżycowa.

Przybyła do niego właśnie druga połowa.

Przybyła po to właśnie mara księżycowa,

Ażeby sprawić, że zaśnie druga połowa.

„Tej nocy na zawsze zgaśniesz!” – usłyszał słowa.

Czuł, że ustami poruszała jego głowa.

„Tej nocy na zawsze zgaśniesz!” – czyje to słowa?

Ustami poruszała także gościa głowa.

Upiór był nic niewzruszony; jak zjawą głucha
Albo nieczułe demony... Czyż on nie słucha?
Jakby cisza z każdej strony raziała głucha
Zmysły mu... Tak niewzruszony; chyba nie słucha...
„Czemu trwasz tak, demonie, jakbyś słyszał ciszę?
Czy to może ja tylko jakieś głosy słyszę?
Czemu milczysz, demonie? Przerwij choć raz ciszę!
Z Tobą tylko myśli mych ciszę własną słyszę!”
Była północ, ale dzwony nie chciały jej bić.
Duch trwał dalej niewzruszony; jak tu z takim żyć?
Serce jego jak te dzwony; nie chciało już bić.
Duch trwał dalej niewzruszony; on nie musiał żyć...
Trwał tak przy nim niewzruszenie przez życie całe.
Przetrwiał niewzruszenie chwile wielkie i małe;
Każde poruszenie. Trwał tak z nim noce całe,
Nieporuszony przez chwile wielkie i małe.
Trwał tak do ostatniej chwili, ostatniej nocy.
W oczy sobie patrzyli zupełnie bez mocy,
Jakby ta w tej chwili przepadła w mroku nocy.
Ci ku sobie ruszyli – zupełnie bez mocy;
Bezsilni zupełnie. Jeden, potem drugi krok...
Było to w księżycu pełni, gdy wokół był mrok.
Pewny już był zupełnie – to ostatni był krok,
W tę księżycu pełni odejdzie na zawsze w mrok!
Zaraz to się spełni! On wziął ze swej kieszeni
Pistolet kul pełny. Jedna z tych kul odmieni
Los jego i wypełni... Chciał posłać do cieni

Cień swój mroku pełny, co go śledził tak w ciemni
I noce życia wypełniał mu mrocznym lękiem!
Wystrzelił z hukiem, by zaraz upaść też z brzękiem
Broni, który ulicę wypełnił wraz z jękiem,
Który wydał z siebie strzelec... Popatrzył z lękiem
Na krwawe swe ręce, na krew na ziemi własną...
Zjawy nie było tam więcej. On zaraz zasnął
Na zawsze. Nie wstanie więcej, bo bronią własną,
Własne jego ręce sprawiły, że tak zasnął...

BEZDOMNI

Co się czuje, kiedy wychodzi się na ulicę, żeby odkryć, że nie ma już z niej odwrotu?

Bezdomni nie mają wyboru – są skromni.

Bezdomni – dla społeczeństwa – ułomni.

Bezdomni – idą, gdzie niesie ich los.

Bezdomni – bieda ich wodzi za nos.

Bezdomni – są wokół nas, ale w swoim świecie.

Bezdomni – znacie ich? Nie, Wy nic o nich nie wiecie.

Bezdomni – chodzą swoimi drogami.

Bezdomni – gdy my w domach, oni są pod domami.

Bezdomni – bogaci są tylko w czas.

Bezdomnym może być każdy z nas...

Tomasz Racjan, 2020–2022, COŚ ZJADA BEZDOMNYCH. ZBIÓR NIEPOKOJĄCYCH WSPOMNIEŃ Z LODOWATEGO SERCA ISLANDII.

SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

PROLOG

THE EXISTENCE OF HELL

ŚWIADECTWA WŁÓCZĘGÓW

CO SŁYCHAĆ NA PARKINGU

SPRAWY DZIWNE I MIEJSCA PRZEKŁĘTE

PRZEJMUJĄCE ZIMNO INNYCH OKOLICZNOŚCI

STWÓRCY NOCNYCH MAR

PODZIAŁY PRZY DZIELENIU

ZNAJOME PYSKI

PROROCY TEGO ŚWIATA

ŚMIERTELNA BOSKOŚĆ

KTO BIJE W DZWONY

NIESWOI NIE NA SWOIM

WIEŚCI O ZŁYM CHARAKTERZE

PRZYJAŹNIE PRZELOTNE I ULOTNE JAK DYM

NIE CIEŁĘCIA TO KREW

SKUTKI ZAGMATWANE I PRZYCZYNY MAŁO ZNANE

DROGA DO NOWEGO DOMU

KONIKI LUDZKIE I ZWYCZAJE NIEZWYCZAJNE

NOWA ZWYCZAJNOŚĆ

GŁOS Z PODŁOGI

OBECNOŚĆ ZŁA

WIĘCEJ NIŻ ATEIZM

UCIECZKA PRZED ZĘBAMI

TAJEMNICA CZAROWNICY Z PIWNICY

HYMN FAŁSZYWEGO BRAZYLIJCZYKA

LAMENT NAD UTRACONYMI

KRWIOŻERCZY GŁÓD

PRÓBA KRWI

SECT. 27: PRÓBA MIĘSA

KOLEJNA PRÓBA KRWI

TO TYLKO WARIATKA

POTENCJALNI MORDERCY

MORDERCY MEDIALNI

TRAWIENIE

MARTWA LALKA

NIEPOZORNY NARKOMAN

DROGA DO SZPITALA

DROGA DO SZPITALA

KRZYWOGĘBY

W ZIEMI UMARŁYCH

MŁODE CIAŁA NA STARYM CMENTARZU

BRAK BRATA

KRUK (POKOJOWE SPACERY)

BASEN

OPIS OBRAZU

CISZA PRZED SZTORMEM

SZTORM I SZALEŃSTWO

TRZĘSIENIE ZIEMI... I SZALEŃSTWO

KLĄTWY CZARNOWŁOSEJ

SZTORM I SZTORM

(MODLITWA ŚWIECKIEGO THOMASA BROWNE«A; 1643)

ŁAPACZ SNÓW

KUGLARSTWO PODMIEŃCÓW

COŚ ZJADA BEZDOMNYCH

POCZĄTEK KOŃCA

PARK RZEŻB

EPITAFIUM NARKOMANA

NARESZCIE

BEZDOMNI

Karta redakcyjna

Coś zjada bezdomnych

ISBN: 978-83-8313-488-8

© Tomasz Racjan i Wydawnictwo Novae Res 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Agata Dobosz

Korekta: Małgorzata Giełzakowska

Okładka: Grzegorz Araszewski



Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej Zaczytani.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: sekretariat@novaeres.pl

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.

Na zlecenie Woblink

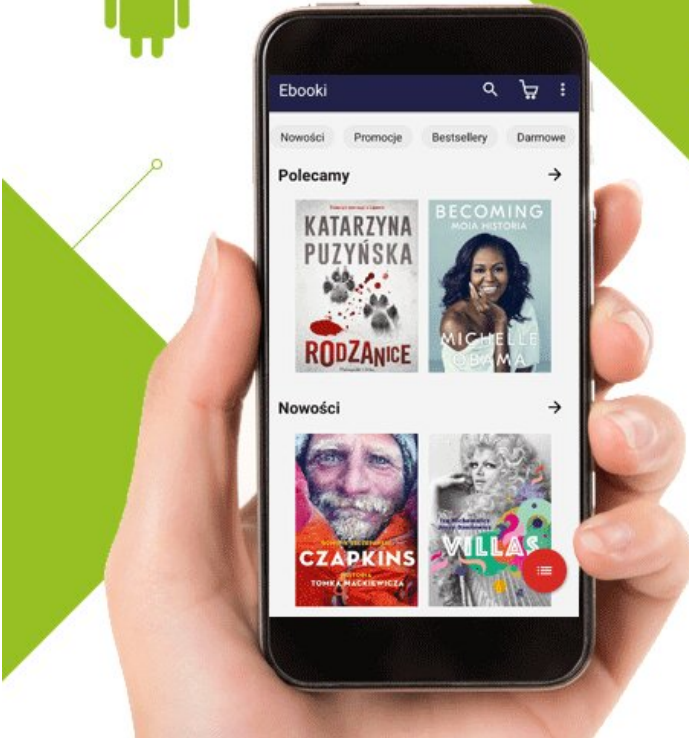
woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek



POBIERZ NOWĄ
APLIKACJĘ
NA ANDROIDA



I CZYTAJ,
GDZIE CHCESZ

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION

1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA
 **Helion SA**